

KSAWERY de MONTEPIN.

PODPALACZKA

POWIEŚĆ W SZĘŚCIU TOMACH.

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO

W. J.

KNIEGIARNIA
W WILKÓWKU.



TOM IV-ty.

WARSZAWA.

Nakładem Księgarni H. O.

1891.

I 1.571.393



t. 4.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Октября 1890 года.



Jana Cotty, w Warszawie, Senatorska 29.

1999W441/34C



TOM CZWARTY.

I.

Paweł Harmant, czyli raczej Jakób Garaud, wyjeżdżając rano do fabryki, powiadomił swą córkę, iż z przyczyny nader ważnych interesów, potrzebujących niezwłocznego załatwienia, nie wróci na śniadanie, ani na obiad.

— Czas będzie mi się wydawał nieskończenie długim — powiedziała Marya, żegnając się z ojcem — lecz skoro kontakt być musi, do jutrzejszego zatem widzenia.

Siadłszy w Courbevoie, przemysłowiec rozkazał stanąć w drodze wracać do Paryża.

— Nie będziesz mi potrzebnym — rzekł — przez dzień cały, ale ponieważ zostanę do późna w fabryce przy pracy, przyjedziesz tu po mnie.

— O której godzinie?

— Przyjźdź o wpół do pierwszej po północy i zatrzymaj się w ulicy, naprzeciw głównej bramy fabryki... Stróża do otwierania drzwi budzić nie potrzeba.

— Dobrze panie.

Garaud wszedł do restauracyi, znajdującej się w pobliżu, zwykle jadał, gdy interesa powoływały go rano do Courbevoie i rozkazał by mu przysłano obiad na dwie osoby, punkt o szóstej.

Wracając do fabryki, podszedł do żony stróża.

— Widziałaś pani — zapytał — tego mężczyznę, który tu do mnie wczoraj, około szóstej godziny?

- Widziałam, panie.
- Będziesz mogła go poznać?
- Doskonale.

— Ów pan przyjdzie dziś do mnie wieczorem. Jest to inżynier, z którym będę pracował długo w noc dzisiaj. Ani ty jednak, ani twój mąż niepotrzebujecie czuwać, czekając mego odjazdu; możecie wcześniej, jak zwykle udać się na spoczynek. O wpół do szóstej, przyjdiesz urządzić stół w moim gabinecie i położyć dwa nakrycia. Przyniosą nam obiad z restauracyi.

O wpół do szóstej żona stróża, otworzywszy drzwi Owidyuszowi, przysłała stół nakryć do obiadu. Garaud podszedł z pośpiechem ku wchodzącemu bandycie; mrugnięciem oka dał mu znak, niepostrzeżenie wskazując obecną kobietę i przemówił doń po angielsku.

Soliveau zrozumiałwszy o co chodzi w tym samym narzeczu odpowiedział. Pobył w New-Jorku obeznał obu z angielską.

- Czy wszystko gotowe jak należy? — zapytał
- Wszystko, najskrupulatniej.
- O szóstej zatem obiadować będziemy...
- *All-right!*..

Garaud rozłożył na biurku mechaniczne plany i obaj zaczęli rozmawiać o szczegółach konstrukcyi maszyn mówiąc pozornie zaczęli.

— O której godzinie rozkazałeś przyjechać swemu stangretowi? — pytał Owidyusz po angielsku.

— O wpół do pierwszej po północy... Czekać będzie za bramą — odrzekł Garaud.

— Dobrze.

— Czy owa mała pójdzie sama, lub z towarzyszką?

— Sama; trudności nad którymi przemysliwałem, szczerze mówiąc, w tym trafem się usunęły.

Po ukończeniu nakrycia stołu, żona stróża o

3
— Obejrzyj no to... — wyrzekł wtedy Owidyusz, dobywając z kieszeni przedmiot, starannie okręcony papierem, który rozpakowawszy, położył przed Jakóbem Garaud.

Był to nóż, kupiony w sklepie przy ulicy de Bourbon. Ostrze stali błysnęło. Garaud pomimo całej odwagi wytrawnego łotra, mordercy, zadrżał.

— He? nieprawdaż co... tym cackiem, możnaby rozplatać wołu...—mówił Soliveau.—Twoja córka winna mi być wdzięczną do śmierci.

Szósta uderzyła na ściennym zegarze, a jednocześnie zapukał ktoś we drzwi.

— Można! — zawołał przemysłowiec.

— Ukazał się posługujący w fabryce, a z nim chłopiec z restauracyi, niosący obiad.

— Marchais... — wyrzekł Harmant — będziesz nam usługiwał, a ty przyjdiesz po te talerze jutro z rana — dodał, zwracając się ku chłopcu z restauracyi.

Obaj z Owidyuszem siadłszy do stołu, w angielskim języku prowadzili dalej rozmowę.

Obiad trwał krótko.

— Czy mam uprzątnąć? — pytał Marchais.

— Nie potrzeba, zostaw wszystko jak jest i podaj nam zaraz poczniemy pracować.

siódmej, robotnicy i oficjaliści opuścili fabrykę.

Marchais przyszedł zapytać raz jeszcze, czyli pryncypał trzebować go nie będzie.

— Nie, mój chłopcze... — rzekł Harmant, — możesz jść. Powiedz stróżowi ażeby nam nie przeszkadzał pod dnym pozorem i powtórz co powiedziałem, iż może udać się poczynek o zwykłej godzinie.

— Posługujący wyszedł.

II.

Za chwilę spokój i cisza zaległy fabrykę, słychać było jedynie kroki nocnego stróża w dziedzińcu, odbywającego swój obchód wieczorny.

— Nadchodzi chwila stanowcza... — rzekł Garaud do swegowspólnika.

— Tak... trzeba się uzbroić w odwagę — odparł Soliveau. — Daj mi pozostawiony wczoraj kuferek.

Harmant otworzywszy w ścianie wgłębienie, podał walizkę Owidyuszowi, który przebierać się zaczął.

Owidyusz skończywszy tę czynność, zwrócił się ku Jakobowi, który z twarzą, zimnym potem zroszoną, patrzył nań, nie przemówiwszy ani słowa.

— Numer pierwszy skończony nareszcie — rzekł Soliveau. — Schowaj mi to ubranie, gdzie w miejsce bezpieczne, wdzięję je, wróciwszy. A teraz zaprowadź mnie do drzwi bocznych, o których mówileś.

Zachowując wciąż głębokie milczenie, Garaud dobył klucz z szuflady i dał znak Owidyuszowi aby szedł za nim.

Przy wyjściu na podwórze, obaj się zatrzymali.

Ciemność panowała głęboka. Ani jedna z gwiazd błyszczała na niebie, pokrytem chmurami, księżyc wstąpił dopiero później.

Garaud spojrział w zalegające ciemności i nasłuchiwać zaczął.

Cisza była wokoło.

— Pójdź! — rzekł, biorąc za rękę Owidyusza, i poprowadził go z sobą.

Szli razem wzdłuż muru, aż do korytarza, prowadzącego na drugi dziedziniec, wypełniony deskami, belkami i materjami różnego rodzaju.

Po przebyciu tej drogi w milczeniu, Garaud zatrzymał się przed małymi bocznymi drzwiami.

— To tu... — wyszeptał, szukając ręką zamku w ciemności.

To mówiąc otworzył drzwi.

— Oto klucz... — rzekł do Owidyusza. — Trzymaj się prawej strony, za kilka minut będziesz na drodze do Garenne des Colombes.

Soliveau, wzięwszy klucz, wybiegł jak zając, znikając pośród ciemności.

Zdała zegar wieżowy w Courbovoie wydzwonił ósmą.

W owej to chwili jednocześnie Łucya dojeżdżała do stacyi Saint-Lazare.

Zzawiniątkiem w rękę, zawierajacem suknię balową, kupiła bilet do wagonu pierwszej klasy, by się umieścić wygodnie. W przedziale tym znalazła się sama.

Wysiadłszy wkrótce w Bois-Colombes, udała się drogą, jaką szła dnia poprzedniego. Kilka osób, powracających z Paryża szło z razu wraz z nią przez znaczną część drogi.

Łucya biegła z pośpiechem; nie było jeszcze tak późno, aby się mogła obawiać. Znalazłszy się jednak samą na równiźnie rzuciła w około siebie spojrzenie, w którym znać było polek rodzącej się trwogi.

Słychać było zdala turkot powozów, jadących gościńcem, rozmawiających ludzi, po drugiej stronie drogi żelaznej. Łucya czuła się być jeszcze zupełnie osamotnioną.

Zanim dosięgnęła kępy drzew, zarosłej krzakami,

gdzie w przeddzień widziała śpiącego mężczyznę, przysiadł tam Owidyusz. Dosłyszał lekki krok Łucyi, a jednocześnie i odgłos kroków jakiejś drugiej osoby, idącej tą samą

drogą, ale z przeciwej strony. Mimo osłaniających go dostatecznie ciemności, nędznik ten ukrył się po za drzewa.

Łucya minęła się z nieznanym przechodniem w milu.

Poznał ją Owidyusz mimo ciemności, po białem zawiniątku niosła w rękę.

Kroki obojga idących oddalać się zaczęły.

— Mam czas do zaczekania — wyszepnął nędznik — należy wybrać najdogodniejsze miejsce.

I wsunąwszy się pod gałęzie, usiadł w zaroślach, tuż przy drożynie, zapalił fajkę i z wyteżonym wzrokiem i słuchem, czekał w milczeniu.

Łucya przybyła szczęśliwie do celu swojej wędrówki.

W domu merowej zamęt panował nie do opisania. Biegała służba wzywana, łajana przez pana i panią, nie wiedząc kogo słuchać i do kogo z nich spieszyć pierwej.

Pokojówka oznajmiła przybycie szwaczki.

— Nareszcie... przecie... — wyrzekła pani merowa, zniecierpliwiona oczekiwaniem, i wydała rozkaz wprowadzenia dziewczyny.

— Suknia skończona? — pytała.

— Tak pani.

— I dobrze wygląda? —

— Wspaniale.

— Oczekuję na przybycie fryzjera — mówiła dalej merowa. — Przymierzę suknię, skoro mnie uczesze.

Łucya była na wszelkie kaprysy naprzód przygotowana.

— Jak pani zechcesz — odpowiedziała.

Przyszeli fryzjer nareszcie. Ze trzy kwadranse zajęło ubieranie głowy, z którego pani merowa nie była zadowolona. Zbliżyła się kolej na Łucyę. Wyjąwszy suknię z kartonu, w jaki delikatnie była opiętą, właścicielka rozłożyła ją na krześle, rozpatrując się w szczegółach, poczem poleciła szwaczce aby ją w nią przybrała.

Suknia wykończona w tak krótkim czasie, była prawdziwym arcydziełem, doskonale przytem leżała, wypadło jedynie dopełnić małe poprawki w staniku. Mimo zadziwiającej sprawy młodej szwaczki, robota ta zabrała ze dwadzieścia minut czasu. Następnie trzeba było ułożyć na niej girlandę świeżych kwiatów, co spiesznie wykonać się nie dało.

odważnie zabrała się do dzieła. Pozostawiwszy ją przy tej pracy, wróćmy do Paryża, do piekarni przy ulicy Delfinatu.

Matka Eliza pilnowała sklepu, oczekując przybycia pana Lebret. Powrócił on o w pół do dziesiątej wieczorem. Był to wysoki, tęgi mężczyzna, o fizyognomii miernie inteligentnej, znamionującej raczej upór i chciwość.

— Jakże się miewa moja żona?—zapytał wchodząc.

— Złe, panie Lebret—odpowiedziała Joanna.—Od dwóch godzin pyta bezustannie, czyś pan powrócił. Chce mówić z panem.

— Idę do niej natychmiast.

Poczem wszedł do pokoju chorej, oczekującej go z gorączkową niecierpliwością.

Pani Lebret wyciągnęła ku niemu rękę. Od dnia poprzedzającego zwiększające się cierpienie wryło straszne ślady na obliczu chorej. Odgadłszy za pierwszym spojrzeniem na tej bladej twarzy znamiona zbliżającej się śmierci piekarz, mimo swej twardej natury, uczuł się głęboko wzruszonym.

— Jakże... nie jest ci lepiej, moja ty biedna? — zapytał tkliwie.

— Gorzej... znacznie gorzej...—odpowiedziała ledwie do słyszczanym głosem.—Nie ma ratunku, muszę umierać!

Łzy zabłysły w oczach Lebreta.

— Zdaje ci się, zdaje! — odpowiedział, zmuszając się do śmiechu.—Zkąd takie czarne myśli? dlaczego?

Mówiąc to, myślał: Ma słuszność, wkrótce ją utracę!

— Trzeba umrzeć...—szepnęła chora—czuję to... czuję!... wkrótce cię wkrótce, mój przyjacielu, a opuszczę na zawsze...

— To jest dla mnie, ponieważ kochałam cię szczerze.

— Mam prośbę do ciebie... której nie odmów...

— Powiedz... uczynię wszystko, co zechcesz...

— Wszystko... przyrzekasz mi?

— Złe, jeśli wątpisz o tem.

— Więc... ja pragnę widzieć mą matkę...

— Tak, dziecko. Tom IV.

Lebret zadrzał.

— Twą matkę... — wyjąkał zeicha.

— Tak... wiem, iż ona wiele przewiniła względem ciebie — odrzekła umierająca — lecz i ty nie jesteś bez winy... Wykroczyłeś tyle, co ona... więcej nawet może... Zresztą zapomnijmy o tem... Wszak nie pozwolisz mi, bym umarła bez zobaczenia się z matką?... Po tobie, ja jedną mam tylko na świecie... Boleść rozdarłaby mi serce, gdybym, nie widząc się z nią, umrzeć była zmuszoną!

— Ależ ona nie zechce tu przyjść — odparł Lebret — nigdy, nigdy! ja ją znam dobrze!

— Mylisz się... — wyrzekła chora słabnącym głosem. — Przyjdzie, jeżeli napiszesz, że cierpisz nad tem, co zaszło, że prosisz ją o przebaczenie... że prosisz, aby natychmiast przybyła, jeżeli chce mnie jeszcze zobaczyć żyjącą.

— Nie, tego nie napiszę! — zawołał Lebret opryskliwie.

— Chcesz więc, ażeby w ciężkim smutku umarła... umarła opuszczona... nie spełnisz tego ostatniego mego życzenia? Nie... nie! ty nie będziesz tak okrutnym... — szeptała cicho, zalewając się łzami.

Piekarz opuścił głowę w zadumie. Był on z natury swarliwym, zaciętym i upartym, a jednak pomimo to myślał sobie: — Ona ma słuszność... Odmówić jej widzenia się z matką w ostatniej życia godzinie, byłoby okrucieństwem z jej strony... Dręczyłyby mnie wyrzuty sumienia... Nie wybaczyłbym sobie tego...

— Napiszę do niej! — nagle zawołał.

— Och! dziękuję ci... dziękuję! — wyrzekła chora, wyciągając rękę — Jesteś dobrym... pocziwym! Lecz napisz zaraz! dodała.

— Będzie dość czasu na to jutro zrana.

— Nie! jutro byłoby zapóźno... Czuję, że z każdą minutą me siły i kres życia się zbliża...

— Lecz jakim sposobem list dzisiaj przesłać, w tej godzinie?

— Eliza odniesie go do Garenne des Colombes i powróci tu z matką, tym sposobem dziś ją zobaczą. Śpiesz się... śpiesz!... błagam—powtarzała chora.

— Uczynię, co żadasz — rzekł właściciel piekarni, wychodząc.

III.

— Matko Elizo—wyrzekł, siadając przy stole i zabierając się do napisania listu—czeka cię nielada wędrówka wśród nocy.

— Gdzie, panie?—spytała wdowa.

— Będiesz musiała pójść do mej teściowej.

— Chętnie to uczynię — odpowiedziała, zgadując co zaśzło.

— Czy wiesz, gdzie czart ów mieszka? — mówił Lebret — aż w Garenne des Colombes, pod numerem 41-ym.

— Odnajdę ją—rzekła Joanna, nie chcąc wyznać, iż była tam już dziś rano.—Cóż mam powiedzieć pańskiej teściowej.

— Oddasz jej list, który napiszę. Ostatni pociąg, jadący do Paryża, przechodzi przez Bois-Colombes o północy, minut sześć. Potrzeba ci będzie tak się urządzić, ażebyś matkę mej żony mogła przywieźć tym właśnie pociągiem. Nasza chora pragnie widzieć się z nią koniecznie.

— Przywiozę ją, panie Lebret, upewniam. Obecnie mamy dwadzieścia minut po dziewiątej. Zatem o dziesiątej wsiadę na pociąg ze stacyi Saint-Lazare. O trzy kwadransy na jedenastą będę u pani Lebel i przyjadę tu wraz z nią pociągiem przychodzącym o północy.

Lebret, napisawszy list, włożył go w kopertę i podał roznosicielce.

— Pośpiesz się pani—rzekł—oto pieniądze. Wsiadź do powozu, udaj się na stację i z powrotem przyjedź również fiakrem.

Joanna wyszła w oka mgnieniu. Fiaker próżny przejeżdżał właśnie, przywoławszy go, wsiadła i w ciągu kilku minut znalazła się na stacji Saint-Lazare przed odejściem pociągu. O dziesiątej minut dwadzieścia wysiadła w Bois-Colombes i biegnąc szybko, zwróciła się ku Garenne tą samą drogą, którą szła rano.

Głęboka cisza panowała pośród tej wiejskiej ustroni, Joanna jednak nie obawiała się wcale. Szybkim krokiem weszła na drożynę, ciągnącą się obok linii drogi żelaznej.

Owidyusz Soliveau, z nateżonym słuchem, wytrzeszczonymi oczyma, stał nieruchomy na swem stanowisku. Odkąd Łucya przemknęła tuż przed nim, nikt więcej się nie ukazał, droga była pustą zupełnie. Nagle posłyszał odgłos kroków. Podwoił uwagę i wzrokiem przebić ciemności usiłował. Kroki zbliżały się, lecz pochodziły one z przeciwnej strony, nie mogła to być zatem oczekiwana przezeń ofiara.

Soliveau zwrócił głowę ku Bois de Colombes i dostrzegł postać czarną, zaledwie wyróżniającą się zpośród ciemności.

— Zdaje się, że to kobieta—wyszeptał.

W pobliżu kępy drzew owa postać czarna przystanąła, zdając się jakoby namyślać, szukając drogi. Nagle, jakby odnalazłszy ją, zaczęła biedz ścieżką, ciągnącą się około drzew.

— To któraś z tutejszych wieśniaczek — pomyślał Soliveau—zapóźniła się i biegnie.

Joanna Fortier, ona to bowiem była, przeszedłszy tuż koło tego łotra — weszła na gościniec, wiodący do Paryża i zatrzymała się przed domem pani Lebel, gdzie pochwytiwszy za łańcuch od dzwonka, pociągnęła nim gwałtownie. Dźwięk jego doszedł aż do uszu Owidyusza. Przez parę minut matka Eliza nie przerywała dzwonięcia. Nakoniec głos służącej ozwał się w głębi domu:

— Kto tam? kto dzwoni?

— Pilny list przynoszę od pana Lebret, którego żona jest umierającą—odpowiedziała Joanna.

— Zaczekaj pani...

Za chwilę służąca, otworzywszy drzwi, poznała ją.

— To pani przychodziłaś tu wczoraj?—spytała.

— Tak, ja właśnie.

— Pani Lebel, obudziła mnie, usłyszawszy dzwonięcie.
Zapewne mocniej słaba jej córka?

— Biednej kobiecie zaledwie parę godzin życia pozostaje.

Pani Lebel, wdziawszy z pośpiechem spódnice i kaftanik, zeszła z facyaty ze świecą w rękę.

— Mam list do pani—mówiła [żywo Joanna—list bardzo pilny, od pana Lebret.

Pani Lebel, wzięwszy list, rozdarła kopertę i czytała, przyczem najmniejsze wzruszenie nie ukazało się na jej obliczu.

— Dobrze — wyrzekła obojętnie — mój zięć przeprasza mnie, tego właśnie żądałam. Justyno—dodała, zwracając się do służącej — przygotuj mi suknię i futro. Pojedziesz ze mną ostatnim pociągiem do Paryża, chcę widzieć mą córkę przed zgonem. Zaczekaj pani tu na mnie—rzekła do Joanny—będę gotową za chwilę.

I wyszła, aby się ubrać.

* * *

W willi pana mera Łucya ukończyła śpieszniej, niż się spodziewała upinanie girland kwiatowych na sukni.

— Gotowe już, pani—wyrzekła do wrzącej niecierpliwości merowej—brak jeszcze pięciu minut do jedenastej.

— Prędzej, prędzej wdziejaj mi suknię—wołała pani.

Dziewczę nie dało sobie tego powtórzyć. Noc zapadała szybko, a nie chciała się ona spóźnić na pociąg, odchodzący o północy. Ubrać jednak panią merową nie było rzeczą zbyt łatwą. Tu trzeba było fałdę zmienić, ówdzie kwiat poprawić, podpiąć lub spuścić koronkę. Nakoniec po upływie dwudziestu pięciu minut pani merowa uczuła się być zadowoloną.

— A przecie, że ukończyłaś — wyrzekła—możesz panna teraz odjechać, nie zatrzymuję cię dłużej. Dobranoc!

— Dobranoc pani—odpowiedziała Łucya wychodząc.

Pozostawało jej czterdzieści minut czasu dla dojścia na stację, to znaczy więcej, niż jej potrzebą było. Mimo to szła żwawo, nie chcąc opóźnić się pośród wsi w nocnej porze. Niezwykła trwoga ją ogarniała na widok ciemności, otaczających ją wokoło. Przyspieszywszy kroku, biegła szybko wzdłuż cieniowego płotu, odgradzającego ścieżynkę od linii drogi żelaznej.

Owidysz dosłyszał lekki, przyspieszony chód młodej szwaczki. Dobywszy nóż z kieszeni, zrzucił z ostrza owijający go papier i stanął w takiej pozycji, by mógł się rzucić jak tygrys odrazu na swoją zdobycz.

— To ona... — rzekł, nasłuchując.

IV.

Łucya zbliżała się szybko. Mimo ciemności, poznał ją Owidysz. Niosła, jak pierwej, na ręku kawał białego kartonu pani Augusty. Upłynęło parę minut. Dziewczę zbliżało się ku miejscu, gdzie na nią czatował morderca. Skoczywszy nagle, jak dziki jaguar, z nożem w podniesionem ręku, zanim dziewczę spostrzedz zdołało grożące mu niebezpieczeństwo, uderzył w nią nagle. Łucya upadła wydając okrzyk przerażenia. Morderca pochylił się nad nią, a podniósłszy rękę w górę, zadał jej powtórny cios w piersi. Ostrze noża jednakże, napotkawszy metalową zaporę w gorsecie dziewczyny, pękło zamiast wejść w jej piersi.

— Mniejsza z tem...—mruknął zabójca—zrobiłem co należało.

Dostrzegłszy zegarek z łańcuszkiem na staniku Łucyi zerwał go i zabrał, poczem przeszukawszy kieszenie jej sukni wyciągnął znajdujący się tam pugilaresik.

— Tym sposobem—mruknął — sprawa pójdzie na rachunek złodziei.

I pobiegł ścieżką, ciągnącą się pod kępą drzew, którą na chwilę przed tem szła roznosicielka chleba. Nagle zwolnił kroku i zatrzymał się, nasłuchując. Na małej odległości przed sobą dosłyszał rozmowę i trzy ludzkie postacie ukazały mu się w ciemności. Nędznik uskoczył na bok ze ścieżki i biedz począł co sił wpoprzek przez pola uprawne, rzuciwszy po za siebie rękojeść złamanego noża. Trzy ludzkie postacie, które dojrzał Owidyusz, były to Joanna Fortier i pani Lebel wraz ze służącą.

— Upewniam panią, zem słyszała jakiś krzyk od strony drogi żelaznej, tam... naprzeciw nas... z końca tej ścieżki... krzyk przerażający, straszny okrzyk śmierci!—mówiła roznosicielka.

— Zdawało się pani—odpowiedziała zagadniona, której słuch był nieco przytępiionym.

— Nie, ja się nie mylę, słyszałam ów krzyk wyraźnie.

— Może to świstała lokomotywa?

W tej właśnie chwili Owidyusz, chcąc uniknąć spotkania, zaczął uciekać przez pole.

Joanna to spostrzegła.

— Patrz pani... patrz!—wołała, wskazując na cień mknący w oddaleniu. Jakiś człowiek... człowiek, który nas spostrzegł, ucieka... Zbrodnię spełniono gdzieś w pobliżu! Krzyk, który usłyszałam, był krzykiem konającego.

Tu roznosicielka biedz szybko naprzód zaczęła.

Pani Lebel ze służącą szły zwolna. Joanna, biegnąc naprzód, słuch wyteżyła. Przybywszy pod kępę drzew, do miejsca, gdzie się ów dramat rozegrał, przystanąła drżąca. Na ziemi u jej stóp leżało ciało jakieś bezwładnie. Pochyliwszy się, dotknęła palcami kartonu, który Łucya z rąk wypuściła. Dreszcz nerwowy wstrząsnął przybyłą od stóp do głowy. Myśl straszna, przerażająca, przebiegła jej umysł. Przypomniała sobie, iż w przeddzień dnia tego, przy spotkaniu Łucyi w tem samem miejscu, powiedziała jej ona, że nazajutrz wieczorem ma odnieść suknię do Garenne de Colombes. Karton, którego

dotknęła ręką, mógł być owinięciem tej sukni. To ciało więc, leżące przed nią bezwładnie, miałożby być postacią młodej szwaczki?

Na pół obłąkana, ze ściśniętem sercem, uknęła Joanna, zbliżając twarz swoją do tej nieruchomej postaci i unosząc jej głowę, by lepiej dojrzeć. Głuchy jęk wybiegł z jej piersi, gdy w zamordowanej poznała Łucyę.

— Co się stało? — pytała pani Lebel, nadchodząca ze służącą.

— Zbrodnia... morderstwo! — wołała roznosicielka przerywanym głosem. — Zabił je ten nędznik, który uciekał przez pole... Łucyo! ach Łucyo! drogie me dziecię!...

I wdowa Fortier ze łkaniem, pochwycawszy bezwładną rękę dziewczęcia, okrywała ją pocałunkami.

Pani Lebel i służąca drżały z przerażenia.

— Znasz więc pani tę nieszczęśliwą? — pytała pierwsza.

Joanna nie usłyszała zapytania. Uniosłszy bezwładne ciało leżącej, tuliła je do swych piersi. Nagle uczuła ciecz ciepłą, spływającą po palcach.

— Krew z niej uchodzi! — krzyknęła, kładąc zbroczoną rękę na piersiach dziewczyny. — Lecz serce jej uderza! — wołała z radością. — Ona jeszcze żyje!... Boże, mój Boże! okaż swe miłosierdzie! — A zwróciwszy się do pani Lebel: — Umierająca córka na panią oczekuje — dodała — opóźnić się nie możesz... pociąg odchodzi do Paryża... Śpiesz pani! Proszę cię tylko, powiedz na stacyi w Bois Colombes, aby tu kogoś przysłano, któryby mi dopomógł ratować tę nieszczęśliwą... Ja przy niej pozostanę...

— Opowiem wszystko... powiedz mi pani tylko czy znasz ją?

— Czy ją znam? — zawołała Joanna wybuchając łkaniem. — Tak... znam ją... i kocham jak własną mą córkę!..

— Lecz idźmy pani... spieszmy... — wołała służąca — spóźnimy się na pociąg...

To mówiąc ujęła za rękę panią Lebel i uprowadziła ją spieszno.

Obie kobiety zdyszane, wystraszone, przybyły na kilka minut przed odejściem pociągu.

Dwóch żandarmów służbowych znajdowało się na stacyi.

— Panowie... panowie — wołała pani Lebel, zaledwie oddech pochwyć zdołając — okropna zbrodnia spełnioną została...

— Zbrodnia... gdzie... gdzie? — pytał brygadyer.

— Na drodze... na ścieżce biegnącej około plantu drogi żelaznej Saint-Germain.

— Zbrodnia jakiego rodzaju?

— Zamordowano młodą dziewczynę; pozostawiłyśmy przy niej naszą towarzyszkę...

— Dziewczyna ta umarła?

— Leży bezwładnie... krew z niej uchodził..

— Wskaż pani jasno nam miejsce...

— W pobliżu ścieżki, przecinającej pole... pod kępą drzew.

— To wystarcza... Jedziemy tam natychmiast.

— Trzeba jednak wziąć z sobą drążki, lub nosze, ażeby na nich przenieść tą nieszczęśliwą — mówiła pani Lebel.

— Biegnij, Larchand — rzekł brygadyer do drugiego żandarma — zbudź komisarza policyi. Weź nosze z żandarmeryi i dwóch ludzi... Ja idę zaraz na miejsce zbrodni.

Żandarm pobiegł spełnić rozkazy.

Brygadyer podszedł ku pani Lebel.

— Nazwisko pani? — zapytał.

— Wdowa Lebel.

— Zajęcie?

— Jestem kapitalistką.

— Miejsce zamieszkania?

— Mieszkam we własnym domu przy drodze do Paryża, numer 41. w Garenne des Colombes.

Zapisawszy to wszystko, brygadyer udał się na wskazane miejsce wypadku.

Lokomotywa gwizdnęła, pociąg miał ruszyć za chwilę.

Służąca wróciła z kupionemi biletami i obie z panią Lebel przeszły na plant, wsiadając do wagonu.

Brygadyer podążając szybko, przybył wkrótce do Joanny, która wpół klęcząc podtrzymywała głowę zranionej. Biedne dziewczę żyło, lecz była pogrążoną w omdleniu.

Spostrzegłszy nadchodzącego brygadyera, roznosicielka zapomniała o trwodze jaką sprawiał jej zwykły widok żandar mów i powtała go okrzykiem radości.

— Ach! panie, przybywaj na pomoc... — wyrzekła. — To biedne dziewczę umiera!

— Jesteś pani przekonana, że ciężko ranioną została?

— Ma ranę zadaną w piersi... Niewiem jak ona jest głęboką, lecz krew bezustannie spływa po mych rękach.. Trzeba ją ztąd wynieść najspieszniej.

— Pomoc przybędzie natychmiast.. Posłałem po komisarza, po nosze i dwóch ludzi.

— Ależ tu potrzeba doktora!.. — zawołała Joanna.

— Masz pani słuszność; komisarz pewno go z sobą przyprowadzi.

Wśród głębokiego milczenia nocy, zabrzmiał głos w oddaleniu.

— Brygadyerze... gdzie jesteś?

— Tu... tu! — odpowiedział zapytany, poznawszy głos swego podwładnego. — Idźcie za śladem płotu przy drodze żelaznej.

Wkrótce pośród ciemności ukazały się światła latarni; słychać było przyspieszone stąpania.

V.

Larchaud zdyszany, z czołem oblanem potem, biegł, wyprzedzając gromadkę ludzi idących poza sobą.

— Otóż nadchodzi pan komisarz — rzekł żandarm — znalazłem go przy wieczerzy z doktorem Duval a wraz z nim i moi towarzysze z noszami.

— Dzielnieś się spisał Larchaud — wyrzekł brygadyer.

Wymienieni przybyli wkrótce na miejsce zbrodni. Komisarz policyi z doktorem, szli na czele. Za nimi postępowało czterech żandarmów, z których dwaj nieśli nosze, dwaj zaś inni trzymali w ręku latarnie. Ci ostatni zbliżywszy się, oświetlili całą grupę.

Błada, z zamkniętymi oczyma Łucya, niedawała znaku życia..

— Kto jest ta kobieta? — zapytał komisarz, wskazując na Joannę Fortier, tak bladą jak i zraniona, całą krwią pokrytą.

Brygadyer opowiedział szczegóły posłyszane od pani Lebel.

— Zatem pani znasz tą dziewczynę? — zapytał.

— Tak panie.

— Któż ona jest?

— Pocziwe, pracowite dziecko, mieszka w Paryżu, w tym samym domu gdzie ja zamieszkiwałam.

— Zkąd i dlaczego znalazła się o północy w tak bezludnym miejscu?

— Jest szwaczką, odnosiła suknię balową żonie pana mera. Widzisz pan karton opróżniony tuż przy niej.

— A pani zkąd się tu wzięłaś o tej godzinie?

Joanna wyjaśniła powód swego przybycia.

Komisarz uznał powód ten za dostateczny, tem więcej, iż zgadzał się on z wyjaśnieniem pani Lebel.

— Opowiedzże nam pani, co widziałaś... slyszalaś?.. — pytał dalej.

Joanna powtórzyła w krótkości to wszystko, o czem już wiedzą czytelnicy.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa, powodem zbrodni była kradzież — wyrzekł komisarz. — Człowiek, któregoś pani dostrzegła uciekającego w nocy przez pole, był niewątpliwie zabójcą. W obecnej porze niemożliwym nam jest śledzić go. Od jutra rozpoczniemy poszukiwania. Ów nędznik należy z pewnością do bandy łotrów, jaka od miesiąca operuje po wsiach nocami; mam nadzieję, że on wymknać nam się nie zdoła.

— Jakież twój wyrok doktorze, co do ranionej? — zapytał.

— Rana, pomimo, że jest ciężką — rzekł lekarz — zdaje mi się, iż nie jest śmiertelną.

— Oby Bóg wysłuchał słów pańskich! — zawołała z płaczem Joanna.

— Fiszbiny gorsetu, odbiły cios, ocalając życie dziewczęcia — rzekł doktor. — Mam nadzieję, iż ostrze narzędzia w głąb płuc przeniknąć nie zdołało.

— A toż co? — zawołał komisarz, dojrzawszy przy świetle latarni połyskujący na ziemi jakiś metalowy przedmiot, który podniósł.

— Otóż połowa złamanego noża — rzekł doktor — jakiego użył morderca. To ostrze, niosąc powtórny cios, napotkało brykę stalową w gorsecie, oto tu... patrz pan... i o nią się złamało.

— Opatrzność czuwała nad biedną! — szepnęła matka Eliza.

— Niepodobna nam teraz rozpoczynać śledztwa... Cóż zrobimy doktorze? — pytał komisarz dalej.

— Trzeba przenieść to dziewczę na noszach z najwyższemi staraniem.

— Niechaj ją do mnie przeniosą — wyrzekł komisarz. — Mam wolny pokój, ta poczciwa kobieta — dodał, wskazując na Joannę dozorować ją może.

— O! tak... ja nie opuszczę jej!.. — wołała roznościelka.

— Spieszcie się zatem... — rzekł doktor. — Zrobię opatrunek tymczasowy, a jutro rano zobaczymy.

Komisarz wydał rozkazy. Łucyę wciąż bladą, bez życia złożono ostrożnie na noszach, poczem cały ów smutny orszak wyruszył drogą do Bois-Colombes.

Podczas wędrówki komisarz zadawał różne pytania Joannie, na które jasno odpowiadała. Przybyli nareszcie do domu, w którym Łucya znalazła gościnność.

Żona komisarza, wraz ze służącą pośpieszyły przygotować łóżko dla dziewczęcia. Skoro na nim Łucyę złożoną, doktor wysondował ranę, upewniając, iż się nie mylił, twierdząc pierwotnie, że rana nie była śmiertelną, przystąpił więc do opatrunku, w czasie czego komisarz i brygadyer przeszukiwali suknię dziewczęcia.

— Wyraźnie dla kradzieży usiłowano ją zamordować — rzekł żandarm. — Kieszenie w sukni przewrócone na odwrotną stronę, jak i butonierka rozerwana na staniku, świadczą, że zerwano jakiś przedmiot, który się na niej znajdował.

— Zegarek panie... — rzekła Joanna — brała go zawsze wychodząc.

Zaczęto spisywać protokół i około trzeciej nad ranem rozdzielono się, pozostawiając ranioną i wciąż omdlałą Łucyę pod pieczę matki Elizy.

Komisarz odsyłając żandarmów, polecił im, aby nazajutrz równo ze dniem znajdowali się na miejscu spełnionej zbrodni, dokąd i sam przybyć postanowił.

Owidysz Soliveau w mgnieniu oka przebiegł drogę, wiodącą do Paryża i z całą szybkością wpadł do Courbevoie, gdzie Harmant nań oczekiwał.

Przybywszy do bocznych drzwi fabryki, znalazł je otwartymi.

Garaud rozgorączkowany i drżący, oczekiwał go w progu, zapytując ledwie dosłyszonym głosem.

— I cóż?

— Spełnione — odparł Soliveau. — Trzeba nam wracać do Paryża... Lucyan Labroue jest teraz wdowcem z lewej ręki. Pozostaje mu tylko zaślubić twą córkę w obec mera.

Zamknąwszy drzwi, udali się obaj do gabinetu, a jednocześnie turkot powozu dał się słyszeć na zewnątrz.

— Co to jest? — zawołał wyteżając słuch Owidysz.

— Mój powóz zajężdza, według wydanych rozkazów.

Soliveau pośpieszył z przebraniem, a włożywszy zdjęty z siebie ubiór w walizę, wsunął do kieszeni zegarek i pugilaresik, Łucyi skradziony.

— Jestem gotów... — rzekł, biorąc w rękę walizkę.

— Więc jedźmy.

Garaud zgasiwszy światła, wyszedł przez bramę z Owidyszem.

Powóz oczekiwał w ulicy. Wsiedli weń oba.

— Gdzie chcesz, abym cię zawiózł? — pytał przemysłowiec.

— Na bulwary w Batignolles, ztamtąd będę miał blisko do siebie.

— Na bulwar Batignolles... — zawołał Harmant na woźnicę.

Konie szybko pomknęły, nie zatrzymawszy się, aż w miejscu wskazanem, gdzie obaj złoczyńcy się rozłączyli.

Garaud powrócił do pałacu.

— Marya ocalona nareszcie!.. — myślał — jej rywalka już nie istnieje. Niezadługo u stóp mej córki ujrzę Lucyana Labroue.

Owidyusz zaś udając się do łóżka powtarzał:

— Teraz kochany kuzynie trzeba nam uregulować rachunek, a będzie on potężnym... uprzedzam!

* * *

Równo ze świtem komisarz policyi z Bois Colombes wraz z sekretarzem i żandarmami przybył pod kępę drzew na miejsce, gdzie Łucya upadła pod morderczym ciosem, ręką Owidyusza zadany.

Śledztwo wykazało, że zbrodniarz czatował, leżąc w krzakach, gdzie ślad był widocznym, czekając na któregoś z przechodniów. Co do rękojeści noża, przy którym trzymała się połowa ostrza, drugiej połowy odnaleźć niepodobna było. Rozpoczęto przeszukiwania na drodze Bois de Colombes.

Doktór przybył do łóża chorej, która po długich godzinach omdlenia, zaczęła odzyskiwać wreszcie przytomność.

Łucya otwarłszy oczy, powiodła w około siebie zrazu niepewnym, następnie niespokojnym spojrzeniem. Zmarszczyła czoło, myśli jej wyraźnie pracować zaczęły. Nagle spostrzegłszy matkę Elizę, chciała wydać okrzyk radości, lecz tenże powstrzymany bólem, zamarł na jej ustach.

Joanna pochyliła się ku niej.

— Poznajesz mnie drogie dziecko? — pytała.

— Tak... tak! — odrzekła Łucya słabym głosem — lecz nie znam miejsca, w którym się znajduję... Nigdy tu nie byłam... Gdzie ja jestem?

— Znajdujesz się w mieszkaniu pana komisarza policyi, z Bois de Colombes.

Słowa te przywiodły na pamięć dziewczynie wszystko, co zaszło nocy poprzedzającej.

23

VI.

Komisarz zbliżył się teraz do chorej.

— Zostałaś pani ranioną — rzekł — obowiązkiem było z mej strony dać ci w mym domu schronienie.

— Tak... tak!.. przypominam sobie... — szepnęło dziewczę. — Znosiłam suknię balową do Garennes... Wracając, szłam drogą przez Bois Colombes, dążąc na pociąg odchodzący do Paryża... gdy nagle, jakiś człowiek wypadł z zarośli i zadał mi cios w piersi. Odtąd, aż do chwili, gdym otworzyła oczy ciemność mój umysł zalega.

— Czyś nie dojrzała oblicza tego człowieka, który w ciebie uderzył?

— Nie panie... Noc była zbyt ciemna.

— Miałaś na sobie zegarek... nieprawdaż?

— Tak... złoty zegarek z łańcuszkiem.

— I pugilaresik?

— Również.

— Cóż w nim było?

— Trzydzieści franków i bilet na powrotną jazdę drogą żelazną.

— Widocznie więc dla ułatwienia kradzieży zabić cię usiłował. Wszystkie zegarki jednak mają wyryte wewnątrz numeru. Pamiętasz numer tegoż?

— Nie panie.

— Gdzie go kupiłaś?

— Otrzymałam go w podarunku. Wiem jednak, że został nabyty w sklepie zegarmistrza, przy ulicy św. Antoniego, na rogu, przy passażu Guémenie.

Komisarz zapisywał otrzymane szczegóły.

— Czy mógłbym prosić — dodał — o nazwisko osoby, której ten zegarek został sprzedanym?

— Owszem... wyjawię je panu. Jest nim mój narzeczonny, Lucyan Labroue.

Komisarz zapisał to nowe objaśnienie.

— Ów nędznik, morderca — rzekł — będzie się starał zapewne sprzedać ukradziony zegarek. Znając numer tegoż, wpadniemy na jego ślady.

— Muszę być ciężko ranioną — wyrzekła Łucya — ponieważ bardzo cierpię.

— Pojmuję, że cierpisz, me dziecko — rzekł lekarz — rana jest głęboką, nie grozi ci jednak niebezpieczeństwo i mam nadzieję, że wkrótce zagojoną zostanie. Szczęśliwy traf zdarzył, że ta zacna, znajoma ci kobieta szła drogą w owej chwili, gdyś padła pod ciosem mordercy. Inaczej zmarłabyś na miejscu skutkiem upływu krwi.

— Ach! dobra matko Elizo, tobie więc zawdzięczam me życie! — wołała dziewczę, wyciągając ręce ku roznosicielce.

Joanna przytuliła Łucyę do serca.

— Od jak dawna tu jestem? — pytała chora dalej.

— Od wczoraj.

— Czy nie mogłabym być przewiezioną do Paryża?

— Zezwolisz na tę podróż, doktorze? — ozwał się komisarz.

— Moznaby zreszt... zorem dopiero, po ścisłem opatrzeniu rany — rzekł lekarz.

— Matko Elizo, nie opuścisz mnie, wszak prawda? — pytała chora.

— Nie, moje dziecko. Chciałabym jednak pójść do piekarni, uprzedzić pryncypała o tem, co zaszło. Będę się starała wrócić jaknajprędzej.

— Tak... w rzeczy samej, powiadomić go trzeba; idź więc, lecz wracaj co rychlej...

— Bądź spokojną — rzekł komisarz do chorej — nie pozostaniesz tu samą. Moja żona będzie przy tobie do chwili powrotu tej pani.

— Ach! jak pan jesteś dobrym... — szeptała Łucya z rozrzewnieniem — dziękuję, stoćdziękuje!

— Idź więc, moja zacna kobieto — rzekł, zwracając się do Joanny. — Zostawiasz chorą pod tkliwą opieką.

Roznosicielka chleba, ucałowawszy Łucyę, wyszła z pośpiechem, podążając na stację drogi żelaznej.

Przy wejściu na ulicę Delfinatu zatrzymała się jak wryta. Na okiennicach mieszkania, jak również i na drzwiach piekarni dojrzała przyklejoną kartę tej treści:

Zamknięto z powodu śmierci właścicielki.

Joanna ze ściśniętym sercem weszła do mieszkania znajdującego się za sklepem, gdzie zastała panią Lebel, Lebreta i służącą. Płakali we troje.

— Skończono, matko Elizo—rzekł piekarz przerywanym głosem—ma biedna żona umarła...

— Przebacz mi pan, panie Lebret — odparła ze łzami w oczach roznosicielka—przebacz, żem nie mogła tu znajdować się wczoraj.

— Moja teściowa opowiedziała mi wszystko... Jesteś zupełnie wytłumaczoną, Elizo. Żona przywoływała cię przed zgonem... Chciała cię widzieć koniecznie... Bardzo cię kochała. Wszak nie opuścisz mnie? — mówił dalej—zostaniesz roznosicielką jak przedtem?

Joanna łkała.

— Chciałam prosić cię, panie Lebret — wyjąkała po chwili—byś mi udzielił pozwolenie na wyjazd do Bois Colombe, przyrzekłam biednej ranionej, iż dziś powrócę do niej.

— Idź... chętnie na to się godzę.

— Jakże się ma to dziewczę?—pytała pani Lebel.

— Nieco lepiej. Rana, pomimo, iż jest głęboką, nie grozi niebezpieczeństwem. Powrócę tam, aby biedną Łucyę przywieźć dziś wieczorem do Paryża.

— Jedź więc, nie zwlekaj—rzekł Lebret.—Piekarnia przez dwa dni będzie zamkniętą; służąca zastąpi cię w roznoszeniu chleba, który piec będą u mego sąsiada.

— Jutro zrana przyjdę tu i obejmę mą służbę—odpowiedziała Joanna; — chcę być obecną podczas pogrzebu i od-

74
prowadzić na cmentarz mą panią, która mi tyle względów okazywała.

Słowa te wywołały łzy z oczu męża i matki zmarłej.

Roznosicielka oddaliła się z wolna. Po drodze wstąpiła na filiżankę kawy do mleczarni, poczem udała się na pociąg drogi żelaznej.

Była blisko trzecia, gdy przybyła do łóża chorej. Łucya spała głęboko, żona komisarza przy niej czuwała.

Podczas gdy Joanna dojeżdżała do Bois Colombes, w pracowni pani Augusty panowało wielkie zaniepokojenie z przyczyny, iż Łucya nie przybyła jak zwykle dla złożenia sprawozdania z dokonanej roboty. Gdy czas upływał, a dziewczę nie ukazywało się wcale, pani Augusta posłała jedną z robotnic na ulicę Bourbon. Dziewczyna wróciła z oznajmieniem, że Łucya, wyjechawszy dnia poprzedniego do Bois Colombes, nie ukazało się więcej. Nieobecność jej do tego stopnia zatrzwożyła modniarkę, że dla powzięcia wiadomości wysłała służącego do Colombes. Powrócił z oznajmieniem, iż młoda szwaczka wyszła od pani merowej o kwadrans na dwunastą w nocy, by odchodzącym pociągiem powrócić do Paryża.

Niepokój pani Augusty w trwogę się zmienił. Przekonaną była, iż Łucyę spotkał straszny jakiś wypadek; wyrzucała sobie, iż o tak późnej porze wysłała ją do Garenne. W całej pracowni mówiono jedynie teraz o tajemniczem zniknięciu dziewczyny. O siódmej wieczorem pani Augusta przywołała do siebie Amandę.

— Mam prośbę do ciebie...—wyrzekła.

— Co pani rozkażesz?

— Wyszedłszy ztąd, weź powóz na mój koszt i jedź na ulicę Bourbon dla przekonania się na miejscu, czy Łucya nie powróciła. Powróć tym samym fiakrem dla powiadomienia mnie o tem.

Amanda skrzywiła się zlekka, nie dając jednakże poznać swego niezadowolenia,

— Z chęcią to uczynię—odpowiedziała, poczem, zmieniw-

szy szybko ubranie, wyszła na ulicę, gdzie Owidyusz na nią oczekiwał.

— Znowu kłopot i utrudzenie daremne! — zawołała, podchodząc ku niemu.

— Gdzie? za czem?

— Ta sroka Łucya gdzieś nam zniknęła.

— Zniknęła? — powtórzył Soliveau z udanem zdziwieniem.

— Tak, mój kochany.

— Lecz w jaki sposób? kiedy?

— Po wyjściu z Garenne de Colombes o kwadrans na dwunastą nie ukazała się wcale.

— Miałaby paść ofiarą zbrodni lub jakiego wypadku?

— Obawiając się tego właśnie, pani Augusta posyła mnie do niej dla powzięcia wiadomości.

— Pojadę z tobą...

— Najchętniej, właśnie o to prosić cię chciałam.

VII.

Owidyusz przywoławszy fiakra rozkazał mu jechać na ulicę de Bourbon. Łotr ten chciał się dowiedzieć, czy Łucya została poznana i czyli rozgłos o jej nagłej śmierci doszedł do domu, gdzie zamieszkiwała. Oczekiwał zatem niecierpliwie powrotu Amandy.

— Czy panna Łucya wróciła? — pytała szwaczka, podchodząc do okienka odźwiernej.

— Nie, pani; wszyscy mocno są tem zaniepokojeni. Jeżeli nie powróci do jutra rana, pójdę powiadomić komisarza cyrkulowego—odpowiedziała kobieta.

Amanda, którą mało to obchodziło, nie badała więcej.

— Trwożą się o tę świętoszkę — mruknęła — a ja zaręczam, że wprost uciekła z kochankiem. Ot wszystko!

— I cóż?—zapytał Soliveau, skoro wsiadła do powozu.

— Nie powróciła, nikt o niej nie wie. Wracajmy na ulicę św. Honoryusza, muszę powiadomić o tem, co mi zakomunikowano, panią Augustę, następnie pójdziemy razem na obiad.

Soliveau rozpromieniał radością. Był teraz pewien, że cios jego nie chybił.

* * *

Jak wiemy, doktor w Bois Colombes pozwolił Łucyi powrócić do Paryża. Śpieszymy objaśnić, dlaczego nie powróciła w chwili, gdy Amanda z rozkazu właścicielki magazynu dowiadywała się o nią wieczorem.

Gdy Joanna Fortier przybyła do Bois Colombes, Łucya spała pod pieczę żony komisarza. On sam zmuszonym był wyjechać dla złożenia w urzędzie sprawozdania o wynikłym wypadku.

Sen Łucyi zrazu spokojny, zwolna nerwowym się stawał. Po przebudzeniu uległa silnej gorączce. Gdy doktor przyszedł odwiedzić chorą, zaniepokoił się tą nieprzewidzianą zmianą, mogącą sprowadzić smutne następstwa i oświadczył, że przewiezienie jej wobec tego na teraz niepodobnem się staje.

— Wszystko—rzekł—na co mógłbym pozwolić, to jedynie, aby ją przeniesiono gdzie do najbliższego szpitala, gdyby jej obecność państwu kłopot sprawiała.

— Nigdy nie zgodzę się na to! — zawołała żona komisarza—to dziewczę u nas pozostanie, będę je pielęgnowała jak własne swe dziecię.

Łucya spojrzeniem wyraziła podziękę mówiącej, zwracając wzrok ku Joannie Fortier. Roznosicielka zrozumiała znaczenie tego spojrzenia.

— Nie opuszczę cię, drogie, kochane dziecię!—mówiła.— Chciałabym jednak być jutro w Paryżu na pogrzebie pani Lebret.

— Pani Lebret umarła?—szepnęła Łucya zcicha.

— Tak, nocy dzisiejszej, po widzeniu się z matką.

— Dobra Elizo... — poczęło dziewczę słabym, przyciszoneym głosem — ja nie chcę, ażebyś dla mnie miała utracić miejsce u pana Lebret, które ci daje możność wyżywienia się... Wracaj do swego obowiązku, ale przyrzeknij mi, iż codziennie przybędziesz do mnie choć na chwilę i będziesz przynosiła mi listy, jakie zapewne nadeszły na ulicę Bourbon.

— Uczynię, co żądasz—odpowiedziała Joanna.—A może zechciałabyś sama słów parę napisać?

— Zabraniam wszelkiego utrudzenia i natężenia umysłu—rzekł doktor.

— Ja więc napiszę za ciebie — mówiła roznosicielka, a zwróciwszy się do żony komisarza, dodała:

— To list do jej narzeczonego. Jest on w podróży obecnie i mocno zapewne niepokoi się, nie odbierając od niej wiadomości.

— Masz pani słuszność, trzeba go powiadomić o tem, co nastąpiło, dodaj pani jednakże, iż pannie Łucyi nie zagraża żadne niebezpieczeństwo jak również, że wyleczenie nastąpi niezadługo.

— Co potwierdzam—odezwał się doktor. Ostrze nie dotknęło żadnego z organów; fiszliny gorsetu odbiły cios, który przeciął jedynie ciało z jednego boku. Od dziś za osiem dni, jak mniemam, chora wstać będzie mogła.

Komisarz, wróciwszy z Paryża, wszedł do pokoju. Potwierdził zamiar swej żony, oddając się wraz z nią na usługi chorej.

Około dziewiątej wieczorem matka Eliza poczęła się zabrać do drogi, obiecując Łucyi, iż przybędzie nazajutrz i przyniesie jej listy, jakie nadeszły,

— Powiadom, proszę, o wszystkim panią Augustę—dodało dziewczę.

— Tak—rzekł komisarz. — Ale zobowiąż ją pani, ażeby zachowała w tajemnicy szczegóły napadu, jakiego panna Łucya omal nie stała się ofiarą. Nie chcemy, ażeby ten fakt był znanym, rozgłoszonym i publikowanym w dziennikach. Na-

16
czelnik policyi, od którego właśnie powracam, żąda, aby najgłębsze milczenie otoczyło całą tę sprawę.

— Dlaczego?—pytał doktor.

— Dla bardzo prostej przyczyny. Nie słysząc o tym wypadku, lotry, plądrujący w naszej okolicy, bez obawy popełnią jaką nieroztropność, dzięki której schwytać ich będzie można. Mniemając, że ofiara lekko tylko ranioną została, z ufnością będą działali dalej. My zaś dobrą ich otoczmy strażą. Przyzwałem agentów z Paryża, będąc pewien, że od dnia dzisiejszego podróżni zmuszeni nocą wędrować przez ustroń naszą, nie będą potrzebowali obawiać się o życie. Powiedz zatem pani ot! krótko, że panna Łucya uległa wypadkowi, a nie zbrodniczej napaści.

Joanna, przyrzekłszy zastosować się do otrzymanych poleceń, odeszła. Oddana całkowicie ocaleniu Łucyi, nie pomyślała, że zbrodnia, popełniona na młodem dziewczęciu, może ją przywieść w charakterze świadka przed trybunał sądu i policyę, które dla znanych nam powodów napełniały ją nieprzewyciężoną trwogą. Jadąc drogą żelazną do Paryża, przypomniała to sobie, pogrążając się w najsmutniejsze rozmyślenia. Jeden wyraz, jeden gest niepewności albo wachania, mogły ją były zgubić już poprzedniego wieczoru, wiedziała bowiem od Lucyana Labroue, że rysopis Joanny Fortier, zbiegłej z więzienia w Clermont, rozesłany został do wszystkich policyjnych oddziałów i brygad żandarmeryi. Drżała z przestachu na myśl niebezpieczeństwa, któremu tak śmiało czoło stawiała, a z którym spotkać się jeszcze było jej trzeba. Dotąd najmniejsze podejrzenie co do jej tożsamości nie obudziło się w umyśle komisarza. Zresztą, jak poznać można było Joannę Fortier w osobie Elizy Perrin, roznosicielki chleba, znanej w całym okręgu pod mianem *matki Elizy*? Widocznie Bóg się nią opiekował i nie odmówi jej nadal swej łaski. Myślała tak jadąc, zwolna niknęły jej obawy, a w półśennem marzeniu powracała do Łucyi.

— Biedne, niewinne dziewczę, chciano ją zabić! — szepnęła.— Gdyby zamiast ją zastać ranioną, lecz żyjącą jeszcze, byłabym znalazła jej trupa, to stałoby się przyczyną mej śmierci!

Za przybyciem do Paryża, czując się mocno znużoną, udała się wprost do swego mieszkania. Odźwierna wybiegła radośnie na jej spotkanie.

— Ach! jak to dobrze, żeś przyszła, matko Elizo, udzielisz mi, być może, jaką wiadomość o pannie Łucyi, co się z nią stało?—wołała. — Od wczorajszego wieczoru, gdy wyjechała do Garenne de Colombes, odwożąc suknię dla pani merowej, nie ukazała się więcej. Dwa razy przysyłano tu ze szwalni, pytając o nią. Nie wiesz pani, gdzie ona jest, co to znaczy?

— Łucya jest chorą...—odpowiedziała roznosicielka.

— Chorą?—powtórzyła odźwierna—ach! biedne nieboże... Lecz co jej jest? gdzie się znajduje?

— Idąc na stację w Bois Colombes wśród ciemnej nocy potknęła się, upadła, zraniwszy się w bok silnie.

— Zraniła się? Boże wielki! może niebezpiecznie?

— Nie... szczęściem nie ciężko... niedługo wyzdrowieje. Za kilka dni będzie tu mogła powrócić.

— Jak to dobrze... uspokoiłaś mnie pani. Chciałam już uwiadomić komisarza policyi.

— To niepotrzebne... Należy jedynie zawiadomić panią Augustę. Pójdę jutro do niej.

— Lecz zkaż pani dowiedziałaś się o wypadku panny Łucyi?

— Przysłała posłańca do piekarni... Ale... prosiła mnie, aby zapytać, czy nie nadeszły tu jakie listy do niej.

— Jest jeden...

— Zabiorę go jutro, by jej doręczyć.

— A pani Lebret jakże się miewa? Nie przysłano nam dzisiaj chleba...

— Biedna kobieta zmarła ubiegłej nocy.

47 — Czy podobna? — zawołała odźwierna, wznosząc ręce ku niebu. — Była młodszą odemnie i zmarła... Otóż to życie człowieka!

Joanna pozostawiwszy kobietę rozmyślaniom nad znikomością ludzkiej egzystencji, poszła do siebie, by udać się na spoczynek, którego bardzo potrzebowała.

Nazajutrz odbywszy swój zwykły obchód z roznoszeniem chleba, wóciła, aby przebrawszy się, towarzyszyć pogrzebowi pani Lebret. Przez ten czas drugi list nadszedł od Lucyana. Joanna zabrała oba, a przed udaniem się na pogrzeb, poszła uspokoić panią Augustę, powtarzając jej historję opowiedzianą odźwiernej.

Modniarka uwierzyła jej słowom w zupełności, wyrażając głęboki żal po nad dziewczęciem, jakie uważała za najlepszą ze swych robotnic.

Po pogrzebie, matka Eliza odjechała do Bois Colombes, gdzie Łucya oczekiwała jej z łatwą do zrozumienia niecierpliwością. Gorączka zmniejszyła się, rana powoli zablizniać się poczyniała. W ogóle stan chorej był nader zadawalniającym, o czem doktor powiadomił Joannę.

VIII.

Łucya czytała, a raczej pochłaniała oczyma listy, przyniesione sobie przez matkę Elizę. Oba one pochodziły od Lucyana. W ostatnim liście wyrzucał milczenie narzeczonej, które napawało go niepokojem. Łucya dała te oba listy do odczytania Joannie.

— Trzeba mu natychmiast odpisać, ażeby odpowiedź mógł otrzymać koniecznie jutro z rana.

— Lecz jeżeli ty mu odpiszesz, matko Elizo — dziewczę odpowie — zwiększy to jego obawy. Będzie sądził pomimo wszystko, że chora niebezpiecznie.

— To prawda... Nie pomyślałam o tem... Jak więc uczynić?

— Ja sama do niego napiszę.

— Będąc tak chorą?

— Zdołam utrzymać pióro...

— Lecz doktor wzbronił ci tego surowo.

— Doktor nie potrzebuje o tem wiedzieć.

— A jeśli tem wysileniem pogorszysz swe zdrowie?

— Czuję się znacznie lepiej... To mnie nie znuży. Tam, na tym stole leży bibuła, papier i pióro. Zechciej mi podać to wszystko tu na łóżko i potrzyмай kałamarz.

Joanna uczyniła zadość prośbie chorej i Łucya drżącą ręką nakreśliła następujące wyrazy:

Ukochany mój Lucykanie!

„Chcę wyznać tobie całą prawdę, lecz się nie obawiaj, ponieważ przysięgam ci, iż nic nie ukrywam, czembyś mógł się zaniepokoić. Leżę w łóżku zraniona. Sam osądź, że rana nie może być ciężką, skoro pisać do ciebie jestem w stanie.

Stałam się ofiarą ohydneho zamachu; chciano mnie zabić dla okradzenia i zabrano mi przedmiot najdroższy w świecie, mój złoty zegareczek, jaki od ciebie w darze otrzymałam. Posłuchaj tedy, co zaszło.

.....

Tu opisała swoją wędrowkę do Garenne, napaść nieznanego, upadek i omdlenie, oraz opatrnościowe nadejście matki Elizy i życzliwe przyjęcie, jakiego doznała w domu komisarza policyi z Bois de Colombes. Zakończyła list temi słowy:

„Za dwa, lub trzy dni, będę mogła wrócić do Paryża, do mego pokoiku, gdzie wszystko tak mi mówi o tobie i gdzie znów rozpocznę mą pracę. Nie troszcz się, nie jestem osamotnioną. Żona komisarza, niewypowiedzianie przyjemna i dobra osoba, otacza mnie swą pieczą, a zacna nasza matka Eliza odwiedza mnie codziennie.

„Nieszczęście, jakie mnie spotkało przyjmuję z rezygnacją i nie uskarżałabym się na nie bynajmniej, gdybym mogła powtórzyć ci ustnie, iż kocham cię więcej, niż kiedykolwiek i kochać nigdy nie przestanę.

Twoja na zawsze Łucya.“

Ucałowawszy ów list, by tym sposobem przesłać z oddalenia pocałunek narzeczonemu, dziewczę wsunęło go w kopertę, a po napisaniu adresu oddała Joannie. Był czas ku temu, ponieważ właśnie doktor wszedł i dobrze, iż nie spostrzegł tego wykroczenia przeciwko danym poleceniom. Stwierdziwszy znaczne polepszenie w stanie zdrowia chorej, przepisał lekarstwo, polecając używać takowe co godzina dla szybszego wzmocnienia sił słabej.

Joanna przyniosłszy miksturę z apteki, odjechała do Paryża.

Lecz wróćmy do panny Amandy. Była ona w tym dniu nadzwyczaj rozdrażnioną. Oczekiwała bowiem w porze śniadania na przybycie mniemanego barona de Reiss, który nie ukazał się wcale, nie raczył nawet ją powiadomić, z jakiej przyczyny przybyć nie mógł. W ciągu dnia odebrała list z poczty od niego, w którym znajdował się bilet tysiąc frankowy.

W liście tym oznajmiał pan Arnold, iż zagniony nieprzewidzianymi okolicznościami, zmuszającemi go do natychmiastowego udania się w długą i daleką podróż, przesyła jej pożegnanie.

Amanda zmięła list w palcach gniewliwie, wyjąwszy zeń jednak tysiąc frankówkę, którą starannie schowała.

Czyż nagły ów wyjazd nie oznaczał ostatecznego zerwania?.. Byłaż ta jego podróż prawdziwą? Oto pytania, jakie zadawała sobie pognębiona, widząc zburzonymi od razu wszystkie swe nadzieje. Nie było sposobu przekonać się o prawdzie. Owidyusz żadnych wskazówek nie dostarczył w tym względzie.

Lepiej powiadomieni od panny Amandy nasi czytelnicy, zrozumieją, że tu chodziło o stanowcze zerwanie stosunków. Bilet tysiąc frankowy został jej nadesłany, jako wynagrodzenie za udzielone co do Łucyi objaśnienia. Nie potrzebując już teraz panny magazynowej odsunął ją na bok, będąc przekonanym, iż nie zobaczy jej więcej. Mylił się jednak w tym razie.

* * *

Lucyan Labroue po odebraniu listu od narzeczonej, uczuł się strasznym ciosem dotknięty.

Łucya była bliską śmiercią!.. Ofiarą zbrodniczego zamachu jakiegoś mordercy... Leżała, pognębiona cierpieniem, a on nie mógł być przy niej, aby ją pielęgnować, pocieszyć! Być może, myślał, iż dziewczę chcąc mu oszczędzić boleści, ukrywało przed nim niebezpieczny stan swego zdrowia?

Lucyan doświadczał niewysłowionych cierpień moralnych. Co począć bowiem? Jechać do Paryża?.. Porzucić nadzór robót, jaki mu powierzono? Zdradzić zaufanie swego pryncypała? Mógłże to uczynić? Niepodobna było bez narażenia sobie Harmanta, bez ryzykowania się na utratę miejsca i zburzenia całej swojej przyszłości. Zmuszonym był wyczekiwać ukończenia robót w Bellegarde, poprzestając na tygodniowej korespondencji z narzeczoną.

— Ach! gdybym był wolnym... jakżebym rad do niej pośpieszył!.. — mówił po uczynionem postanowieniu.

Z tego wszystkiego, co przytoczyliśmy powyżej, wynika, iż nikt nie podejrzewał prawdziwych powodów morderstwa... Wszyscy byli przekonani, iż cała ta sprawa została spełnioną dla kradzieży przez jakiegoś nocnego włóczęgę, z kąd Owidyusz i jego wspólnik Harmant, sądzili się być bezpiecznymi zupełnie. Obadwaj oni śledzili z uwagą ogłoszenia w dziennikach, by się przekonać, czyli publikowano o zbrodni w Bois de Colombes. Dzienniki milczały o tym wypadku, z czego oba-

dwaj złooczyńcy mocno się czuli zadowoleni. Sąd nie poruszył się zarówno na odgłos sprawy, która nie spowodowała śmierci ofiary, niestety albowiem podobne wypadki bardzo bywają częstymi w okolicach Paryża. Po złożeniu protokołu przez komisarza, żaden z sędziów śledczych nie udał się na miejsce zbrodni, rozkazując podwoić jedynie baczność policyi, dla zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańcom w Bois Colombes i odszukania numeru skradzionego zegarka.

Po udzielonem przez Łucyę adresie zegarmistrza, odnalezienie tegoż trudnem nie było. Wypisano sobie numer tegoż, oczekując tylko chwili, gdy morderca przyszedłszy go sprzedawać, sam się odda w ręce sprawiedliwości.

W pałacu, przy ulicy Murillo, wszystko zwykłym szło trybem. Harmant powstrzymywał się w rozmowach z Maryą co do kwestyi mogących dotyczyć Lucyana Labroue. Młodzieniec również unikał w listach wymienienia córki pryncypała.

— Skoro Lucyana powróci — powtarzał sobie Jakób Garaud — i dowie się o zniknięciu swej narzeczonej, będą działał stosownie do wywołanego na nim tym wypadkiem wrażenia.

Marya pozostawała w jednakiem usposobieniu. Zamknawszy się w sobie, usiłowała skryć własną boleść; nie wydawała najmniejszej skargi, nie uczyniła ojcu żadnej wymówki; mimo to on czytał w jej duszy, rozumiał to, o czem mówić nie chciała, zapytując samego siebie, czyli nie lepiej byłoby w istocie zawezwać Lucyana? Przyspieszając jednak ów powrót bez słusznych ku temu powodów, nie byłożby to wzbudzić podejrzenia? Czekał więc, jak mu roztropność nakazywała.

Dziesięć dni upłynęło. Łucya wyjechała z Bois Colombes, po złożeniu podziękowań, tak komisarzowi wraz z żoną za udzieloną sobie gościnność, jako i doktorowi za jego starania, poczem wróciła na ulicę de Bourbon ku wielkiej radości Joanny Fortier i właścicielki szwalni pani Augusty.

Młode dziewczę zabrało się zaraz do pracy, pomimo, iż wszelkie utrudzenie surowo przez lekarza wzbronionem jej było, gdyż rana wbrew pozornemu wyzdrowieniu mocno niekiedy jej dokuczała.

IX.

Najpierwszą z robót, jakie Łucya rozpoczęła po przybyciu do swego mieszkania, było wykończenie kostyumów dla panny Harmant.

Marya, której znamy stan moralny i jej fizyczne cierpienia, pogrążona w ciężkim swym smutku mało kiedy wyjeżdżała, nie troszcząc się o zamówione toalety u pani Augusty, która powiadomiona o chorobie córki milionera, a tem samem przekonana, iż czas nie naglił, czekała cierpliwie na wyzdrowienie Łucyi.

Córka Pawła Harmant nie wiedziała o wypadku, jaki spotkał młodą robotnicę, a gdyby traf powiadomił ją o tem, nie byłaby przypuściła na chwilę, że to ona sama stała się bezwiedną sprawczynią tej zbrodni.

W kilka dni po przybyciu na ulicę de Bourbon, czując się nieco lepiej, Łucya posłała matkę Elizę do szwalni z zapytaniem jak ma postąpić z przymierzaniem ubiorów, zamówionych przez pannę Harmant.

Pani Augusta odpowiedziała, iż radaby, jeżeli Łucya może wychodzić, aby z takowemi udała się sama do pałacu przy ulicy Murillo.

Dziewczę pragnęło uniknąć tej przykrej konieczności. Zimna ironia Maryi, podczas jej ostatniej bytności, głęboko Łucyę dotknęła, obok czego jakieś nieokreślone przeczucie, jakiś głos wewnętrzny, powtarzał jej: *Nie chodź tam*. Wszak pani Augusta kazała ją prosić by się tam właśnie udała, a owa prośba oznaczała rozkaz z jej strony... Nie było zatem rady. Pójść było trzeba.

Nazajutrz przeto w towarzystwie Joanny Fortier, nio-
sącej suknie w karton opięte, wybrała się około południa do
pałacu, co było pierwszym wyjściem jej z domu.

Ciepłe wiosenne słońce jasno przyświecało, drzewa na
skwerach okrytymi były świeżo rozpękłym liściem. Przyroda
budziła się z długiej martwoty zimowej.

Mimo jednakże tak łagodnej pory Łucya czuła się mocno
osłabioną.

— Możebyśmy fiakrem pojechały? — pytała roznosi-
cielka.

— Nie; wolę iść pieszo — odrzekło dziewczę — być mo-
że, iż ta przechadzka wzmocni me siły, zresztą czas jest tak
pięknym... tak pogodnym...

— Czy zdołasz jednak zajść tak daleko?

— Spróbuję...

— Wesprzyj się na mojem ręku.

Łucya ujęła pod ramię Joannę i obie razem iść z wolna
zaczęły.

Po przebyciu kilkunastu kroków, dziewczę nagle się za-
chwiało.

— Przewidywałam to — wyrzekła matka Eliza i zawo-
ławszy fiakra, pomogła Łucyi w nim się umieścić, a siadłszy
obok niej, rozkazała jechać na ulicę Murillo.

Powóz potoczył się ku mieszkaniu milionera.

Harmant wraz z córką, siedział przy śniadaniu, gdy ka-
merdyner oznajmił, iż ktoś z przybyłych chce się widzieć
z panią.

— Ktoś... do mnie? — zawołała Marya zdziwiona. —
Któż to taki?

— Szwaczka z magazynu pani Augusty. Przyszła dla
przymierzenia pani kostyumów.

— Która ze szwaczek? — pytała Marya.

— Ta młoda robotnica, która tu już kilkakrotnie przy-
chodziła do pałacu.

Córka milionera pobladła.

— Łucya? — wyrzekła drżącym głosem.

— Tak... ona to właśnie przybyła.

— Co!.. Łucya!! — zawołał Harmant — zerwawszy się nagle osłupiały.

Marya nie zrozumiała, nie mogła zrozumieć powodów trwogi swego ojca, widniejącej na jego obliczu.

— Obecność tej dziewczyny drażni go... — pomyślała.

— Ja jej nie przyjmę, mój ojcze... — głośno wyrzekła.

Słowa te oddziaływały uspokajająco na umysł Harmanta; uczuł, iż mógł się zdradzić, przestawszy nad sobą panować.

— Łucya żyjąca... tu?.. Czy podobna?.. — pomyślał. — Owidyusz miałżeby więc skłamać bezczelnie?.. Bądź co bądź, należało się przekonać o tożsamości dziewczyny, a ztąd widzieć ją potrzeba było koniecznie.

Garaud pochyliwszy się ku córce, rzekł do niej z cicha:

— Nie mogłem pohamować wzburzenia, na wspomnienie tej dziewczyny, lecz widzę, że to było niesprawiedliwem.

— Jakto niesprawiedliwem?.. — pytała Marya.

— Tak... ponieważ to dziewczę nie wie, że jest przyczyną twego cierpienia. Nie godzi się zatem odmawiać jej przyjęcia. Przychodzi ona tu jako szwaczka, przysłana z magazynu. Dlaczego więc i z jakich powodów miałyby zastać drzwi przed sobą zamknięte? Przyjmij ją dzisiaj jak zwykle, prosząc następnie pani Augusty, aby ci inną szwaczkę na przyszłość przysyłała.

— Jej widok jest dla mnie wstrętnym!.. — zawołała Marya.

— Przyzwij na pomoc osobistą swą godność, a przezwyciężysz ów wstręt bez trudu...

— Masz słuszność, mój ojcze.

Harmant zwrócił się do kamerdynera, oczekującego na dalsze rozkazy.

— Każ wejść tej robotnicy—rzekł.

— Jakto, tutaj ją przyjmiemy?—zawołała Marya.

— Dlaczego nie? Jeśli nie zechcesz przymierzać ubrania, każesz jej odejść pod jakimkolwiek bądź pozorem.

— Niech wejdzie—powtórzył, zwracając się do służącego.

Po kilku minutach Łucya ukazała się we drzwiach. Była śmiertelnie bladą, widocznie owładnięta wzruszeniem, za ledwie na nogach utrzymać się zdołała. Marya spostrzegła tę wielką zmianę, zaszła w dziewczynie od ostatniego widzenia, lecz nie wzruszyło to jej bynajmniej.

— W jakim celu panna przychodzisz?— spytała dumnie.

— Przychodzę dla przymierzenia pani kostiumów—odrzekła Łucya słabym głosem.—Opóźniłam się z robotą, ale nie moja w tem wina. Uległam wypadkowi, a raczej zbrodni, co przez dni kilkanaście pracować mi nie dozwoliło.

Na słowa te drgnął Harmant.

— Zbrodni...—powtórzyła Marya z zaciekawieniem.

— Tak, pani... usiłowano mnie zamordować...

— Zostałaś pani ranioną, być może?—pytał z udaną obojętnością Garaud.

— Tak... i dotąd jeszcze cierpię z przyczyny tej rany. Otrzymałam pierwsze uderzenie nożem w piersi, a drugi cios równie wymierzony byłby mnie zabił niechybnie, gdyby ostrze noża nie złamało się o stalowy pręt gorsetu... Temu to trafowi jedynie zawdzięczam me życie.

— W rzeczy samej traf to szczęśliwy, który należy błogosławić — rzekł Harmant. — Złoczyńca schwytanym został bezwątpienia?

— Nie, panie... Lecz mamy nadzieję, że wkrótce go ujmą...

Odpowiedź ta wywołała krople zimnego potu na czoło milionera, siłą woli jednakże pokrył wzruszenie.

— Udzieliłaś pani zapewne jakich wskazówek poli vi?—zapytał.

— Nie, ponieważ wśród nocy nie mogłam rozeznaczyć postaci tego łotra. Był to niewątpliwie jeden z włóczęgów, cza-
Podpalaczka. Tom IV,

tujących w okolicach Paryża. Morderstwo nie było dlań celem, ale sposobem. Zabijał dla rabunku.

— Al... okradziono więc panią?

— Tak, panie, skradziono mi zegarek z łańcuszkiem i pugilaresik.

Od chwili ukazania się Łucyi w mieszkaniu, Garaud wpatrywał się w nią z wzrastającym zaciekawieniem. Śledził bacznie jej rysy twarzy, wyraz spojrzenia, wsłuchiwał się w brzmienie jej głosu.

— To dziwne...—myślał — zdaje mi się, jak gdybym widział kiedyś tę twarz, słyszał ów dźwięk głosu...

Nagle światło zabłysło w jego pamięci.

— Wiem!...—myślał dalej — jest to żyjący obraz Joanny Fortier, gdy była młodą.

I Jakób Garaud nie mylił się bynajmniej. Ktokolwiek widział Joannę przed dwudziestu laty i obecnie Łucyę zobaczył, zmuszonym był przyznać dziwne podobieństwo, zachodzące pomiędzy tymi dwoma kobietami, a tak łatwe do wyjaśnienia.

X.

Jakób Garaud, stwierdzając wspomniane podobieństwo, przypominał sobie, że w epoce wzniesionego pożaru w Alfortville Joanna oddała swą córkę mamce na wykarmienie w Joigny; przypominał zarazem, iż Marya mu powiedziała, że Łucya wychowaną została w przytułku dla opuszczonych dzieci. Myśl błyskawiczna przebiegła mu umysł.

— A gdyby to była ona?—zapytywał sam siebie.

Dziewczę, złamane znużeniem, szukało wzrokiem jakiego sprzętu, o który wesprzećby się mogło na chwilę. Spozreglwszy to Harmant, podał jej krzesło.

— Pani jesteś osłabioną—rzekł—spocznij proszę.

Maryę uraziła boleśnie owa ojcowska uprzejmość.

— Nie będę dziś przymierzała kostyumów—szorstko odpowiedziała;—panna Łucya odejść więc może. Zresztą ubiera mnie ona od tak dawna, iż uważam to za niepotrzebne. Odbiorę te ubrania od pani Augusty w ciągu dwóch tygodni, nie pilno mi wcale.

Było to widoczne polecenie, by młoda szwaczka w pałacu nie ukazywała się więcej. Łucya dobrze je zrozumiała. Z sercem zranionem upokorzeniem wyszła z jadalni, unosząc w kartonach ubranie i odszukując daremnie w pamięci, w czem mogła przewinąć, że panna Harmant, tak dla niej zrazu dobrotliwa, traktowała ją obecnie w sposób wyniosły i pogardliwy. Złączywszy się z matką Elizą, opowiedziała jej o doznanej przykrości.

— Nie zwracaj na to uwagi, me dziecię — rzekła roznościelka.—Panna Harmant, jak ci wiadomo, jest mocno słabą, a choroby zaostwiają najłagodniejsze charaktery.

Szły obie w milczeniu drogą ku ulicy Bourbon.

Harmant, zostawszy sam z córką, zaczął z nią rozmowę.

— Wiesz, iż to młode dziewczę jest bardzo pięknem.

— Tak sądzisz, ojczy? — szepnęła Marya z boleścią. — Przyznajesz więc, nieprawdaż, że Lucyan może ją kochać?

— Pojmuję chwilowe jego upodobanie, podobne jednak miłości zwykle krótko trwają. Jest to słomiany ogień, który zapłonawszy żywo, przygasa, nie pozostawiając nic... nic... żadnego nawet wspomnienia. Ale... odebrałem list od Lucyana—dodał po chwili.

— Powraca?—pytała żywo Marya.

— Tak... w ciągu dni kilku.

— Czy pisał co o mnie?

— Pisz o tobie w każdym ze swych listów, winnaś więc zrozumieć, że nie czyniłby tego, gdybyś mu była obojętną.

— I sądzisz, że on kochać mnie będzie?

— Sądzę, że on już ciebie kocha.

— Tak... ty, ojcze, mówisz... Ale radabym usłyszeć to od niego.

— Wkrótce sam powie ci o tem.

Maryja opuściła głowę, ciche westchnienie wybiegło z jej piersi. Wyrazy ojca przekonać jej nie zdołały.

— Opowiadałaś mi kiedyś—zaczął Garaud—iż owa Lucyja nie ma rodziców.

— Tak.

— Zkądże wiesz o tem?

— Wiem od niej samej. Będąc z nią przedtem w dobrych stosunkach, pytałam ją o historję jej życia.

— Została ona wychowaną w przytułku dla opuszczonych dzieci?

— Tak.

— W Paryżu?

— W Paryżu... Zapisaną tam została pod numerem 9. Ależ mój ojcze, już raz ci o tem opowiadałam...

— Być może... Zapomniałem jednakże. I nie wie, przez kogo tam oddaną została?

— Nie wie.

— Lecz mogłaby się dowiedzieć?

— Starala się o to, ale bezskutecznie. Odmawiają udzielenia wszelkich wskazówek opuszczonym dzieciom. Ale powiedz mi, mój ojcze, dlaczego zajmujesz się temi szczegółami?

— Ażeby się przekonać dokładnie, czy Lucyan Labroue, pochodzący z zacnej, powszechnie szanowanej rodziny, mógłby na seryo pokochać dziewczynę bez nazwiska, w przytułku wychowaną.

Tu Harmant powstał z krzesła.

— Do widzenia, moje dziecię, jadę do fabryki.

— Lecz wrócisz, ojcze, na obiad?

— Radbym... jeżeli mnie coś nieprzewidzianego nie zatrzyma. Gdybym nie przybył o zwykłej godzinie, nie czel na mnie.

Tu uściśnawszy córkę, wyszedł.

Zdumiony niezwykle podobieństwem młodej szwaczki do Joanny Fortier, wypytywał on Maryę o szczegóły pierwszych lat życia Łucyi. Myśl pewna dojrzewała w jego głowie. Posiadłszy obecnie niezbędne ku temu wskazówki, potrzebował co rychlej zobaczyć się z Owidyuszem Soliveau, aby mu donieść, że cios jego chybił, oraz, że ofiara żyje w dobrym zdrowiu.

Nie użył jednakże własnego powozu, lecz wsiadłszy do fiakra, polecił się wieźć na ulicę Clichy. Daremnie wszelako dzwonił do drzwi ogrodu. Nikt nie odpowiadał, Soliveau był nieobecny. Harmant uderzył gniewnie nogą o ziemię. Po ominięciu złęgo humoru dobył z kieszeni notatnik, kresząc na jednej z kartek te słowa:

„Jeżeli wrócisz dziś wieczorem przed piątą, przybywaj coprędzej do Courbevoie. Gdybyś zaś wrócił po szóstej, będę na ciebie oczekiwał wieczorem o dziesiątej w kawiarni de la Paix, na placu Opery. Rzecz pilna, niecierpiąca zwłoki.“

Wydarłszy tę kartkę, wrzucił ją do skrzynki od listów, umieszczonej przy drzwiach mieszkania Owidyusza, poczem kazał się zawieźć do fabryki,

Po zerwaniu stosunków z Amandą, Soliveau, dla którego beczynność była nieznośną, zaczął znów uczęszczać do szulerni. Namiętność gry nanowo go opanowała. Nie mogąc z braku odpowiednich środków bywać w przyzwoitych klubach, chodził do pospolitych, gminnych kawiarni, stojących otworem dla każdego, gdzie osobiste przedstawianie się potrzebnem nie było. Musimy jednakże przyznać, że grał wstrzemięźliwie, ryzykując na stawkę drobne tylko kwoty pieniędzy. Właśnie tegoż dnia po śniadaniu poszedł do jednego z pomienionych zakładów. Pomimo ograniczonych stawek, przegrał przeszło sto franków. Nie mając przy sobie więcej pieniędzy, grać dłużej nie mógł, a powróciwszy do siebie około czwartej, według zwyczaju otworzył skrzynkę od listów. Znalazł tam kartkę swego pseudonimu, treść której mocno go zastanowiła.

— Cóż się tam znowu stało nieprzewidzianego?—powtarzał—jaki powód nagli go do tak pilnego zobaczenia się zemną?

Mocno zaciekawiony, a zarazem i niespokojny, napełniwszy swą wypróżnioną portmonetkę pieniędzmi, kazał się zawieźć do fabryki w Courbevoie. Stosownie do wydanego polecenia, został natychmiast wpuszczonym do gabinetu przemysłowca. Harmant z ponurym wyrazem twarzy siedział w zadumie.

— Jakaż żałobna fizygnomia — rzekł, wchodząc Soliveau.— Dowiedziałeś się o śmierci którego ze swych przyjaciół?

— Nie o śmierć tu chodzi...— odparł głucho milioner.

— O cóż więc tedy?

— Skutkiem twej nieudolności, zostaliśmy wtrąceni w kłopot niesłychany.

— Mówiłem ci już, że nie mam zdolności do rozwiązywania zagadek. Mów jasno...

— Łucya żyje...— rzekł Garaud.

— Co? ona żyje?!— powtórzył Owidyusz, bledniejąc.

— Tak!

— To niepodobna... Mam silną rękę... Ostrze noża przebiło jej serce... Mylisz się, upewniam...

— Ja ją widziałem.

— Ty... widziałeś Łucyę żyjącą?

— Widziałem i rozmawiałem z nią nawet.

— Gdzie?

— U siebie, przy ulicy Murillo. Twój nóż osunął się po prętach gorsetu, zadając tylko ranę, z której już wyleczoną została tak dalece, iż się zajmuje swą pracą. Bardziej, niż kiedy, ta dziewczyna niweczy wszystkie me plany.

— Do miliona piorunów!— krzyknął Soliveau, zaciskając pięści — oto korzyść z wystawiania się na niebezpieczeństwo, widziała mnie bezwątpienia i poznać może!...

— Bądź spokojnym. Noc była zbyt ciemna, przestрах ją obezwładnił. Nie była w stanie złożyć policji żadnego zeznania o człowieku, który w nią uderzył. Zbrodnię przypisano włóczęgom, krążącym wokoło Paryża.

— W takim razie można ponowić zasadzkę i lepiej ją tym razem przygotować.

— Strzeż się! — zawołał Garaud. — Powtórny wypadek tego rodzaju wzbudziłby podejrzenia, a tego nam właśnie jaknajusilniej unikać należy.

XI.

— Porzucasz zatem tę sprawę? odstępujesz od niej? — pytał Soliveau.

— Porzucac sprawę, w której chodzi o życie mej córki?... Nigdy... nigdy w świecie!

— Masz więc plan nowy?

— Tak.

— Jaki?

Harmant podał współnikowi swojemu ćwiartkę papieru, na której nakreślone były następujące słowa:

„Lucya została oddaną w roku 1862-im lub 1863-im do przytułku dla opuszczonych dzieci w Paryżu, gdzie zapisano ją w księgach pod numerem 9-ym.“

— Cóż z tego? — pytał Soliveau.

— Jakto .. nie rozumiesz?

— Nie!

— Potrzeba nam wiedzieć, przez kogo ona tam oddana została.

— Coraz mniej rozumiem... Zdaje mi się, że tracisz już zmysły, mój stary! Na cóż znowu przydać się nam może wiadomość, kto oddał ją do przytułku? Nie będą chcieli powiadomić nas o tem, jeśli dokładnie nie opiszemy przedmiotów, jakie przy tem dziecku naówczas się znajdowały, a które zapisano w protokule.

— Trzeba nam właśnie wydostać wspomniany protokół.

— W jaki sposób, ciekawym? Chyba go wykraść z przytułku?

- Za jakąbądź cenę ja muszę wiedzieć, czy się nie mylę.
- W czym?
- W przypuszczeniu, że Łucya jest córką Joanny Fortier, skazanej na dożywotnie więzienie.
- Zkąd przyszło ci to do głowy.
- Naprowadziło mnie na tę myśl najprzód jej imię. Córka Joanny Fortier nazywała się Łucya.
- Eh! dziecinniejesz...
- Następnie jej wiek...
- To jeszcze nie dowód.
- Wreszcie jej twarz, jej cała postać... dziwnie przypomina Joannę, gdy była młodą, są to jak gdyby dwie fotografie jednej i tej samej osoby.
- A! to rzecz inna i wielce ważna, jeśli się nie łudzisz...
- Podobne podobieństwo nadaje pewność, wzmacnia przypuszczenia. W roku 1861-ym Joanna Fortier była zawyrokowaną, Łucya oddaną została do przytułku również w 1861 lub 1862. Ma to łączność ze sobą. Mamka, nie otrzymując zapłaty, zaniósła ją do Paryża i po złożeniu zeznania w meroście, oddała je na wychowanie radzie publicznego miłośierdzia.
- Brawo! doskonale!... Teraz zrozumiałem—zawołał Soliveau.— Ani słowa przeciw... to bardzo ważne!
- Trzeba więc działać.
- Bezwątpienia, lecz w jaki sposób? Powtarzam ci, że w przytułku dla opuszczonych dzieci nie udzielają objaśnień nikomu. Wiem napewno, że tak jest. Trzeba więc nam szukać wskazówek gdzieindziej.
- Dobrze, lecz gdzie?
- Czy nie pamiętasz nazwiska mamki, której Joanna Fortier oddała swe dziecię?
- Nie pamiętam.
- Ale wiesz może, gdzie ta kobieta mieszkała.
- W Joigny.

25

— A więc do Joigny udać się trzeba niezwłocznie. Ja podejmuję się tego, uczynię to dla ciebie.

— Kiedyżbyś wyjechał?

— Jutro zrana.

— Potrzebujesz może pieniędzy?

— Naiwne pytanie. Amanda wyssała ze mnie wszystko do szczeru...

Mówiąc to, Owidyusz kłamał bezczelnie, chciał jednak tym sposobem więcej uzyskać od Harmanta.

— Prócz tego—dodał—jest rzeczą pewną, iż korzystając z położenia, grubo za udzielone objaśnienia zapłacić sobie każą, lecz co to znaczy dla ciebie, który jesteś milionerem... Nie pożałujesz pieniędzy, gdy chodzi o szczęście twej córki.

Garaud, otworzywszy szufladkę w swem biurku, dobył paczkę biletów bankowych i wręczył takowe Owidyuszowi.

— Dziękuję! — rzekł tenże, chowając je z pośpiechem do kieszeni, bez przerachowania. — Jutro więc zrana jadę do Joigny.

Tu dwaj wspólnicy rozdzielili się.

Pogoda była przepyszną dnia tego. Był to jeden z owych czarownych uśmiechów wiosny, jakim ona budzi do życia odmłodzoną przyrodę.

Po wyjeździe ojca do fabryki, Marya rozkazała założyć konie do powozu. Potrzebowała powietrza, ruchu, jakiego-kołwiek bądź roztargnienia, z kąd postanowiła zwiedzić pracownię naszego dawnego znajomego malarza Edmunda Castela.

Pomieniona wizyta ukrywała obok tego cel inny.

Edmund jak wiemy, mieszkał przy ulicy d'Assas, gdzie Marya była już parę razy zwiedzać jego pracownię.

Za przybyciem zastała artystę, wykończającego ostatecznie obraz, wykonany przed dwudziestu laty, a ofiarowany przezeń Jerzemu Darier.

Na małym stoliku, stał tekturowy konik, stanowiący jeden z akcesoryów obrazu.

Edmund Castel przyjął jaknajprzejmiej pannę Harmant, ze smutkiem jednak patrzył się na nią, tyle wydała mu się być cierpiącą, zmienioną.

— Przybywasz pani do mnie bezwątpienia, z surową naganą?..

— Z naganą... za co... dlaczego? — pytała z uśmiechem.

— Za to, że dotąd nie zrobił nowych nabytków dla galerii, jaką pani zamierzasz utworzyć.

— Bądź pan spokojnym... Inny zupełnie jest cel moich odwiedzin. Przybywam, by prosić pana o małą przysługę...

— Jestem na pani rozkazy... O cóż chodzi?

— Zwykle składam mojemu ojcu podarunek, w rocznicę jego urodzin. Ów dzień nadchodzi za dwa miesiące... Zgadnij więc pan, jaki mam zamiar?

— Pragniesz pani złożyć być może w tym roku swój portret panu Harmant... nieprawdaż?

— Doskonale... odgadłeś pan! Liczę, że chcesz stać się moim współpracownikiem w tej sprawie...

— Najchętniej! Mam wprawdzie wiele robót rozpoczętych, lecz je odłożę dla pani.

— Ach! jak pan jesteś uprzejmy!..

— Nie zasłużyłem na tę nazwę... od pani jednak z przyjemnością ją przyjmuję. Czy pani życzy sobie portetu w całej postaci?

— Tak panie.

— A w jakich rozmiarach?

— Wybór od pana zależy.

— Być może, ta wielkość podoba się pani? — rzekł Castel, zbliżając się do obrazu, przedstawiającego chwilę uwięzienia Joanny Fortier na probostwie i wskazując na jej główną postać, szkicowaną z natury.

— Jak ten? — powtórzyła Marya, idąc za artystą — do brze... zgadzam się na to. I przez chwil kilka stała przed obrazem, wpatrując się weń z zajęciem.

Nagle pomimowolnie zadrżała.

— Gdy byłam tu poprzednio u pana — pytała — czy obraz ten znajdował się w pracowni?

— Był... lecz stał na uboczu... Dlaczego jednak o to pytasz mnie pani?

— Ponieważ go niedostrzegłam, mimo, iż on w dziwny sposób przykuwa mą uwagę. Gdybym go była widziała byłby mnie uderzył pewien szczegół, jaki dziś silnie na mnie wywarł wrażenie.

— Cóż takiego?

— Twarz tej kobiety, stojącej pośród żandarmów...

— Ta twarz przypomina pani kogoś ze znajomych?

— Tak... zadziwiającem jest to podobieństwo...

— Do której z osób sędziwych? — pytał żywo artysta.

— Przeciwnie, do osoby młodej zupełnie, mającej około dwudziestu dwóch lat wieku. Jest nią szwaczka od pani Augusty, mojej modniarki?

— Jakże się ona nazywa?

— Łucya... pan ją znasz może?

— Nie pani... nie znam jej wcale. Gdzież mieszka ta Łucya?

— Przy ulicy Bourbon, numer 9.

— Nie znam jej — rzekł Castel, myśląc jednocześnie. — Dziewczę, które kocha Lucyan Labroue ma imię Łucya i mieszka zarówno przy ulicy Bourbon.

— Na świecie spotykamy pełno dziwnych podobieństw — rzekł głośno. — Zatem pani życzysz sobie mieć portret tej wielkości? — dodał, zmieniając przedmiot rozmowy.

— Tak... radabym panie. A ileż posiedzeń odbyć będzie trzeba?

— Pięć... lub sześć...

— Raczysz pan oznaczyć godziny?

— Wybór ich zostawiam pani. Jestem na jej rozkazy... Z domu obecnie nie wychodzę prawie.

XII.

— Kiedyż więc rozpoczniemy pierwsze nasze posiedzenie? — pytała Marya dalej:

— Pojutrze... jeśli to pani nie uczyni różnicy.

— Dobrze... przybędę około drugiej w południe, a teraz uciekam.

— Czemu tak prędko?

— Ponieważ przeszkadzam panu w jego pracy.

— O! nie... bynajmniej. Gdy pani weszłaś, miałem właśnie odpocząć nieco. Proszę więc... zechciej mi poświęcić chwil parę na miłą pogadankę.

— Chętnie... lecz o czym mówić będziemy?

— O pani... Jesteś zadowolona ze swego pobytu w Paryżu?

— Tak, dosyć... Wyobrażałam sobie jednak, iż to miasto jest weselszem, bardziej ożywionem.

— Żałujesz więc pani Ameryki?

— Są chwile w rzeczy samej, gdzie radabym widzieć jej piękne niebo, jej świetną, bogatą przyrodę.

— New-Jork jest rodzinnem miastem pani... nieprawdaż?

— Tak panie... przy urodzeniu, utraciłam matkę, która była piękną i dobrą jak anioł, o czym mi często mówi mój ojciec.

— Lecz ojciec pani nie jest amerykańcem? — mówił Edmund dalej, badając niepostrzeżenie dziewczynę.

— Nie... on jest francuzem, pochodzącym z Burgundyi. Mój dziadek, ojciec mej matki, Jan Mortimer, odkrywszy w nim znakomite mechaniczne zdolności, uczynił go swoim współnikiem, oddając mu zarazem swą córkę za żonę.

— Dziadek pani był sławnym wynalazcą?

— O! tak... tak panie. Zarówno on, jak i mój ojciec poczynili znakomite odkrycia w dziedzinie mechaniki.

— Ojciec pani, o ile słyshałem, wynalazł maszynę do szycia?

— Tak jest... *milczącą*, zarówno jak i maszynę do gilloszowania.

Na te słowa Edmund zadrzał.

— Maszynę do gilloszowania? — powtórzył.

— Arcydzieło... jak mówią... Przyniosła mu ona miliony!..

— Jak długo pan Harmant mieszkał w Ameryce?

— Przez lat dwadzieścia dwa prawie.

— A w którym roku, przybył do New-Jorku?

— O ile wiem, w 1861.

— Dla zebrania tak kolosalnego majątku musiał wiele pracować?

— Dziadek mój był bardzo bogatym.

— Wynalazcy prawdziwie uzdolnieni, szybko się zbogacają w Ameryce... Być może, iż pani powrócisz tam kiedy?..

— Nie sądzę...

— Dlaczego?

— Mój ojciec nie zdecydowałby się nigdy, powtórnie na opuszczenie rodzinnego kraju, z którym wiąże go tyle interesów — odpowiedziała Marya, rumieniąc się z lekka.

— To prawda, lecz mogą znaleźć się okoliczności...

— Jakie?

— Przypuśćmy... małżeństwo pani...

— Och! — zawołała żywo — nie zaślubiłabym nigdy amerykanina.

— Więcej masz pani dla francuzów sympatyji?

— Bez porównania! Zresztą, wszak jestem sama z ojca francuzką.

— Gdy po raz ostatni miał honor widzieć panią u Jerzego Darier — mówił Edmund dalej — przekonania, jakie natenczas posłyszałem przez ciebie wyrażonemi, zaszczytne mi o niej dają wyobrazenie.

— Przekonania... — powtórzyło dziewczę — o cóż to chodziło... — niepomnę.

— Była natenczas mowa o Lucyanie Labroue.

Marya mocno się zarumieniła.

— Nie byłoby to panie rzeczą zupełnie naturalną? Wszak obowiązkiem tych, którzy coś posiadają, jest według mnie, przychodzić z pomocą, nie nie posiadającym.

— A ojciec pani, czy potwierdził jej zdanie?

— Tak... mój ojciec zaproponował spółkę panu Labroue.

— Poszedł więc za radą pani, czego mu z serca winszuję, ponieważ Lucyan jest człowiekiem najzacniejszego charakteru, a obok tego zdolnym i pracowitym bez miary.

— Sądzę więc, że prędzej lub później nakłoni się do przyjęcia propozycji mojego ojca.

— Jakto... zatem odmówił? — pytał zdumiony artysta.

— Tak... prosił o pozostawienie mu czasu do rozważenia.

— Dlaczego? W obec tak świetnych propozycji...

— Być może, iż wielka skromność z jego strony przedstawia mu je nazbyt świetnymi.

— Do pani należałoby skłonić go ku przyjęciu tejże. Podobnemu jak pani adwokatowi, sądzą, odmówićby nie mógł...

Marya nic nie odrzekłszy na to ostatnie zdanie, westchnęła z cicha.

Zrozumiał Edmund, co działo się w sercu biednego dziewczęcia.

— Jakto... już chcesz mnie pani opuścić?.. — rzekł, widząc, iż podniosła się z krzesła.

— Czas mi powracać. Gdybyś pan wypadkiem spotkał mojego ojca, nie nie mów proszę o niespodziance, jaką dlań przygotować zamierzam.

— Dochowam tajemnicy... upewniam.

— Do widzenia, zatem pojutrze...

Malarz, wyprowadziwszy pannę Harmant, siadł przed obrazem.

28

— To podobieństwo Łucyi do Joanny Fortier... rzecz dziwna!.. — wyszepnął. — Łucya jest dziecięciem, wychowanem w przytułku... i właśnie ma lat dwadzieścia dwa.

Tu zagłębił się w zadumie, utrwalając w pamięci to wszystko, co usłyszał od córki milionera.

*

*

*

Owidyusz, jak slyszeliśmy, powiedział Harmantowi: Pojadę jutro do Joigny i rzeczywiście nazajutrz o godzinie szóstej, minut trzydzieści, wsiadł na pociąg Liońskiej drogi żelaznej. O dziewiątej przybył do celu swojej podróży.

Wiadome poszukiwania, jakie miał czynić, nie były łatwemi do wykonania, pewien siebie, nie wątpił o dobrym skutku, ufny w wrodzoną sobie zręczność i przenikliwość.

W rzeczy samej, przebywał on z zadziwiającą łatwością najbardziej pogmatwane zapory i gdyby los był mu pozwolił umieścić się w służbie prefektury, znakomitym zostałby policyantem.

— Nie będzie to bardzo dogodnem, ni łatwem — myślał sobie, jadąc. — Mniejsza z tem jednak... rezultat otrzymać muszę... Idę szukać igły w stogu siana, przy wybieraniu jednak okruchów zdźbło za zdźbłem, igła nareszcie da się odnaleźć. Przedewszystkiem jednak, trzeba sił nabrać do rozpoczęcia tej sprawy, głód mi dyabelnie dokucza, idę na śniadanie.

Tu wyszedłszy ze stacyi z walizką w rękę, wsiadł w hotelowy omnibus, który go zawiózł w sam środek Joigny, ładnego miasteczka na pagórku położonego, u stóp którego Yonn'a, toczyła przejrzyste swe fale.

Otrzymawszy pokój w hotelu pod *Łabędziem*, przebrał się, rozkazując podać obfite śniadanie.

Jedząc i pijąc, układał plan swojej kampanii.

— Odnaleźć mamkę, jeżeli jeszcze żyje—powtarzał—oto najgłówniejsze teraz zadanie. Odnaleźć, bez wskazówek, jest to płynąć w ciemnościach, bez steru, bez żagla. Niewiem na-

wet jej nazwiska... to sęk! Wszak w takiej małej mieście, wszyscy się znają... Chociaż dwadzieścia jeden lat odtąd minęło, trafię być może na ślady córki Joanny Fortier.

Owidyusz będąc Burgundczykiem wiedział, że i w Burgundyi mieszkaly kobiety trudniące się przyjmowaniem dzieci *na garnuszek*, karmiąc je bądź to koziem mlekiem, bądź smoczkiem.

Kazawszy sobie podać adres jednej z takich kobiet, mieszkającej na końcu miasta, udał się do niej.

Pani Noiret, tak nazywała się karmicielka, była w polu gdy Soliveau przyszedł do niej.

W izbie piszczało z pół tuzina niemowląt, pozostawionych pod nadzorem czternastoletniej dziewczyny.

Owidyusz zmuszonym był czekać blisko godzinę na przybycie wychowawczyni.

Wszedłszy do izby, zmierzyla podejrzliwym wzrokiem nieznanego.

— Co pan chcesz? — spytała.

— Radbym z panią pomówić — odrzekł Soliveau.

— Jeżeli pan zamierzasz proponować mi przyjęcie dziecka, nie trudź się daremnie, mam tego dosyć...

— Nie chodzi tu bynajmniej o przyjęcie dziecka, lecz o udzielenie mi kilku objaśnień.

— Jest to godzina, gdzie trzeba pójść krowy wydoić. Nie mam czasu — odpowiedziała.

Z powyższej rozmowy widzimy, że pani Noiret, wieśniaczka czterdziestoletnia, nie była wcale uprzejmą.

Owidyusz postanowił ją ułagodzić.

— Wynagrodzę panią — rzekł za czas stracony.

— Pańskie wznagrodzenie krów mi nie wydoi... — krzyknęła opryskliwie — muszę pójść sama to zrobić.

— Lecz któż pani zabrania doić krowy? — zaczął Soliveau łagodnie — będziesz mogła odbywając tę czynność, rozmawiać zemną jednocześnie.

— Alboż pan zechcesz pójść do obory?

— Najchętniej.

— A jeśli tak... to idźmy.

I matka Noiret wzięwszy blaszankę, miskę pełną wody i mały stołeczek drewniany, minęła podwórze, gdzie nogi grzęzły jej w gnoju, a wszedłszy do obory usiadła pod piękną krową z wymionami pełnymi mleka i doić takową zaczęła.

XII.

— No! a teraz mów pan — poczęła, zwracając się do Owidyusza — czego żądasz?

— Powiedz mi pani, jak dawno zamieszkujesz w Joigny?

— Dwadzieścia siedem lat... Obecnie liczę rok czterdziesty pierwszy. Miałam lat czternaście, gdy moi rodzice dom ten kupili, który teraz jest moją własnością.

— A od jak dawna trudnisz się pani wykarmianiem dzieci?

— Moja matka zajmowała się tem niegdyś... Ja jej dopomagałam... a gdy umarła, trudnię się tem dalej.

— Znasz więc zapewne wszystkie karmicielki w Joigny i okolicach.

— Wszystkie... co do jednej! Skoro nadejdzie pora szczepienia ospy dzieciom, spotykamy się u doktora, rozmawiamy z sobą...

— Znasz więc historję niejednego dziecka, które gdy rodzice zań płacić przestali, odesłaniem zostało...

— Ba! to bardzo często się zdarza, szczególnie w obecnych czasach, gdzie bywa się bardziej oszukiwaną niż kiedy.

— Czy nie wspomiano pani o niejkiej Joannie Fortier?

— Matka Noiret poczęła szukać w pamięci.

— Joanna Fortier... Joanna Fortier... — powtarzała. —

Któż ona była?

— Była wdową.

— El! tysiące wdów takich spotykamy!... Jak dawno się to działo?

— Dwadzieścia jeden lat temu.

— Dwadzieścia jeden lat! Miły mój Jezul!—zawołała wieśniaczka — trzeba mieć pamięć, aby przypomnieć sobie nazwisko z tamtych czasów! Od lat dwudziestu przeszło przez moje ręce ze trzysta może niemowląt. Któżby tam zapamiętał nazwiska ich rodziców! Jeżeli chodzi panu o ich wskazanie, tego ja dostarczyć nie mogę.

— Nie... mam o czemś innym jeszcze do pomówienia.

— Mów więc pan.

— Ta wdowa Fortier została zawyrokowaną przed dwudziestu jeden laty za potrójną zbrodnię: kradzieży, podpalenia i morderstwa.

— Wielki Boże! a to zbrodniarka!—wołała z oburzeniem wieśniaczka.—Była zapewne gilotynowaną?

— Nie, skazano ją na dożywotnie więzienie — odrzekł Soliveau.—Umieściła tutaj w Joigny u mamki kilkomiesięczną swą córkę.

— U kogo?

— Ba! gdybym wiedział, tobym panią o to nie pytał.

— Czekaj pan... czekaj! — wołała, zamysławiając się, matka Noiret.—Kobieta, która została skazaną za kradzież, podpalenie i morderstwo...

— Aha! pamięć pani powraca, jak widzę.

— Tak... niegdyś mówiono o tem głośno w naszej okolicy.

— Nie przypominasz więc sobie pani, której z kobiet to dziecko powierzonom być mogło?

— Wiem, wiem... matce Fremy. Gniewało ją to, że trzyma u siebie dziecko takiej zbrodniarki, skutkiem czego traciła klientelę.

— A gdzież można znaleźć ową matkę Frémy? — pytał żywo Owidysz.

— Gdzie znaleźć ją? na cmentarzu. Zmarła, nieboga.

Po błysku nadziei, Soliveau odebrał cios nieprzewidziany.

— Umarła? — powtórzył — lecz miała może krewnych, którzy mogliby mnie objaśnić, co się stało z tem dzieckiem?

— Nie miała nikogo z rodziny, prócz jedynaka syna, wielkiego ładaco, który utopił się w Yonnie.

— Wszystko więc z rąk mi się wymyka! — szepnął Owidyusz zniechęcony.

— Jesteś pan, być może, ojcem tego dziecka? — pytała wieśniaczka, spoglądając z pod oka na przybyłego.

— Bynajmniej, lecz potrzebuję wiedzieć, czy żyje córka Joanny Fortier. Nie mogłażbyś pani w tem mnie objaśnić?

— Nie... nie pamiętam, co matka Frémy uczyniła z tem dzieckiem.

— Żadnych więc nie będę mógł tu zaczerpnąć wskazówek?

— Udaj się pan do mera. Przyjmując dzieci na wykarwienie, podpisujemy tam zwykle deklaracye. Nie chcąc którego z nich trzymać nadal, idziemy również do niego, składamy zeznanie, a wtedy mer wydaje upoważnienie do złożenia niemowłęcia w przytułku dla opuszczonych dzieci.

— W podobnym wypadku — pytał Owidyusz — czy wymieniacie przedmioty, znajdujące się przy dziecku, z których je kiedyś poznaćby można?

— Tak, panie. Wymieniamy znaki na bieliźnie, szczególnie znaki dziecka, imię jego ojca i matki, jeżeli je znamy, nazwisko mamki i datę oddania malca do przytułku.

— Dziecko, o którym mówię, miało Łucya na imię. Do tego imienia dołączono więc zapewne nazwisko Joanny Fortier i matki Frémy, jego karmicielki?

— Tak.

— A więc dziękuję pani za udzielone objaśnienia. Proszę to przyjąć odemnie, jako wynagrodzenie za sprawiony kłopot z mej strony.

To mówiąc, Soliveau wręczył wieśniaczce sztukę dzieściofrankową.

— Nie odmawiam przyjęcia — rzekła, chowając pieniądz do kieszeni—ale nie uczyniłam z mej strony nic tak wielkiego. Owidysz odszedł uradowany.

— No! teraz reszta łatwo już pójdzie—powtarzał, zacierając ręce.—W przytułku dla dzieci powiedzą mi...

Nie skończył zdania i po chwili uderzając się w czoło, zawołał:

— Jakżem bezrozumny! to, o czym wiem, do niczego mnie nie doprowadzi. Chcąc zyskać odpowiedź, trzeba wymienić datę złożenia dziecka, znaki tak na bieliznie, jako i osobiste, gdyby takowe istniały. Pomoc ze strony mera jest mi nieodwołalnie potrzebną. Ale udawać się do urzędu—powtórzył, marszcząc brwi z niezadowoleniem.—Zła sprawa do czarta! Joanna zbiegła z więzienia. W przypuszczeniu, że celem jej ucieczki było odnalezienie swych dzieci i że zgłosi się tu, żądając wskazówek, rozesłano jej rysopis do policyi i merostw. Zaledwiebym rzucił to zapytanie, jużby sądzono, że jestem przez nią przysłanym; w przypuszczeniu, że wiem, gdzie ona się znajduje, przytrzymanoby mnie jako podejrzanego, co mogłoby zarazem zwrócić uwagę i na mój ostatni zamach. A to ładniebym się ubrał!... Co począć?—mówił, przystając w zadumie.—Gdybym choć tutaj znał kogo...

Tak rozmyślając, iść począł ze spuszczoną głową. Po chwili znowu przystanął, a następnie, jakby powziąwszy postanowienie, szedł pewnym krokiem do urzędu mera. Przybywszy tam, zwrócił się do siedzącego za stołem młodego urzędnika.

— Czy nie mógłbyś mi pan objaśnić — rzekł—kto był tutejszym merem w roku 1861 i 1862?

— Najchętniej—odparł zapytany. — Ówczesnym merem był Duchemin, brat mojego ojca.

— Pełni on dotąd swe obowiązki?

— Nie, panie, uwolnił się ze służby.

— Zamieszkuje w Joigny?

— Nie, mieszka w Dijon, rodzinnym swym kraju.

31

— A więc jest moim współziomkiem!—zawołał Soliveau.

— Jakto? pan zatem, jak i ja również, pochodzisz z Côte-d'Or?

— Tak, panie.

— Pragnąc widzieć się z mym stryjem, masz zapewne jakiś do niego interes?

— Chciałem go właśnie prosić o drobne objaśnienie, odnoszące się do roku 1861 lub 1862—wyrzekł Owidyusz.

— Możebym ja mógł je panu udzielić? Z przyjemnością to uczynię...

Soliveau milczał, namyślając się, co począć. Młody urzędnik miał nader sympatyczną powierzchowność. Mimo to wahał się, czyli można mu było jasno postawić zapytanie. Obawa wzbudzenia podejrzeń zatrzymywała go w tym względzie. Owładnięty bojaźnią, miał już odejść, gdy drzwi się nagle otwarły, a w nich ukazał się mężczyzna o gminnej, pospolitej postaci i wszedł do biura. Spostrzegłszy wchodzącego, młody urzędnik zbladł nagle i powstał zmięszany.

— Ha! panie Duchemin — mówił przybyły podniesionym głosem, brutalnie—chcąc pana schwytać, trzeba aż tutaj przychodzić?

— Lecz panie...—jąkał młodzieniec.

— Nie ma żadnego *lecz*... Pan żartujesz sobie ze mnie... Ja tego nie ścierpię dłużej!...

— Ależ nie krzycz pan tak głośno... proszę... zaklinam—jąkał błagalnie Duchemin.

— Będę krzyczał, ile mi się podoba i tak głośno, jak zechcę. Jedyna to kara dla tych, którzy zasługują, by im jawnie wyrzucano ich sprawy. Mają to, co wywołali... Zapłać mi pan, a milczeć będę!

— Prosiłem, abys pan był cierpliwym... zaczekał...

— Tak?... Sześć miesięcy już czekam... Przez sześć miesięcy pan mnie zwodzisz z tygodnia na tydzień, mimo, iż wiesz, że byłoby dość zanieść mi pańskie weksle do sądu, aby cię pochwycili żandarmi.

— Proszę o ostatnią zwłokę... Ulituj się pan... Zostaw mi czasu choć tydzień jeszcze...

— Zawracanie głowy! Co najwyżej, do jutra mogę zaczekać—wołał zaperzony wierzyciel.—Jeżeli jutro wieczorem nie oddasz mi pan tysiąca franków, jakie ci pożyczyłem, będąc przekonanym, że na wekslu był własnoręczny podpis twojego stryja, tak dobrze przez ciebie naśladowany, daję ci słowo honoru, że godziny dłużej czekać nie będę. Nie udam się do twojej matki, by mi zapłaciła... nie! ale zaniosę te weksle do prokuratora i sądu! A więc do jutra w wieczór, panie Duchemin! Tu wyszedł wściekły, trzasnąwszy drzwiami.

XIII.

Młody urzędnik upadł na krzesło złamany, obezwładniony, i ukrył twarz w dłoniach. Przez palce łyzy mu przeciekały obficie.

— Wybacz pan — rzekł nagle Owidyusz, podchodząc ku nieszczęśliwemu — wybacz, że byłem mimowolnym świadkiem tak przykrew sceny... Dałbym być wiele, aby nie słyszeć obelg, jakie ów człowiek bez serca rzucał ci w twarz tak brutalnie w mej obecności.

Urzędnik, podniósłszy głowę, zaczął mówić, łyzy ocierając.

— Zasłużona to kara, panie! Popeliłem błąd... więcej niż błąd, bo zbrodnię!... Człowiek, którego pan widziałeś przed chwilą, jest kupcem zamożnym w Joigny. Zostaje on w stonsunkach handlowych z moim stryjem. W zeszłym roku miałem kochankę, do której przywiązałem się jak szalony... Starałem się zadawać wszystkie jej fantazy, by zyskać jej miłość, a nie miałem pieniędzy... ani kredytu. Prawdziwy szal ogarnął mój umysł... Wystawiłem dwa weksle, na których sfalszowałem podpis mego stryja i zaniósłem je temu człowiekowi... Wyliczył mi sumę żadaną... Gdy nadszedł termin wypłaty, zapłacić nie miałem z czego... Poszedłem natenczas do mego

wierzyciela, który chciał weksle przesłać mojemu stryjowi, i umierając prawie ze wstydu, wyznałem mu całą prawdę, błagając, by mi pozostawił czasu ze sześć miesięcy. Termin ten upłynął... Spodziewałem się, że może będę mógł zapłacić... próżna nadzieja!... nie mogę.. nie mam czem... Słyszałeś pan, co mówił ten człowiek... On mnie zgubi! Będzie to sprawiedliwym! Bez słowa skargi ulegnę karze za zbrodnię, jaką spełniłem... Lecz moja biedna matka, która w niczem nie zawiniła... Och! ona umrze ze wstydu! Czemuż nie miałem siły oprzeć się żądaniom owej nędzniczki, która mnie powiodła na zgubę...

— Widujesz ją pan jeszcze?—pytał Owidyusz.

— Nie, panie.

— Przystałeś ją kochać?

— Nie, ona sama, spostrzegłszy, że nie mam pieniędzy, zamknęła drzwi przedemną.

— I dla takiej to istoty pan zawikłałeś się w tak ciężką sprawę?

— Powtarzam panu, byłem obłąkanym, szalonym.

— Zatem obecnie jedynym pańskim ocaleniem jest dostać ten tysiąc franków?

— Tak, panie.

— Cóż więc robić zamierzasz?

— Mam dwie drogi do wyboru przed sobą...

— A mianowicie?

— Rzucić się w rzekę, lub czekać na uwięzienie przez żandarmów.

— Dlaczego pan nie chcesz udać się w tym razie do swojej matki?

— Matka moja nie posiada wcale majątku, żyje ze swej szczupłej wdowiej emerytury.

— A stryj pański?

— Stryj mój jest niewzruszonym pod względem tego wszystkiego, co dotyczy honoru. Odepchnąłby od siebie synowca zniesławionego.

— O której godzinie wychodzisz pan z biura?

— Wyjdę natychmiast... jest pierwsza.

— A gdzie pan mieszka?

— Tu, obok.

— Sam?

— Tak, panie. Mówiłem, że moja matka zamieszkuje w Dijon.

— Gdzie pan się zwykle stołujesz?

— W hotelu *pod Łabędziem*.

— Tam właśnie, gdzie ja stanąłem. Obiadować więc razem będziemy.

Duchemin patrzył na mówiącego zdumiony. Zkąd ów obcy człowiek, nieznany, który wypadkowo poznał jego tajemnicę, okazywał się dlań tak życzliwym?...

— Będę służył panu—odpowiedział.

— Jak się nazywa ów pański wierzyciel? — badał dalej Owidysz.

— Nazywa się Petitjean.

— Gdzie mieszka?

— Bardzo ztąd blisko... na rogu ulicy.

— Bierz pan kapelusz i prowadź mnie do niego.

— Do niego?—powtórzył biedak, drżąc cały.

— Tak... mówię panu...

— Lecz on nanowo obrzuci mnie obelgami...

— Nie obawiaj się, chodź ze mną!

Duchemin machinalnie posłusznym był Owidyszowi. W kilka minut przybyli oba do kupca win. Bednarz, pracujący w podwórzu, zaprowadził ich do biura. Soliveau, otworzywszy drzwi, wpuścił naprzód Duchemin'a przed sobą. Spostrzegłszy swego dłużnika, wierzyciel zerwał się nagle, owładnięty gniewem.

— Po co pan tu przychodzisz?—zapytał groźnie.

— W celu zapłacenia panu tego, co winien—odrzekł Soliveau.

— On mi płacić przychodzi? on?—wołał negocjant z niedowierzaniem.

— Tak... pan Duchemin, jako młody, popełnił nieroztropność.

— Powiedz pan raczej zbrodnię!...

— No... zbrodnię... niech i tak będzie... O znaczenie słowa sprzeczać się nie będziemy... Ocaliłeś go pan... przychodzi więc dziękować ci za to...

— O! tak, tak!—wołał Duchemin, łzami zalany.

— Żałuje chwili tego obłędu, przyrzekłszy sobie, iż nie powtórzy tego więcej.

— Tak! nigdy... nigdy! Wołałbym umrzeć raczej!

— Jestem przyjacielem jego rodziny — mówił dalej Soliveau; — dziwnym trafem znalazłem się u niego w chwili, gdyś pan przyszedł żądać zwrotu pieniędzy. Niech się to więc wszystko ukończy... Oprócz przynależnej panu sumy, zapłacę tysiąc franków więcej, jako procent za pańskie oczekiwanie przez sześć miesięcy.

— Ja nie chcę żadnych procentów!—zawołał Petitjean.— Nie jestem lichwiarzem. Pragnąłem wyświadczyć mu przysługę, pożyczyłem nie dla zysku. Proszę o moje tysiąc franków na czysto.

Soliveau dobył z kieszeni pugilares, wypchany bankowymi biletami. Wybrawszy z nich tysiąc franków, położył takowe na rogu biurka. Kupiec zaś, otworzywszy swą kasę, wyjął z niej dwa podłużne weksle ze stępem.

— Oto są...—rzekł.

Wziąwszy je, Soliveau pokazał młodzieńcowi, zapytując:

— Te same?—panie Duchemin?

Nie mogąc przemówić z nadmiaru wzruszenia, młody urzędnik skinął głową potwierdzająco, wyciągając rękę ku weksłom, ale Owidyusz, zamiast mu je oddać, wsunął oba do swego pugilaresu, który następnie schował do kieszeni.

— A teraz, panie Petitjean — rzekł, zwracając się do kupca, wszystko skończone, nieprawdaż?

— Tak—odparł negocyant ponuro;—niech pański protegowany gdzieindziej szczęścia próbuje.

— Nie masz pan prawa ubliżać mi!... — zawołał Owidyusz—zostałeś zapłaconym!—Pamiętaj nadal, ostrzegam, powstrzymywać swój język, bo gdybyś się poważył kiedykolwiek bądź wspomnieć o tej sprawie, jaka z chwilą zapłacenia istnieje przestała, z rodziną Duchemin'ów będziesz miał wtedy do czynienia.

— Zachowaj pan swoje przestrogi dla siebie—zawołał kupiec z uniesieniem — jestem w tym wieku, gdzie wiem, jak postępować należy. Żegnam!

Tu zatrzęsnał z gniewem drzwi biura za wychodzącymi.

— Panie, ty jesteś mym zbawcą! — rzekł Duchemin do Owidyusza z wybuchem wdzięczności.

— Tak, w rzeczy samej...—odparł Soliveau—hultaja tego gniewa to, żem ci przyszedł z pomocą. Chciał cię zgubić wyraźnie.

— Czemże się zdołam wywdziękzyć panu za wyświadczoną mi tak wielką przysługę?

— Opowiem ci wszystko za chwilę. A teraz idźmy na obiad, nie myśląc o tem, co zaszło. Popsułoby to nam apetyt.

Przybywszy do hotelu *pod Łabędziem*, siedli naprzeciw siebie w małym saloniku, gdzie Owidyusz kazał położyć nakrycia. Uszczęśliwiony wydobył się z tak przykrego położenia, Duchemin widział wszystko przed sobą w różowych barwach.

— Zdaje mi się—zaczął po chwili Soliveau — iż pan musisz mieć jeszcze jakie drobne długi w Joigny...

— Lecz...

— No, no... nic nie kryj przedemną... Wiesz dobrze, że jestem twym przyjacielem...

— Czyliżbym mógł wątpić o tem wobec dowodu, jaki mi pan dałeś przed chwilą?

— Odpowiedz więc szczerze... masz długi?

— Tak, panie.

— Ileż one wynoszą?

— Blisko do dwóch tysięcy franków.

- Do pioruna! toś się urządził...
- Ach, pani! to ta nikczemna kobieta...
- Rzecz jasna... wiem o tem... Z czegoż je myślisz zapłacić?
- Wierzyciele czekać przyrzekli...
- Lecz im się naprzykrzy to kiedyś nareszcie. Poczną cię gnębić, jak ów Petitjean.
- Będę s płacał częściowo, ratami.
- Nie mów głupstw daremnie! Wiesz dobrze, tak jak i ja, że nie będziesz miał z czego zapłacić. Ja cię uwolnię od tych pijawek, lecz wzamian żądać będę od ciebie pewnej małej przysługi,
- Rozkazuj pan! Najgorętszem mojem życzeniem jest móżdż ci okazać mą wdzięczność.
- Od ciebie zależeć będzie, byś to uczynił.
- W jaki sposób?
- Zaraz ci to wyjaśnię.

XIV.

— Posłuchaj mnie, panie Duchemin — zaczął Soliveau z powagą.

— Przed laty dwudziestu pokochałem zameżną kobietę, która mi była wzajemną. W nieobecności jej męża, który udał się w podróż daleką, trwającą rok cały, przyszło na świat dziecko. Umieściliśmy je oboje u jednej z mamek w Joigny, poczem wypadło mi na długo opuścić Francję. Skorom powrócił, nie zdołałem już odnaleźć mej dawnej kochanki. Niemowle, oddane przez nią wieśniaczce, nazwiskiem Fremy, jak mnie objaśniono, zostało przez tęż kobietę złożonem do przytułku dla opuszczonych dzieci. Otóż pragnąłbym odnaleźć mą córkę, w czem musisz mi dopomóżdż.

— Z całego serca — odparł Duchemin. — Cóż więc mam czynić?

— Zdaje się, że mamka, nie odbierając zapłaty i nie wiedząc, gdzie się znajdują rodzice niemowlęcia, oddała je do przytułku, po złożeniu deklaracji merowi.

— Tak—odrzekł Duchemin. — Deklaracja ta, podpisana przez mera dla zlegalizowania podpisu mamki, wciągniętą została do ksiąg rejestrowych i znajduje się w naszym archiwum.

— Czy załączony przy tem protokół, prócz nazwisk i dat, nie zawiera opisu ubioru, jaki natenczas miało na sobie dziecko?—pytał Owidyusz dalej.

— Owszem, panie, a obok tego wymienia znaki na bieliźnie i osobiste znamiona dziecka, jeżeli takowe się znajdowały.

— A więc wzamian za uczynioną przezemnie przysługę, jako też i za tę, którą panu chcę oddać jeszcze, udzielił mi deklarację mamki Frémy, a zarazem i protokół.

— To, czego pan żądasz, nietylko nie jest dozwolonem, lecz najsurowiej wzbronionem; zbyt wiele jednak winienem panu wdzięczności, bym śmiało odmówić w tym razie: Uczynię, czego pan żądasz, potrzebowałbym jednak pewnych wskazówek dla ułatwienia poszukiwań.

— Udzielę je panu.

Duchemin, dobywszy z kieszeni notatnik i ołówek, gotów był do pisania.

— Rok oddania dziecka mamce, przedewszystkiem—rzekł.

— Między 1861 i 1862-im.

— Ile lat miało dziecko?

— Rok niespełna.

— Dziewczynka, mówiłeś pan...

— Tak jest.

— Imię jej?

— Łucya.

— Nazwisko mamki?

— Frémy.

— Nazwisko matki?

— Joanna Fortier.

Na te słowa Duchemin drgnął tak gwałtownie, że ołówek wypadł mu z ręki.

35

— Co się panu stało?—pytał Soliveau.

— Joanna Fortier!—powtórzył młodzieniec;—ależ to nazwisko kobiety, skazanej na dożywotnie więzienie za kradzież, podpalenie i morderstwo... Jest to nazwisko zbiegłej z więzienia w Clermont, której rysopis został rozesłany do wszystkich merostw i sądów.

— Jest to nazwisko ofiary niewinnie skazanej—rzekł Soliveau z udanym wzruszeniem, nazwisko kobiety, którą kochałem... matki, która przez lat dwadzieścia błaga Stwórcy, by jej dozwolił choć raz przed śmiercią uścisnąć swe dziecię! Co pana obchodzić może skazanie tej nieszczęśliwej i jej ucieczka—mówił dalej. — Gdyby nie była zbiegła z więzienia, nie przybyłbym i ja do Joigny, nie wszedłbym do pańskiego biura i nie był świadkiem owej smutnej sceny z pańskim wierzycielem. Wreszcie, czyż zdołałbym, panie, inaczej ocalić twój honor, osłonić cię przed hańbą... a tym sposobem zapewnić spokojność twjej matce na jej dni późnej starości? Wzamian za to wszystko wrócę biednej matce roskosz zobaczenia i ucałowania swej córki!

— Uczynię to, panie... Zbyt wiele winien ci jestem, bym mógł się wachać w tym razie. Na kiedy potrzebną będzie deklaracya i protokół?

— Jaknajprędzej.

— Akta, zawierające oryginał, z pewnością są złożone w archiwum. Jutro jaknajraniej przybędę do biura, a korzystając z chwili, gdy urzędnicy wyjdą na śniadanie, przejrzę takowe. Lecz gdzie mam panu doręczyć żądane papiery?

— Będę tu oczekiwał ze śniadaniem około jedenastej—odrzekł Soliveau.

— Przybędę w oznaczonym czasie.

— Proszę o to, a zamian za dostarczenie mi powyższych dowodów doręczę panu sumę, potrzebną na spłacenie długów. Sądzę, iż na przyszłość nie dozwolisz owładnąć się miłostkom podobnego rodzaju, wiodącym wiesz gdzie... i dokąd...

— Och! panie, przysięgam...

— Byłaż przynajmniej ładną ta twoja kochanka?

— Bardzo ładną, panie, ta... ta nikczemnica! Brunetka, z ognistemi, czarnemi oczyma, maleńkim pieprzykiem na policzku, o kibici niezrównanej! Amanda była paryżanką, przybyła tu jako szwaczka do magazynu mód.

— Amanda? — powtórzył Owidyusz, któremu tak owo imię, jak i opisana postać przywiodły świeże wspomnienia.

— Tak, panie, Amanda Régamy.

— Do czarta! to ciekawe!—zawołał Soliveau.

— Pan ją znasz?—zawołał Duchemin.

— Tak jest, mój drogi, pojmuję teraz, iż cię tak zrećnie poprowadziła na manowce. Ależ ona nie mieszka obecnie w Joigny?

— Wyjechała przed kilku miesiącami do Paryża, pięknie tu po sobie pozostawiwszy wspomnienie. Wyobraź pan sobie, iż w magazynie, gdzie pracowała jako szwaczka, ukradła dwie sztuki koronek, po pięćset franków wartości każda...

— Czy podobna? I nie przytrzymano jej?

— Nie, panie. Błaganiem i łzami wzruszyła swoją zwierzchniczkę, która wzamian wymogła na niej piśmienne zeznanie o popełnionej kradzieży, oraz zobowiązanie, iż w ciągu roku zwróci przynależną sumę.

— Ha! to niebezpieczna sprawa...

— Dla zapłacenia to owej modniarki popełniłem fałszerstwo.

— I cóż?

— Ha! pochwycawszy pieniądze, powiedziała: „Mam jeszcze rok czasu przed sobą, zapłacę później.“

— I zapłaciła cośkolwiek?

— Nic nie wiem, lecz zdaje się, że nie.

— Jak się nazywa modniarka, u której ona popełniła tę kradzież?

— Pani Delion.

— A mieszka?

— Tu w mieście, na Wielkiej ulicy, numer 74.

36
Przy tych słowach obiad skończyli. Owidyusz spojrział na zegarek.

— Czas nam się rozejść—rzekł—panie Duchemin, jestem znużony, potrzebuję wypoczynku. Jutro oczekuję pana z tem, co wiesz...

— Przyjdę nieodmiennie. Racz pan przyjąć raz jeszcze wynurzenie mojej najgłębszej wdzięczności.

— Zapomnijmy o drobnostce...—rzekł Soliveau.

Duchemin odszedł. Owidyusz zaś powrócił do swego pokoju, gdzie położywszy się na łóżku, zasnął wkrótce najspokojniej, zadowolony wielce z obrotu swej sprawy. Wspólnik jego udał się na facyatkę jednego z domów w pobliżu merostwa, gdzie zajmował małą stancyjkę, zapytując się, czyli to wszystko nie jest marzeniem?

Zgnębiony przedtem, postawiony wśród strasznych dwóch ostateczności, zagrożony sądem, odzyskał nagle spokój, swobodę działania i honor prawie stracony. Straszne owe weksle z rąk okrutnego Petitjean'a wydobytemi zostały, a w dniu jutrzejszym reszta naglących długów w Joigny zapłaconą będzie. Dla otrzymania tak cudownych rezultatów wystarczyła obietnica dana wybawcy, wydostania kawałka papieru z archiwum merostwa. Podobnej drobnostki nie godziło się odmawiać. Jeden szczegół wszelako wydał się być dziwnym Duchemin'owi, zaniepokoiwszy go nieco. Dlaczego ów obcy, nieznany człowiek, którego nie wiedział nazwiska, nie zwrócił mu dwóch weksli z fałszywym podpisem jego stryja?

— E!—myślał sobie—szlachetny ów dobroczyńca nie może kryć przeciw mnie żadnych złych zamiarów!... Odda je jutro, zrobił to, być może, przez zapomnienie.

Tak rozumując, zasnął wreszcie również spokojnie, jak i Owidyusz.

Urzednicy w merostwie stwierdzali podpisami swoje przybycie do biura, pomiędzy ósmą a dziewiątą rano. Nazajutrz, wbrew swemu zwyczajowi, Duchemin, który się zwykle opóźniał, przyszedł o trzy kwadranse na ósmą. Wziąwszy

klucz od biura u odzwiernej, zażądał klucza od archiwum, objaśniając dla upozorowania, iż miał tam szukać potrzebnych dla siebie papierów. Archiwum merostwa mieściło się w małej stancyjce na facyacie. Ściany wokoło zawieszono były półkami, na których leżały księgi rejestrowe, paki zapyłonych akt i różnego rodzaju papiery.

Na stole, stojącym w pośrodku, pokrytym czarnymi plamami, leżały arkusze bibuły, a pośrodku znajdował się kałamarz ze zgęstniałym atramentem i kilka piór popsutych.

Jako urzędnik merostwa, Duchemin znalazł doskonale porządek ksiąg i akt, które niejednokrotnie porządkował.

Rozpoczął poszukiwania od przeglądu napisów na grzbiecach rejestrów, na półkach stojących. Rejestra te nosiły na okładkach napisy: *Szpitala, Przytulki, Infirmerye*.

Duchemin, pochyliwszy się, przeglądał następnie tomy, noszące napisy: *Mamki, Opuszczone dzieci*.

— Ołóż, co mi trzeba...—wyszeptał.

XV.

Zbiór ten składał się z dwunastu ksiąg rejestrowych. Zpomiędzy tych tomów wybrał jeden, na którym przyklejona kartka nad tytułem oznajmiała o zawartych w tej księdze latach: 1861—1866-go.

— To musi się tu znajdować—powtórzył.—Jeżeli on mnie dobrze objaśnił, wprędce odnajdę.

Położywszy księgę na stole, otworzył ją i zaczął z całą uwagą przepatrywać kartę po karcie. Rok 1861 w niczem go nie powiadomił. Przeszedł do następnego.

— Jeśli się nie mylę, tom znalazł, czego szukam—rzekł, spoglądając na arkusz papieru, oddzielnie przypięty szpilką do następnej karty rejestru.

I przebiegając oczyma, czytał półgłosem:

— *Fremy... Joanna Fortier... Lucya...* Tak... to, to właśnie... Niedługo trwały poszukiwania.

I odpiąwszy arkusz, oddzielnie uczepiony, złożył go i schował do kieszeni, nie przeczytawszy szczegółowo, następnie zamknął księgę, położył ją na miejscu; a odniósłszy klucze od archiwum odzwiernej, wrócił do biura.

Podczas, gdy Duchemin na facyacie oddawał się tej pracy, Owidyusz Soliveau, wyszedłszy z hotelu *pod Łabędziem*, szedł w stronę ulicy Wielkiej, przypatrując się znakom nad sklepami, które właśnie otwierać zaczęto. Po przebyciu kilkudziesięciu kroków, znalazł się naprzeciw domu oznaczonego numerem 74-ym, na którym widniała wystawa magazynu mód. Żadnego jednak nazwiska na szybach okna nie było. Spozstrzegłszy młodą dziewczynę, stojącą we drzwiach sklepu, zwrócił się do niej.

— Czy tu mieszka pani Delion?—zapytał.

— Tak, panie, to moja matka.

— Mógłbym się z nią widzieć?

— Owszem, wejdź pan, proszę.

Owidyusz wszedł, dziewczę pobiegło, wołając:

— Mamol jakiś pan chce się z mamą widzieć.

We drzwiach, umieszczonych w głębi sklepu, ukazała się pięćdziesięcioletnia kobieta, o dość przyjemnej powierzchowności.

— Czego pan sobie życzysz?—spytała.

— Potrzebowałbym z panią pomówić na osobności.

Na znak, dany przez matkę, dziewczę odeszło.

— Słucham teraz...—rzekła modniarka.

Owidyusz szedł prosto do celu.

— Wszak miałaś pani w swym magazynie szwaczkę, Amandę Régamy?

— Tak, panie... dziewczynę przyzwoitą z pozoru, lecz charakterem wielkie ladaco.

— Pozory myślą niekiedy, jak właśnie i w tym razie miało to miejsce. Amanda podobno panią okradła?...

— W istocie... zabrała mi koronki wartości tysiąca franków.

— Za które zobowiązała się zapłacić?

— Tak, panie. Zobowiązanie, którego dotąd nie dopełniła. Lecz ja dotrzymam słowa... Udzieliłam jej na to rok czasu. Skoro ostatni dzień tego terminu upłynie, wniosę skargę do prokuratora i uwięzić ją każę. Wiem, że przebywa w Paryżu, u jednej z pierwszorzędných modniarek. Policja prędko ją odnajdzie. Jest to łotrzyca nader niebezpieczna... Powiodła ona na zgubę młodego, uczciwego chłopca, zmagając go do sfalszowania weksli.

— Mówisz zapewne pani o panu Duchemin, nieprawdaż?— przerwał Owidysz.

— Tak, panie.

— A zatem pozwól mi objaśnić, że się mylisz. Pan Duchemin żadnych weksli nie fałszował. Ta potwarz rzuconą nań została przez wierzyciela, zniecierpliwionego wyczekiwaniem na odbiór pieniędzy. Wierzyciel ów jest już zaspokojonym. Lecz mówmy o panie Amandzie Régamy. Dałaś jej pani zatem rok czasu?

— Tak, panie, ulegając jej błaganiom.

— Czy uczyniła na piśmie zeznanie kradzieży, jaką spełniła?

— Tak, inaczej bowiem kazałabym ją zaraz przyaresztować. Tym sposobem mam ją w swem ręku. Lecz co to wszystko pana obchodzić może?

— Wiele mnie obchodzi. Właśnie chcę panią prosić, abyś mi zwróciła to jej zeznanie.

Pani Delion cofnęła się, patrząc z osłupieniem na mówiącego.

— Mamże do czynienia z waryatem?—zapytywała siebie.

— Uspokój się pani — wyrzekł Soliveau, odgadując jej myśli. Proszę o zwrot tego papieru, ponieważ mam prawo do tego.

— Zkąd? jakim sposobem?

— Chcę pani zapłacić.

— Jakto, przynosisz mi pan tysiąc franków za dług Amandy, z procentem przynależnym za rok czasu?

— Dołączę procent do kapitału, jeśli pani sobie zyczysz.

— Właśnie... chcę tego.

— Masz pani słuszność zupełną. Procent w takim razie, licząc po pięć od sta, wyniesie pięćdziesiąt franków. Wypląć zatem pani tysiąc pięćdziesiąt franków.

To mówiąc, dobył z pugilaresu bilet tysiącfrankowy, dołączył do tego dwa luidory i sztukę dziesięciofrankową, kładąc to wszystko przed nią na stole.

— A teraz—rzekł—proszę o deklarację panny Amandy.

— Natychmiast, panie.

Tu pani Delion, napisawszy pokwitowanie z odbioru pieniędzy, weszła do swego pokoju, gdzie z oszklonej szafki wyjęła papier podpisany przez byłą swą szwaczkę, brzmiący jak następuje:

„Zeznaję niniejszem, iż przywłaszczyłam sobie dla spieniężenia dwie sztuki koronek, wartości po pięćset franków każda, będące własnością pani Delion. Zobowiązuję się zapłacić za takowe sumę tysiąc franków wraz z procentem w ciągu roku, licząc od dnia dzisiejszego, pod rygorem ściągania mnie za popełniony występpek. Jestem bardzo wdzięczną pani Delion, że nie oddała mnie zaraz w ręce sprawiedliwości, do czego miała wszelkie prawo.“

Tu następowała data i podpis.

Przeczytawszy owo niezwykle zeznanie, Owidyusz schował je do pugilaresu, gdzie znajdowały się dwa weksle Duchemin'a, a pożegnawszy panią Delion, wrócił do hotelu *pod Łabędziem*, zamówiwszy tam śniadanie na dwie osoby. Miało ono być podanem punkt o jedenastej, w małym saloniku, gdzie obiadowali dnia poprzedniego.

W oczekiwaniu na przybycie młodego urzędnika, zaczął przeglądać dzienniki.

Z uderzeniem jedenastej ukazał się Duchemin.

— A cóż?—zapytał Soliveau.

— Zdobyłem co trzeba.

— Doskonale! Miałeś pan wiele trudności?

— Żadnych. Parę chwil poszukiwania, ot wszystko... Oto oryginał deklaracji, złożonej przez matkę Frémy—mówił, dobywając z kieszeni papier. — Podpisany on jest ręką mojego stryja, podczas gdy pełnił obowiązki mera, obok czego jest przyłożoną i pieczęć urzędu.

Owidysz, pochwywszy papier, czytał półgłosem:

„Ja, Małgorzata Frémy, mamka, zamieszkująca w Joigny, departamencie Yonne, zeznaję niniejszem przed merem Joigny, panem Raulem Duchemin, jako dziecię płci żeńskiej oddanem mi zostało przez matkę na wykarmienie w dniu 12-ym kwietnia 1862 roku. Po uwięzieniu matki pomienionego dziecka, Joanny Fortier, za popełnioną zbrodnię, upoważnioną została przez mera do oddania pomienionej dziewczynki do przytułku dla opuszczonych dzieci w Paryżu, co uczyniłam w dniu 6-ym kwietnia 1862 roku.

Następujące wskazówki służyć mogą do rozpoznania tożsamości dziecka, gdyby jego matka lub ktoś z osób interesowanych poznać i odebrać je pragnął. Też same wskazówki zapisanemi są w aktach przytułku.

Przy dziecku dołączonemi były:

1. Koszulka ze znakiem J. F.
 2. Kaftanik.
 3. Para pończoszek.
 4. Czepeczek.
 5. Chustka wełniana.
 6. Kołderka szydełkową robotą.
 7. Kołderka wełniana.
 8. Dwa powijaki ze znakami J. F.
- Znaków osobistych żadnych nie ma.
Nazwisko matki: Joanna Fortier.

38 Imię dziecka: Łucya.

Nazwisko mamki: Małgorzata Frémy.“

Tu następował podpis Małgorzaty Frémy, podpis mera i pieczęć urzędu, nadające pomienionemu dokumentowi cechę niezaprzeczonej autentyczności.

Owidyusz, rozplamiony radością, którą pozornym spokojem pokryć usiłował, złożywszy papier, schował go do kieszeni.

— Dziękuję ci—rzekł—mój dobry przyjacielu.—Poczem rozpoczęli śniadanie, które właśnie wniesiono.

XVI.

Gdy odszedł posługujący, Soliveau dobył z pugilaresu pieniądze.

— Oto—rzekł — dwa tysiące franków na spłacenie pańskich długów, wszak one tyle wynoszą?

— Tak, panie...—odparł Duchemin.

— Bierz więc pan. Jesteśmy skwitowani—dodał, podając bilety bankowe urzędnikowi.

— Lecz, panie! — zawołał tenże z uniesieniem radości—racz mi powiedzieć swoje nazwisko... Niech wiem przynajmniej, komu jestem winien mą wdzięczność.

— Baron Arnold de Reiss — odrzekł uśmiechając się Soliveau.

— Ach! tego nazwiska nigdy nie zapomnę!

— Nic tak wielkiego... Wyświadczyłem panu przysługę... pan mi ją oddałś nawzajem. Powtarzam, skwitowani jesteśmy.

Kilka sekund upłynęło w milczeniu. Młody urzędnik trzymał bilety bankowe, obracając je w rękę, na jego obliczu znać było zakłopotanie.

— Pan, widzę, masz mi coś jeszcze do powiedzenia?—zadnął Owidyusz.

— Tak... w rzeczy samej...

— O cóż więc chodzi? Mów pan otwarcie, wszak wiesz, że jestem twym przyjacielem.

— Chciałbym prosić pana o zwrot weksli, wykupionych od Petitjean'a.

— Spaliłem je—odpowiedział krótko Soliveau.

— Naprawdę.

— Jakto? śmiałyś pan powątpiewać?

— Och! nigdy... nigdy, panie...

— Pojmujesz, iż takich rzeczy się nie chowa.

Druga uderzyła na ściennym zegarze w saloniku. Owidyusz podniósł się z krzesła.

— Wracaj pan do biura — rzekł;—ja wracam do Paryża pociągiem, wychodzącym o drugiej minut pięćdziesiąt. A więc rozłączamy się. Wybawiłem pana z nader przykrego położenia, strzeż się wpaść w podobne raz drugi, ponieważ los nie zesłałby ci powtórnego wybawcy. Nie żegnam pana na zawsze, panie Duchemin, być może, iż zobaczymy się kiedyś.

— Rad byłbym temu.

— I ja również, mówię więc panu tylko *do widzenia!*

Po wzajemnem uściśnieniu rąk, siostrzeniec byłego mera udał się do biura, Owidyusz zaś, rozkazawszy podać sobie hotelowy rachunek, poszedł pakować rzeczy w walizę, Znalazłszy się w swoim pokoju, dobył pugilares i w jednej kieszonce tegoż umieścił papiery, składające się z dwóch weksli, wykupionych razem od Petitjean'a, z zeznania podpisanego przez Amandę Régamy, i z deklaracji mamki, Małgorzaty Frémy.

— Nie straciłem czasu daremnie — rzekł z ironicznym uśmiechem. — Kosztuje to wprawdzie kilka tysięcy franków... lecz co to znaczy? Mam czem zamknąć usta Duchemin'owi, gdyby kiedy zechciano w tym względzie śledztwo wyprowadzić, jak również mogę dowolnie kierować Amandą, gdyby przyszyła jej myśl podejrzewać mnie o napad na Łucyę. Musi być mi teraz posłuszną, gdybym jej zapotrzebował do jakich wskazówek. Należy trzymać tych, którzy nas trzymają.

A wreszcie, co najważniejsza, posiadam sposób sprawdzenia, czy Łucya jest córką Joanny Fortier. Kolekcya owa, na honor, warta więcej, niż mnie kosztuje! — zakończył wesoło.

Po załatwieniu rachunku w hotelu udał się na stację drogi żelaznej i o godzinie piątej po południu wrócił do Paryża. Było zbyt późno, by iść do fabryki w Courbevoie, do pałacu zaś Harmanta iść nie chciał. Odłożywszy przeto ową wizytę na dzień następny, kazał się zawieźć do siebie na ulicę Clichy, gdzie zmienił ubranie, nadawszy sobie pozór zamożnego barona de Reiss.

— Trzeba się mieć na ostrożności i przewidywać następstwa — powtarzał. — Dotąd nie obawiam się Amandy, ponieważ ona o niczem nie wie, wypadek ów bowiem z Łucyą poszedł na rachunek złodziei. Któż jednak w przyszłości następstwa przewidzieć jest w stanie? Należy się więc zabezpieczyć przeciw tym dwojgu ludziom, którzy mogliby kiedyś stać się dla mnie groźnymi. Mam przeciw nim teraz broń straszną! Dalej więc, śmiało do walki! Drży tylko tchórz albo bezsilny. Będę dziś obiadował z Amandą!

Na krótko przed godziną, o której wychodziły robotnice ze szwalni pani Augusty, Owidyusz udał się na ulicę św. Honorjusza. Amanda, będąc przekonaną, że owo milczenie ze strony wielbiciela ukrywało stanowcze zerwanie stosunków, powitała go okrzykiem radości.

— Tyżes to, mój drogi? — wołała, chwytając go za rękę i pogładając nań tkliwie.

— Sądziłaś, iż się nie zobaczymy już więcej?

— Twój nagły wyjazd zdawał mi się być udanym, milczenie twoje napawało mnie trwogą.

— Podróżowałem w rzeczy samej przez czas naszego rozłączenia.

— Podróż nie wzbrania pisać do tych, których kochamy.

— Nie jestem winien w tym razie. Całe dni zajęty byłem interesami, zresztą spodziewałem się wrócić lada chwila.

— Przebaczam ci... zapomnijmy o wszystkim, gdy oto jesteśmy znów razem. Obiadować z sobą będziemy, nieprawdaż?...

— Tego właśnie pragnę...

— U Brébant'a?

— Gdzie zechcesz.

— Każ podać obiad do gabinetu, w którym raz pierwszy niegdyś obiadowaliśmy razem.

— Widzę, że prawdziwie mnie kochasz... Amando, jesteś aniołem!

* * *

Przypominają sobie czytelnicy, że komisarz policyi w Bois-Colombes znalazł w pobliżu Łucyi, leżącej w omdleniu, połowę noża, użytego przez Owidyusza do zadania jej ciosu. Nie przywiązując pozornie wiele wagi do tego przedmiotu, komisarz wszelako ocenił jego znaczenie.

Posiadając dwie te wskazówki, numer ukradzionego zegarka i odłamek noża, liczył, iż przy pomocy tychże odkryje prawdziwego zbrodniarza, być może nawet dowódcę bandy, pustoszącej naówczas okolice Asnières, Courbevoie, Bois-Colombes i Argenteuil.

Aby jednakże ów nóż mógł doprowadzić do celu, potrzeba było odnaleźć rękojeść, na której musiała być wyryta marka fabryki, mogąca poprowadzić na ślady mordercy. Nazajutrz zatem przejrzał starannie tak miejsce popełnionej zbrodni, jak do niej przyległe, bez pożądanego wszelako rezultatu. Nie zniechęcony tem, rozkazał agentom i żandarmom, przejrzeć całą równinę, przetrząsnąć każdą piędź pola, trawę rosnącą w rowach, linię drogi żelaznej, aby koniecznie odnaleźć rękojeść, którą morderca musiał rzucić uciekając. Pomimo najstaranniejszych poszukiwań, nic nie znaleziono. W śledztwie tem odznaczał się szczególną gorliwością Larchaud, ów żandarm, którego widzieliśmy przybywającego najpierwej

z brygadyerem na ratunek Łucyi. Pałał on chęcią odnalezienia zabójcy, nie tracąc nadziei, iż tego dokona. Szczęśliwy traf przyszedł mu z pomocą.

Łucya od dwóch dni opuściwszy gościnnie dom komisarza, wróciła do siebie na ulicę Bourbon. Była dziesiąta rano. Po burzliwej nocy zabłysnął dzień piękny, pogodny. Deszcz, spływający potokami przez długie godziny, poruszył kupy piasku, napelniając nim rowy i strumienie. Dwaj dróżnicy odrzucali ów piasek z drogi, wiodącej z Bois-Colombes do Garenne, odkładając go na bok: Nagle jeden z nich pochyliwszy się, podniósł rękojeść noża, przy której trzymał się kawał ostrza, cały rdzą pokryty.

— Coś ty tam znalazł?—zapytał go towarzysz.

— Jakąś starą obsadę noża... myślałem, że coś dobrego, lecz to się na nic nie przyda.

To mówiąc, rzucił rękojeść w stronę równiny la Garenne. W tej to właśnie chwili Larchaud, wracając z brygadyerem z przeciwnej strony, nadchodził. Rękojeść, rzucona z całą siłą, padła tuż przy nogach Larchaud'a. Obaj żandarmi w miejscu się zatrzymali.

— Kto tam rzuca kamienie?—zawołał brygadyer.

Dróżnik, ukazując się na wzgórk, odpowiedział:

— To nie kamienie, brygadyerze...

— Cóż zatem?

— Rękojeść jakiegoś starego noża, którą znalazłem w piasku, napelniającym strumień. Leży ot, tam... przy nogach pana Larchaud.

Dwaj żandarmi spojrzeli jednocześnie na ziemię. Larchaud, spostrzegłszy obsadę, chwycił ją z okrzykiem radości.

— Do pioruń! — zawołał, oglądając podniesiony przedmiot—a to posłużyło mi szczęście! Szukaliśmy tego przez kilka dni nadaremnie... Zobacz-no, brygadyerze.

Żandarm, wzięwszy rękojeść noża, przypatrywał się jej z uwagą.

— Ależ tak!—zawołał—tak... nieodwołalnie!... odłamek tego ostrza nada się doskonale i połączy z kawałkiem, znajdującym się u komisarza.

— Trzeba mu jaknajprędzej to zanieść.

— Śpieszmy więc—odrzekł brygadyer. — Jeżeli to właśnie ów przedmiot, którego poszukujemy — rzekł do dróżnika, stojącego w pobliżu — możesz się pochlubić, żeś go znalazł. Wkrótce się zobaczymy.

I oba z Larchaud'em zwrócili się na drogę, którą przyszli.

Wszedłszy do biura policyi, zostali natychmiast wpuszczeni do gabinetu komisarza.

— Cóż was sprowadza?—zapytał tenże.

— Rzecz nader ważna... patrz pan...

Tu brygadyer położył rękojeść z odłamkiem ostrza, które się przy niej trzymało.

— Wszakże to przedmiot, którego poszukiwaliśmy!—zawołał komisarz z zadowoleniem.

— Tak sądzę...

— Zaraz przekonamy się o tem—rzekł.

I otworzywszy szufladę biurka, wyjął z niej kawałek noża, znalezionego przy Łucyi. Przyłożone do siebie obie te części stanowiły doskonałą całość.

— Tak... to nieomylnie!—zawołał—nóż jest teraz w komplecie.

— Zobaczmy, gdzie był kupiony—wyrzekł brygadyer.— Firma fabryki wyrytą być musi na rękojeści. O! patrz pan—dodał—jest całkiem czytelną, wyziera z pod rdzy, pokrywającej ostrze.

Komisarz wpatrywał się w punkt wskazany.

— Ronsard... nożownik... ulica Bourbon, numer 9-ty—przeczytał głośno i zadrżał.

— Ulica Bourbon... numer 9-ty! — powtórzył — ależ to adres mieszkania panny Łucyi. Miałżeby nóż mordercy być kupionym w tym samym domu, gdzie mieszkała ofiara? Zaiste, dziwne to... zdumiewające!

— Traf to być może jedynie...—ozwał się Larchaud.

— Traf szczególny i przypuszczalny — ciągnął dalej komisarz.—Nóż ten, być może, nie został kupionym przez tego, który się nim posługiwał, lecz przez jakąś drugą lub trzecią osobę.

— Panie komisarzu—rzekł brygadyer — kawałek ostrza, podniesiony przez pana na miejscu zbrodni, świadczy, że nóż był nowy. Zatem widoczna, iż został sprzedany przed niewielu dniami.

— Masz słuszność. W każdym razie potrzeba nam w tym przedmiocie śledztwo wyprowadzić. Jadę natychmiast do Paryża, będę u naczelnika policji i zobaczymy, czy opierając się na tem, będzie można rozpocząć poszukiwania. W każdym razie, mocno wam jestem obowiązany za wynalezienie tego przedmiotu, który może doprowadzić nas do upragnionego celu.

Larchaud z brygadyerem odeszli. Komisarz, owinąwszy w gazetę oba kawałki noża, odjechał do Paryża.

Mimo, że usiłowanie wspomniane morderstwa policzono na karb zarogatkowych włóczęgów i że doń niewiele wagi przywiązywano, wyznaczonym został sędzia do zbadania tej sprawy, której wskazówki w nader ograniczonym zakresie mogła jedynie udzielić Łucya i Eliza Perrin.

Zeznania obu tych kobiet żadnych początkowo rozjaśnień nie dostarczyły sądowi, sprawa została złożoną do akt, z kąd, według wszelkiego podobieństwa, mogła już na świat nie wyjść wcale.

Naczelnik policji bezzwłocznie przyjął komisarza z Bois-Colombes, który objaśniwszy mu w krótkich słowach cel swego przybycia, przedstawił oba kawałki noża, złączone i tworzące całość.

— W rzeczy samej — zawołał naczelnik — jest to punkt ważny—trzeba nam o tem powiadomić sędziego śledczego. Jedź pan ze mną do pałacu Sprawiedliwości.

Wysłuchawszy wszystkiego, sędzia uważał, iż należało gorliwie zająć się tą sprawą. I jemu również dziwnem być się zdało, że nóż, mający służyć do spełnienia zbrodni, został kupionym w tym właśnie domu, gdzie mieszkała ofiara. Szczegółów wskazywał, iż zamiar morderstwa był naprzód powziętym.

Po odbytej naradzie obadwaj urzędnicy, wsiadłszy do powozu, polecili się zawieźć do sklepu nożownika przy ulicy Bourbon. Właściciel był nieobecnym, jego żona przyjęła przybyłych. Sędzia wyjaśnił cel swoich odwiedzin.

— Nie obawiaj się, pani — rzekł, widząc ją zaniepokojoną — przybywamy jedynie dla pozyskania objaśnień.

— Jestem na rozkazy panów... O cóż chodzi?

— Oto nóż — wyrzekł naczelnik policyi, dobywając dwie złamane połowy tegoż — wszak on w tutejszym sklepie został kupionym?

— Niezaprzeczenie... — odparła nożowniczką, obejrzawszy rękojeść z uwagą. Jest na nim nasze nazwisko i marka fabryki.

— Pomimo pokrywającej go rdzy, ów nóż zdaje się być nowym — mówił sędzia dalej.

— Jest nim w rzeczy samej.

— Nie przypominasz sobie pani, komu on został sprzedanym?

— Sprzedajemy wiele różnym osobom, bądź to mój mąż, bądź ja lub nasz subiekt. Niepodobna mi więc coś stanowczego orzec w tym względzie. Data wszelako każdej sprzedaży zapisywaną jest w księdze buchalteryjnej. Przejrzę ją i powiem panom, czyli mój mąż, lub subiekt sprzedał takowy od chwili, gdy ja jeden z podobnego gatunku sprzedalam.

Zaczęła przeglądać księgę z uwagą.

— Nie, ten nóż nie był u nas kupowany — odpowiedziała.

— A jak pani dawno sprzedałaś tamten, o którym wspominaasz?

Nożowniczką oznaczyła dzień ściśle.

— Było to więc właśnie w wigilię dnia, w którym zbrodnia spełnioną została!—zawołał naczelnik policyi.

— Czy pani sobie zatem nie przypominasz, kto ów nóż nabywał?

— Pamiętam, był to mężczyzna.

— Mężczyzna?!—powtórzyli razem oba.

— Tak jest, mężczyzna, nader przyzwoity z pozoru. Wszedł do sklepu między ósmą a dziewiątą wieczorem, zażądał kuchenego noża, w rodzaju tych, jakich używają rzeźnicy do ćwierutowania mięsa. Jego to własne wyrazy, pamiętam je doskonale. Dodał jeszcze, ażeby nóż był silnym i trwałym.

— Nie mogłażbyś pani opisać nam szczegółowo owej osobistości?

— Niepodobna, panie... Przesuwa się tu u nas tak wiele osób, iż na nie nie zwracamy uwagi.

— Byłże on młodym?

— Przeciwnie... mógł mieć około lat pięćdziesięciu. Włosy miał szpakowate, lecz całe zachowanie się jego oznaczało swiatowego człowieka. Wyrażał się nader poprawnie...

Obaj przybyli zadumali się. Widocznie ów opisany przez nożowniczkę klient nie mógł być zabójcą młodej szwaczki. Sędzia wyraził głośno swe zdanie w tym względzie.

— Kto wie? — odparł naczelnik policyi. — Zdarzają się nieraz tak dziwne kombinacje...

— Cóż innego, jeśli nie kradzież popchnęła do tego kroku mordercę? — pawtórzył sędzia. — Człowiek, którego pani nam opisujesz, nie wygląda przecież na drogowego włóczęgę?

— Nic nie przekonywa, ażeby kradzież miała być pobudką tej zbrodni...

— Wierzysz pan więc w coś innego?

— Ja w nic nie wierzę..., szukam jedynie.

Sędzia śledczy zamyślił się, nie mówiąc ani słowa, a podziękowawszy właścicielce sklepu, wyszedł ze swym towarzyszem. Stanąwszy na ulicy, zatrzymał się naprzeciw bramy domu numer 9-ty.

— Tu więc mieszka panna Łucya? — zapytał naczelnika.

— Tu, panie.

— Będąc tak blisko, idźmy do niej.

— Masz pan słuszność. Od tej młodej dziewczyny będziemy się mogli dowiedzieć, czy ktoś nie miał innych pobudek do napaści na nią, oprócz kradzieży.

I wszedłszy w bramę, polecili odzwiernej wskazać sobie mieszkanie młodej szwaczki.

XVII.

Łucya, mimo silnego osłabienia, siedziała przy pracy, gdy dwaj przybyli weszli do niej niespodziewanie.

Za pierwszym spojrzeniem poznawszy sędziego śledczego, powstała idąc naprzeciw niemu.

— Nie trudź się, moje dziecko—rzekł do niej—pragnę ci zadać jedynie kilka pytań.

— Odnaleźliście może panowie człowieka, który we mnie uderzył...

— Niestety, dotąd nie. Zdaje się nam jednak, że trafiamy na jego ślady... Mamy pewne poszlaki...

— Jakie?

— Odnaleziono rękojeść noża, użytego przez mordercę. Obsada ta z kawałkiem ostrza, doskonale łączy się z drugą połową, znaną przy tobie w Bois-Colombes. Ztąd wynika, że wiemy, gdzie ów nóż został kupionym.

— Tak?—zawołała dziewczyna.

— W przeddzień, zanim zbrodnia spełniona została — mówił sędzia dalej — nożownik, mający sklep w tym domu, sprzedał ów nóż pomiędzy godziną ósmą a dziewiątą wieczorem.

— Szczególny zbieg okoliczności—odrzekło dziewczę — I któż był jego nabywcą?

— Jakiś mężczyzna w średnim wieku, nader przyzwoicie ubrany, mający wszelkie pozory wielkoświatowego człowieka.

— Ależ to nie on we mnie uderzył...

— Zkąd możesz wiedzieć?

— Mimo silnego przestachu i grubych ciemności, widziałam, że mój zabójca był nędznie odzianym.

— Bardzo jest łatwo zmienić ubranie.

— To prawda, lecz nie rozumiem, co panowie wywnioskować z tego możecie?

— Wynika ztąd, iż nie kradzież była powodem owej na ciebie napaści.

— Cóż więc innego mogłoby powodować zloczyncą?

— Masz może nieprzyjaciół?

Łucya się uśmiechnęła.

— Zkąd mogłabym mieć nieprzyjaciół? Żyję w odosobnieniu. Jestem sierotą, w przytułku wychowaną... Jedynym moim znajomym jest mój narzeczony, nieobecny właśnie w Paryżu.

— Nie mówiłaś nikomu, że się udajesz do Bois-Colombes?

— Nikomu... Panna z magazynu, dla którego wykonywałam roboty, przyszła mnie powiadomić, iż będę musiała odnieść suknię balową żonie mera z Garenne. Nikt nie mógł wiedzieć, o której godzinie tam się udam, w jakich warunkach i którą stroną iść będę. Mogłam wziąć powóz, zamiast jechać drogą żelazną, nie uczyniłam tego wszakże z przyczyny, iż to by mnie za drogo kosztowało.

— Rzecz jasna...— odrzekł naczelnik policyi.

— Wracamy zatem do naszego pierwotnego przekonania—mówił sędzia— pomimo to pochodzenie tego noża budzi we mnie powątpiewania.

— Według mnie — odrzekła Łucya— ów nóż niczego nie dowodzi. Był on nowym, to prawda, ale zloczynca mógł oddawna posiadać nóż w tym sklepie kupiony, nie używając go wcale. A być może ukradł go gdzie, lub znalazł. Nie wierzcie temu panowie, ażeby zbrodnia miała być naprzód uplanowana,

ażebym jakiegokolwiek inne pobudki nad kradzież skłoniły do niej mordercę. Nikt mnie nie zna, upewniam, i ja zarówno z nikim nie mam stosunków znajomości. Pracuję samotnie w mojem mieszkaniu, nie przyjmując u siebie nikogo, oprócz mojego narzeczonego, który ma mnie wkrótce poślubić, oraz zacnej matki Elizy, której zawdzięczam me życie, bez jej pomocy bowiem byłabym zmarła przy drodze w omdleniu. Któż więc z jakiejś zawiści lub zemsty mógłby w ten sposób przeciw mnie działać? Najmocniej jestem przekonana, że zbrodnia ta nie mogła być naprzód postanowioną.

— Ha! zostań pani przy swoim zdaniu — rzekł sędzia śledczy, żegnając młodą szwaczkę i odszedł wraz z naczelnikiem policyi.

Lucya, potrzebując widzieć się z panią Augustą, wsiadła po ich odejściu do fiakra, kierując się w ulicę św. Honorjusza. Historia o tym wypadku, opowiedziana przez roznosicielkę chleba według wskazówek komisarza policyi z Colombes, zostawała w sprzeczności z opowiadaniem samejże Łucyi. Przedstawiła ona w najdrobniejszych szczegółach swojej zwierzchniczce rzecz całą wobec Amandy i dwóch panien z magazynu. Wiedziano przeto o usiłowaniu morderstwa, jakiego narieczona Lucyana Labroue omal nie stała się ofiarą.

— Jak dobre miałam przecucie — powtarzała z zadowoleniem Amanda — nie chcąc towarzyszyć Łucyi przy odnoszeniu tej sukni! Byłabym również na pewno spotkała się z nożem mordercy!

Przy wejściu dziewczęcia do salonu, pani Augusta pośpieszyła ku niej, ściskając ją tkliwie. Trzy panny obecne pytały troskliwie o jej zdrowie.

— Jakże, moje dziecię — pytała troskliwie pani Augusta — czy natrafiono na ślady mordercy?

— Nie, pani, jestem przekonana, iż nie odnajdą go wcale.

— Dlaczego?

— Przed chwilą właśnie był u mnie sędzia śledczy wraz z naczelnikiem policyi.

— I cóż?

— Obadwa błędzą w swych zapatrywaniach.

— W jaki sposób? dlaczego?

— Są przekonani, iż nie kradzież była pobudką tej zbrodni, że człowiek, który we mnie uderzył, uczynił to przez nienawiść lub zemstę.

— Na czemże opierają te przypuszczenia?

— Na dosyć dziwnej okoliczności... Nóż nieznanego mordercy złamał się o stalową bryklę mego gorsetu. Drugą tegoż połowę odnaleziono właśnie, a na rękojeści marka fabryki i nazwisko sprzedającego przekonywają, iż został on kupionym w wigilię dnia spełnienia zbrodni przez jakiegoś pana w średnim wieku, w wytwornem ubraniu, wyrażającego się nader poprawnie, który przybył w tym celu do sklepu nożownika, mieszczącego się w domu, gdzie ja zamieszkuję.

Amanda słuchała z natężoną uwagą.

— To dziwne.. w rzeczy samej! — zawołała pani Augusta.—Ja potwierdzam zdanie tych panów... Pod tem wszystkim kryje się wyraźnie jakaś zemsta, albo nienawiść.

— Lecz któżby mi mógł do tego stopnia nienawidzieć? Nie przeszkadzam nikomu... nikogo nie obraziłam...

— Być może zemsta, me dziecię.

— Za co mściłoby się miano? Nikomu nigdy nie uczyniłam nic złego...

Amanda nagle przypomniała sobie, iż przed niedawnym czasem posłaniec pytał się o Łucyę u odźwiernej, zachowała jednak dla siebie ów szczegół.

— Być może, że to sprawa jakiego odprawionego kochanka—wyrzekła.

Na te słowa Łucya się uśmiechnęła.

— Nie dawałam nikomu odprawy—odpowiedziała—z tej prostej przyczyny, iż oprócz mego narzeczonego, nikt inny nie mówił mi o miłości.

— Wszystko to jest dziwnie zawiłem...—szepnęła pani Augusta.—Czas jedynie rozjaśnić może tę sprawę. Powiedz—że mi teraz, Łucyo—dodała—co cię do mnie sprowadza?

Dziewczę prosiło o dostarczenie sobie materyałów do wykończenia sukni, jakich jej zabrakło, po zabraniu których wróciła do swego mieszkania.

* * *

Pozostawiliśmy Owidyusza Soliveau, pod pseudonimem barona Arnolda de Reiss, idącego w towarzystwie Amandy do restauracyi Brébaant'a, gdzie razem mieli obiadować. Idąc, rozmawiali.

— Cóżś robiła przez czas mojej nieobecności, ma piękna?—pytał Soliveau.

— Nagły twój wyjazd w rozpacz mnie wprawił, nudziłam się śmiertelnie, nie widząc cię. Wyszędłszy ze szwalni, nie mogłam jeść obiadu, wracałam do siebie, wcześniej udając się na spoczynek.

— Naprawdę?

— Słowo ci daję!

— Postępowanie przykładne, do podziwienia! A cóż się dzieje w magazynie pani Augusty?

— Roboty nawał, że wystarczyć trudno! Nasza zwierzchniczka ma szczęście. Przez ten rok tylko będzie trzymała magazyn, następnie, usunąwszy się z zebraniem majątkiem, chce zakład odstąpić komuś.

Tu spojrzawszy z pod oka na Owidyusza, głośno dodała.

— Oto zakład jak gdyby dla mnie stworzony!

Owidyusz zrozumiał ową przymówkę doskonale.

— E!—odrzekł—za rok wiele nieprzewidzianych rzeczy zajść może...—A następnie, zmieniając rozmowę, zapytał: Jakże, masz dzisiaj lepszy apetyt?

— Wyśmienity! zobaczysz! Ale...—wyrzekła po chwili—czy wiesz co spotkało naszą Łucyę?

46

— Jaką Łucyę?

— Tę robotnicę, do której jeździłam wraz z tobą dwa razy na ulicę Bourbon, a o której wiesz, że zniknęła.

— Jakże? odnaleziono ją nareszcie?

— Ach! to straszna historia... szczęściem, że ja jej uniknęłam.

— Ty? w jaki sposób?

— Nie towarzysząc jej do Garenne de Colombes przy odnoszeniu tej sukni balowej.

— No... no... cóż się więc stało?—pytał Owidyusz najnaturalniej.

— Ach! to cały dramat, mój drogi, dramat, jaki przedstawiby można w teatrze Ambigu... Łucya omal, że nie została zamordowaną...

— Wielkie nieba!... ach! biedna dziewczyna!—zawołał ze wzruszeniem—omal nie zamordowana!...

— Otrzymała uderzenie nożem w piersi — mówiła dalej Amanda—cios chybił, dzięki fiszbinom gorsetu.

XVIII.

— Szczęśliwy traf ocalił ją w rzeczy samej—mówił Owidyusz.—Zabójca został schwytanym?

— Nie...

— Ha! ha! ha!—zaśmiał się głośno—winszuję prefektowi Sekwany i jego agentom.

— To nie dowód — odrzekła Amanda — schwytanym jeszcze być może.

— Tak sądzisz?

— Tak... i wierzę w to niezachwianie. Zrazu policzono tę zbrodnię na karb zarogatkowych włóczęgów...

— A teraz?

— Urzędnicy policji innego są przekonania!
Owidyusz zadrżał.

- Czy podobna?—zawołał żywo—jakże więc sądzą?
- Twierdzą, iż nie kradzież była powodem napaści?
- Cóż więc innego?
- Zemsta... nienawiść...
- Eh! brednie... Na czemże zresztą opierają to przypuszczenie?
- Odnaleziono wskazówki...
- Wskazówki?...—powtórzył z trwogą Soliveau.
- Tak.
- Jakie?

— Znaleźli rękojeść noża, który się złamał na stali gorsetu napadniętej, odczytano adres fabrykanta na tej rękojeści i odkryto, iż nóż został kupionym w wigilję popełnionej zbrodni wieczorem, przez jakiegoś mężczyznę w średnim wieku, w eleganckim ubraniu, nader przyzwoitej powierzchowności.

Owidyusz zbladł nagle.

— Przez jakiegoś pana o siwiejących włosach, mogącego mieć lat pięćdziesiąt... — mówiła Amanda dalej. — Ale coż tobie?—pytała—pobladłeś... drży twoja ręka... byłżebyś słabym?

— Nie... nie... nie mi nie jest, upewniam, zdrów jestem—mówił Owidyusz, siłą woli hamując wzruszenie.—Twoje to opowiadanie tak mną wstrząsnęło do głębi. Przypuszczają zatem, że ów pan, tak znakomicie wyglądający z pozoru, chciał zabić tę dziewczynę?

— Mają to przekonanie.

— Lecz w jakim celu miałby to uczynić?

— Nie wiadomo... wkrótce jednakże wyjaśni się wszystko. Wyobraź sobie—mówiła dalej Amanda—że ów potwór kupił nóż w sklepie w tym samym domu, gdzie Łucya mieszka i to wówczas, gdy ja poszła do niej, a tyś na mnie oczekiwał w powozie...

— Szczególny zaprawdę zbieg okoliczności...

— Mogłeś widzieć tego człowieka z powozu, w którym siedziałeś...

47

— Bardzo być może, iż go widziałem, ponieważ czekając na ciebie, miałem zwrócony wzrok w stronę sklepu nożownika — odparł z bezczelnością Soliveau — nie zwróciwszy nań wszakże uwagi, nie pamiętam jak wyglądał.

W czasie powyższej rozmowy Amanda zauważyła, iż jej wielbiciel brzmienie głosu miał dziwnie zmienione i drżał zlekka, patrzyła nań przeto ciekawie, nie mogła jednak badać go więcej, ponieważ wchodzili oboje do restauracyi.

Zasiadłszy przy stole w oddzielnym gabinecie, po zupie podanej, Owidyusz rozpoczął nanowo rozmowę z punktu, na którym została przerwana.

— A zatem... — rzekł — poszukują owego jegomości?..

— Tak.

— Zkąd jednak, pytam, człowiek, nie należący widocznie do klasy złoczyńców, miałby napadać na tę dziewczynę?

— Powtarzam ci, iż uczynił to przez zemstę lub nienawiść...

— Panna Łucya więc znać go powinna.

— Utrzymuje ona, iż nie wie, ktoby to mógł być... Lecz to świętoszka, która wybornie umie udawać, a pewien szczegół przypomina mi właśnie, że ktoś ją szukał i bardzo pragnął odnaleźć.

— Jakiż to szczegół? powiedz mi, moja turkawko...

— Posłaniec pytał się o nią w naszej pracowni...

Owidyusz uczuł, iż dreszcz przebiega mu po ciele.

— Ha! ha! posłaniec... — powtórzył, śmiechem pokrywając zmieszanie.

— Tak... człowiek w ubiorze posłańca, ze znaczkiem na czapce, miał list, który chciał jej oddać. Nie znalazłszy jej, zapytywał o adres.

— Rzecz jasna, chciał ściśle spełnić dane sobie polecenie, lecz to niczego nie dowodzi...

— Przeciwnie, to wskazuje, że ktoś zajmował się tą głupią i że ona kogoś znała, pomimo wszelkich zaprzeczeń ze strony.

— Masz słusność... nader logiczna uwaga. Lecz
że, proszę... Rozmawiasz, a talerz nietknięty przed tobą s.

— Sądziłam, że to opowiadanie nieco cię zainteresuje —
odrzekła Amanda, badawczo mu w oczy spoglądając.

Owidyusz nie spuścił wzroku, wytrzymał owo spojrzenie.

— Bardzo mnie to interesuje — odpowiedział — ależ nie
można ciągle mówić o jednym i tym samym wypadku. Wi-
działem w mem życiu wiele dziwniejszych rzeczy nad tę
sprawę.

— Nie mówmy więc o tem...—odparła Amanda — wróc-
my do nas samych. Powiedz mi, coś robił podczas twojej po-
dróży?

— Zbierałem drobne papiery—odrzekł Soliveau z uśmie-
chem.

— Drobne papiery... bilety bankowe?

— Lecz nie... bynajmniej... Mimo, że te, o których mó-
wię, również mnie drogo kosztowały.

— Jakiegoż rodzaju były te papiery?

— Autografy.

— Osób znanych w historii... z dawnych czasów, za-
pewne?...

— Przeciwnie, autografy ludzi żyjących obecnie.

— Zatem ludzi sławnych?

— Eh! najbardziej nieznanym w świecie!

— I gdzieżeś odbywał tę czynność szczególnego rodzaju?

— W Joigny.

Wymawiając te słowa, Soliveau wlepił teraz badawcze
spojrzenie w Amandę. Dostrzegł, iż zadrżała, a jednocześnie
żywy rumieniec wystąpił na jej policzki. Szybko jednakże
przybrała pozór obojętności.

— A! byłeś w Joigny?—wyrzekła—pięknaż to okolica?

— Bardzo piękna — odparł, powtórnie się uśmiecha-
jąc. — Miasto zbudowane w półkole, na znacznym wzniesieniu,
u stóp którego Yonna toczy przejrzyste swe fale. ... nie

nader malownicze, lecz utrudzające dla zwiedzających... Potrzebowałem tam widzieć się z kilkoma osobami...

— Krewnymi zapewne?

— Nie...

— A zatem przyjaciółmi?...

— I to nie... Z mieszkańcami tego miasta, zupełnie mi nieznanymi.

Mimo wrodzonej śmiałości, Amanda uczuła, iż słabo jej się robić poczyna.

Dziwnie ironiczny sposób mówienia towarzysza, wielce ją niepokoił.

Soliveau, wychyliwszy szklanę wina, mówił dalej.

— Joigny obfituje w autografy... Zebrałem kilka u osób naprzód mi wskazanych, ale doprawdy nie spodziewałem się spotkać tyle ciekawych. Trzeba jednak było za nie grubo zapłacić... posiadacze byli wymagającymi.

Amanda niepokoiła się coraz więcej.

— Ależ ja nudzę cię może mojem opowiadaniem? — pytał Soliveau.

— Bynajmniej... przeciwnie...—odpowiedziała z pośpiechem—wszystko, co ciebie dotyczy i mnie interesuje.

— Będę więc opowiadał. Udało mi się wynaleźć dwa niezmiernie ciekawe dokumenty, z podpisem niejakiego Raula Duchemin... nazwisko całkiem nieznanne, jak widzisz.

Na te wyrazy Amanda uczuła się bliską omdlenia.

— Raula Duchemin? — powtórzyła, usiłując zapanować nad sobą.

— Tak, urzędnika merostwa... młodego, ładnego chłopca, którego ochronilem od wyroku za fałszerstwo.

Z bladej, jaką była, dziewczyna stała się nagle purpurową.

— Ach!—zawołała pomimowolnie.

— Z tego, o co mnie pytałaś przed chwilą—mówił Owidyusz, napełniając swą szklanę — wnoszę, iż nigdy nie byłaś w Joigny.

— Tak... nigdy!

— Z pewnością?

— Jakto? nie wierzysz moim słowom?—wyjąkała zci-cha.—Dlaczego zadajesz mi to dziwne pytanie?

— Dlaczego?—powtórzył—wszakże to rzecz najprostsza w świecie! Dlatego, że za tysiąc pięćdziesiąt franków kupiłem od pani Delion, modniarki, autograf z podpisem niejakiej Amandy Régamy. Oto odpowiedź.

— Arnoldzie! Arnoldzie!... — zawołała drżąca, zmieszana—ty wiesz... wiesz wszystko! Ta kobieta wszystko ci powiedziała!

— Tak... powiedziała mi wszystko... masz dowód. Lecz dlaczego tak drżysz?... z kąd ów przestach, powiedz mi, proszę? Nie jestem twoim przyjacielem? Skoro zapłaciłem tysiąc pięćdziesiąt franków i twój autograf znajduje się w moim ręku, nie masz się czego obawiać. Powtarzam, nie masz potrzeby obawiać się skutków swej lekkomyślności.

— Ach! gdy to uczyniłam, byłam szaloną... obłąd mnie opanował!

— Wierzę temu, ponieważ jesteś istotą uczciwego charakteru—odparł Soliveau z pozorem zupełnego przekonania.

XIX.

— Zatem, najdroższy mój—pytała dalej Amanda, przybierając najsłodszy wyraz twarzy—nie pogardzasz mną wobec tego?

— Co za myśl!—zawołał Soliveau—miałbym tobą pogardzać! za co? dlaczego? Natura ludzka jest ułomną, skłoną do złego. Posłuchaj jednak mej rady... Nie pisz nigdy podobnych rzeczy... nigdy więcej w życiu.

Amanda zarumieniona, pochyliła głowę w milczeniu.

— To niezręczne i nader niebezpieczne — mówił Owi-

48
dyusz dalej—gdyby twój autograf wpadł był w inne ręce, mogłabyś to srodze przyplacić więzieniem.

— Czytałeś ten papier?—wyjąkała zcicha.

— Mógłbym go kupić, nie czytając?

— I cóż z nim zrobił?

— Schowałem go najprzód do pugilaresu, a następnie do szufladki na klucz zamkniętej. Bądź spokojną, jest on w bezpiecznym miejscu.

— Ależ ty mi go oddasz?

— Przeciwnie, zachowam go u siebie.

Amanda ponownie zadrżała.

— Dlaczego chcesz go zachować?—pytała.

— Zwykła to mania starych zbieraczy... Przepadam za autografami tego rodzaju!

— Nie żartuj... oddaj mi ten papier, który dla ciebie jest bezpożytecznym.

— Przeciwnie... przydatnym mi on bardzo być może...

— Chcesz więc zrobić z niego użytek przeciw mnie?

— Ach! cóż za myśl!.. Byłbym zdolnym uczynić coś podobnego?

— Mów!.. jakie masz zamiary? Jestem albowiem najmocniej przekonana, że coś sobie uplanowałeś...

— Mam zamiar prosty, pełen uprzejmości. Pragnę cię przykuć do siebie... ot! wszystko. Chowam dla ciebie uczucia najżywszej miłości. Ty mi odpłacisz wzajem przywiązaniem... Nauczony jednak wielokrotnym doświadczeniem, nie ufam w ogóle kobietom, zwłaszcza pięknym jak ty... i młodym. Mając ów papier w ręku, nie będę się obawiał zdrady z twej strony. Mogę spać spokojnie, pewien, że nazajutrz nie chybisz mi swego towarzystwa.

— To znaczy, że chcesz mnie trzymać w ścisłej zależności?..

— No tak... przyznaję... Lecz ta zależność przykra nie będzie, dopóki nie będę potrzebował skarżyć się na ciebie.

Amanda zrozumiała, iż nie było sposobu wyslizgnięcia się z rąk owego pseudo-barona, oraz, że należało losowi stawić czoło odważnie.

— Jakim sposobem jednak dowiedziałeś się o tem co zaszło w Joigny?

— Traf mi posłużył. O to powiedziano mi bez najmniejszego starania z mej strony, upewniam.

— Tak nie starałeś się o to, jak morderca Łucyi nie starał się o nóż kupiony w sklepie, przy ulicy Bourbon, jakim w nią uderzył... — odpowiedziała dziewczyna, patrząc śmiało w oczy Owidyszowi.

Drgnął na te słowa, opanowany chęcią uduszenia mówiącej, powściągnął się jednak.

— Niezręczne porównanie... — odrzekł z przybranym spokojem — przypuścemy jednak, że ów morderca Łucyi popełnił nieroztropność, z której korzystać mogą, ażeby go poszukiwać, będzie on się miał teraz na ostrożności i znajdzie sposób do odparcia ciosu jakiby mu chciano wymierzyć. Lecz dosyć o tym przedmiocie. Zostaniemy na przyszłość przyjaciółmi... nieprawdaż? Dobrymi, szczerymi przyjaciółmi, a wszystko pójdzie dobrze. Pozwolisz podać sobie czarną kawę?

— Owszem... proszę o nią... — odpowiedziała.

Przy kawie, rozmowa ciągnęła się dalej, magazynierka jednak pani Augusty, nie zdołała odzyskać wesołości.

— Możebyś poszła do teatru? — pytał Soliveau, gdy wychodzili z restauracyi.

— Nie... wolę pozostać u siebie w domu, czuję się być mocno znużoną.

— Tem lepiej — odrzekł — bo i ja uczuвам jakieś znużenie, odwiozę cię i wrócę również do siebie.

— Ale... nie powiedziałaś mi nigdy, gdzie mieszkasz?... — pytała — niewiem twojego adresu...

— Na co się tobie przydać to może?

— Gdyby mi wypadło napisać kiedyś do ciebie.

— Nie! tego nie czyn, proszę... — odparł z pośpiechem Soliveau. — Jestem żonatym, pragnę zachować spokój w mojem domowym ognisku. Zresztą w obecnem położeniu twa wiadomość zapewnia mi zupełną dyskrecyę w tym względzie.

Amanda milczała, myśląc jednak w głębi:

— Obludniku! — odkryję pomimo wszystko to, co chcesz ukryć przedemną.

Owidyusz odwiózł swą towarzyszkę do jej mieszkania, następnie obawiając się aby nie był przez nią śledzonym, kazał się zawieść w sam środek Paryża, z kąd pieszo tysiącnymi zwroty powrócił na ulicę de Clichy.

Amandę za przybyciem do domu, ogarnęło gwałtowne rozdrażnienie.

— Tego było jeszcze potrzeba... — wołała, drżąc z gniewu — ażeby traf szatański poprowadził tego człowieka do Joigny i co gorsza powiódł go do pani Delion, od której dowiedział się o całej mojej przeszłości. Kupił ten papier przeklęty i skrepował mnie nim. Jakież cel on w tem mieć może?

— Ha! jaki cel? — powtórzyła po chwili — przeczcucie mi mówi, że on czuje, iż go zbadałam do głębi. Posłańcem, który przyszedł pytać się o Łucyę był on!.. Owym starym jegomością, kupującym nóż w sklepie przy ulicy Bourbon, był on!.. Mordercą który cios Łucyi wymierzył był on!.. Tak... głową bym ręczyć gotowa, że temi wszystkimi osobistościami był on! Wszak mimo wewnętrznego mego przekonania, brak mi dowodów. Zresztą gdybym je nawet posiadała, na co by one przydać mi się mogły. Dla oskarżenia go? Czyliż to mogę uczynić? Oddając go w ręce sprawiedliwości, oddałabym samą siebie. Przeciwnie zaś, milcząc, nie potrzebuje się obawiać niczego. Milczeć więc będę; co zrobił, to mnie nie obchodzi. Dwa jednak szczegóły zbadać bym rada, a mianowicie: gdzie on mieszka i dlaczego chciał Łucyę zamordować?

Z napełnioną głową temi myślami Amanda zasnęła.

Jednocześnie myślał Owidyusz:

— Szczęśliwa gwiazda mi świeci... Bez tego znalazłbym się w dyabelnie przykrem położeniu... Ta hultajka wszystko odgadła i jestem pewien, że sprzedacby mnie była gotową. Na szczęście, posiadam przedmiot, którym skrepuję jej usta i ręce. Nie mam się czego obawiać.

* * *

Z łatwą do zrozumienia niecierpliwością Harmant oczekiwał na przybycie swego współnika.

Przewidywał trudności, z jakimi Soliveau walczyć będzie zmuszonym, przed osiągnięciem celu. Niewiedząc nazwiska mamki, u jakiej przed laty dwudziestu jeden Joanna Fortier umieściła swe dziecko, czyż zdoła odnaleźć ślady pochodzenia owej dziewczyny, której dziwne podobieństwo z wdową po Piotrze Fortier, wskazywało jako córkę tejże.

Zerwał się przeto z krzesła z pośpiechem gdy pewnego rana w Courbevoie oznajmiono mu przybycie Owidyusza Soliveau.

— Tak rychły powrót, nie wróży nic dobrego — rzekł sam do siebie, i rozkazał bezwłocznie wprowadzić przybyłego do gabinetu.

— Daremna praca... nie powiodło się?.. — zapytał Garaud, gdy obaj sami pozostali.

— Przeciwnie... skutek najlepszy — odparł Soliveau.

— Wszystko zdobyłeś?

— Wszystko!

— I odnalazłeś ślad córki Joanny Fortier?

— Odnalazłem.

— Za pomocą mamki?

— Nie; mamka oddawna umarła, to jednak nie przeszkodziło mi w osiągnięciu wiadomości, co się stało dalej z tem dzieckiem.

— Została oddaną do przytułku dla opuszczonych dzieci? — pytał dalej Garaud.

Owidyusz poruszył głową twierdząco.

— W Paryżu?

— Tak.

— Zatem rywalką mej córki jest niezapreczenie Łucya Fortier.

— Wstrzymaj się... zaczekaj... galopujesz zbyt prędko— zawołał Soliveau — przedewszystkiem potrzeba nam wiedzieć, czy córką Joanny jest ta Łucya, którą znamy?

— Ależ to uderzające podobieństwo. .

— Może służyć za przypuszczenie, lecz nie jest dowodem.

— Nie przynosisz mi więc tego dowodu?

— Naturalnie, że nie. Przynoszę ci protokół, zawierający szczegóły, odnoszące się do złożenia tej małej w przytułku, co upoważnia mnie do zasięgnięcia wiadomości, czyli dziecko, zapisane tamże w księgach pod dziewiątym numerem, jest tą dziewczyną, o którą nam chodzi.

— Pokaż mi ów protokół... — rzekł Harmant.

Owidyusz dobył z pugilaresu autentyczny oryginał dokumentu, otrzymany od Duchemin'a w merostwie Joigny i podał go przemysłowcowi.

— Jakim sposobem u czarta zdołałeś wydobyć ten papier? — zawołał Garaud, przeczytawszy go z uwagą.

Soliveau powiedział znane nam już szczegóły.

— Zuchwalstwo twoje przestrasza mnie!.. — szepnął milioner, wysłuchawszy opowiadania. — Jesteś pewien, że nie wynikną ztąd niebezpieczne dla nas obu następstwa?

— Najpewniejszym w świecie! Niemam się czego obawiać, trzymając człowieka silnie skrępowanego, jak ja go trzymam. Milczeć, jest własnym jego interesem, ponieważ gdyby się odważył o czemś powiedzieć, czekałaby go kara za kradzież dokumentu, a razem i druga za sfałszowanie podpisu na wekslu.

XX.

Chwila milczenia przecięła rozmowę, pomiędzy dwoma współnikami.

— Masz słuszność... — rzekł Harmant w zamyśleniu. — Cóż teraz robić zamierzasz?

— Pójdę do przytułku, zapytać o dziecko, oddane tamże w dniu 6-tym Kwietnia 1862 roku, a następnie zbadać co się z niem stało.

— Kiedy tam pójdziesz?

— Dziś... zaraz...

— A powiadomisz mnie?..

— Wieczorem.

— Gdzie?

— U mnie w mieszkaniu, jeżeli zechcesz.

— O której godzinie?

— O piątej.

— Przybędę.

— Masz jaką wiadomość od Lucyana Labroue? — pytał Soliveau dalej.

— Otrzymałem od niego list dziś rano.

— Kiedyż powraca?

— W ciągu trzech, lub czterech dni najdalej.

— Przed upływem tego czasu będziesz miał w ręku dowody, jakie wzniosą nieprzełamaną zaporę między Lucyanem, a córką Joanny Fortier morderczynią jego ojca, Juliana Labroue.

— Liczę na to... — rzekł Garaud, zacierając ręce z cynicznym zadowoleniem. — Do widzenia, przeto dziś wieczorem.

Owidyusz wyszedłszy z Courbevoie, wsiadł w tramwaj, którym dojechał do rogatek, a następnie przywoławszy fiakra, przybył nim na bulwar d'Enfer.

Dom przytułkowy przez lat kilka ulegał ciągłym przemianom, lecz mimo tych zmian ustawy administracyjne niena-

ruszonymi pozostały. Interesanci mogli tam otrzymać potrzebne sobie objaśnienia, nawet gdyby po nie sięgnąć wypadło do dat bardzo odległych.

Archiva, zawierające akta wielce ciekawe, we wzorowym porządku były utrzymywane.

Owidyusz, jak wiemy, pełen zuchwałej odwagi, mszedł wprost do gabinetu dyrektora, który przyjąwszy go bezwłocznie, zapytał o cel przybycia.

— Przychodzę prosić pana o powiadomienie — mówił łotr najspokojniej — co się stało z dziewczynką umieszczoną w tutejszym przytułku przed dwudziestu jeden laty.

— Na jaki użytek służyć panu mają te objaśnienia? — odrzekł dyrektor. — Winienem pana uprzedzić, iż nie wolno nam jest udzielać ich osobom nie posiadającym dowodów, iż mają prawo pytać o takowe.

— Dowody te, natychmiast panu okażę — odparł Soliveau, dobywając z pugilaresu protokół z podpisem byłego mera w Joigny. — Pragnę zasięgnąć szczegółów o dziecku — mówił dalej — które zostało tu umieszczonem w dniu 6-tym Kwietnia 1862 roku, jak to wskazuje osobiste zeznanie jakie mam honor panu przedstawić.

Dyrektor wzięwszy protokół, czytać go zaczął.

— Niemam nic do zarzuczenia w tym względzie — odpowiedział — działasz pan w pełni praw swoich. Objasnimy pana co stało się z pomienionem dzieckiem... Być może iż ono zmarło... Bądź co bądź, zostaniesz pan ściśle o wszystkim powiadomiony.

Tu zadzwonił na woźnego, a nakreśliwszy szybko kilka słów na arkuszu, podał go temuż.

— Oddaj to archiwście — rzekł — i przynieś mi odpowiedź.

Po wyjściu woźnego, dyrektor zwrócił się do Owidyusza.

— Według daty — rzekł — zamieszczonej w protokule, to dziecię u nas niegdyś umieszczone, dziś pełnoletniem być mu-

si. Z chwilą pełnoletności, nie mamy doń żadnego prawa, wszelki nasz nadzór z tą datą ustaje. Możemy zatem objaśnić pana w szczegółach tylko do chwili pełnoletności.

— Rozumiem... — odparł Owidyusz — lecz jeśli to dziewcę żyje, pańskie wskazówki ułatwią mi poszukiwanie.

— Zapewne.

W kilka minut ukazał się woźny z paką akt, jakie położył na biurku, przed dyrektorem, który przeglądać je zaczął.

Każda stronnica zawierała kopię protokołów złożenia dzieci w przytułku. Dyrektor szukał daty, umieszczonej w dokumencie z Joigny. Znalazłszy takową, zatrzymał się na niej.

— Otóż jest—wyrzekł—to, o co pan zapytujesz. Dziewczynka przyniesiona tu w dniu 6-tym Kwietnia 1862 roku została zapisaną w księgach pod dziewiątym numerem.

Owidyusz zapromieniał radością. Jakób Garaud nie omylił się więc, co do numeru. Łucya, robotnica w magazynie mód pani Augusty, Łucya, rywalka Maryi Harmant, Łucya, narzeczona Lucyana Labroue, była córką Joanny Fortier, zbiegłej z więzienia w Clermont. Wszelkie już inne objaśnienia, nie obchodziły go teraz.

Na marginesie protokołu, przyniesionego przez Owidyusza, dyrektor wypisał numer akt, adres modniarki do której dziewczę na naukę szycia oddanem zostało, oraz adres mieszkania, jakie zajmowała od czasu dojścia do pełnoletności, t. j. ulicę Bourbon, numer 9 i podpisał to wszystko.

— A teraz panie... — rzekł — należy dopełnić jeszcze pewną formalność.

— Cóż takiego?

— Mój podpis stwierdzonym być musi przez dyrektora Rady miejskiej dobroczynności publicznej.

— Co znaczy, iż dziś nie będę mógł otrzymać tego papieru i że mi czekać należy na dopełnienie tej formalności — odrzekł Soliveau.

— Tak... lecz to oczekiwanie długiem nie będzie. Jutro w ciągu dnia, wszystko załatwimy.

— Przyjdę więc jutro... O której godzinie pan przybyć mi rozkażesz?

— Około drugiej, w południe.

Owidyusz ukłoniwszy się, wyszedł.

Krótką tą zwłoką nie sprawiła mu różnicy, wiedział, że Łucya jest córką Joanny Fortier, a to był punkt główny, o którym chodziło mu właśnie.

Skoro o piątej wieczorem przybył do niego Harmant, na ulicę de Clichy, opowiedział mu wszystko.

— Nareszcie! — zawołał milioner — zobaczymy teraz, czy Lucyan Labroue zaślubi tę dziewczynę!

* * *

Marya stawiała się coraz bardziej cierpiącą. Jedynie utrzymywało ją sztuczne podniecenie nerwowe. Chodziła, wyjeżdżała, wracała, usiłując bezustannym ruchem omamić samą siebie i odegnać rozpaczliwe myśli, cisnące się jej do głowy. Z biednego tego dziewczęcia, pozostał cień zaledwie.

W oznaczonym dniu przez Edmunda Castel, rozpoczęła pozowanie do portretu. Z gorączkowym pośpiechem szukała rozrywek by się uchronić przed boleścią owładającą jej duszę. Daremne usiłowania! Wszystko, co czyniła, aby zapomnieć Lucyana, podwajało jej cierpienia moralne, a rzecz naturalna zwiększało zarazem i jej fizyczne dolegliwości.

Harmant, ów nędznik, u którego struna ojcowska dzwiała jak u najuczciwszego człowieka, cierpiał do nieopisania, patrząc na nienackę swe dziecię. Wierzył wszelako niewzruszenie, że małżeństwo z Lucyanem pokona złe i zbawieniem dla jego córki się stanie.

Marya doznawała naprzemian odbłyśków nadziei i bólów rozpacz, które zwolna, lecz w sposób straszny ją zabijały. Posłyszawszy od ojca o bliskim powrocie Lucyana, całą siłą

żyć jeszcze pragnęła, sądząc, iż zobaczenie się po tak długiej rozłące, zdoła obudzić w nim miłość.

Dwa dni pozostawały do chwili, w której syn Juliana Labroue miał przybyć do Paryża.

Uzbrojony autentycznym dowodem, jaki Owidyusz odebrał z przytułku, Harmant pewien siebie, oczekiwał na przyjazd młodzieńca.

Małe mieszkanie na szóstym piętrze przy ulicy Bourbon, przystrajano świątecznie, Łucya albowiem odebrała telegram powiadamiający o przybyciu narzeczonego nazajutrz wieczorem.

Lucyan przyspieszył swój powrót o kilka godzin, ażeby obiadować z ukochaną i razem z nią wieczór przepędzić.

Zadana jej rana ręką mordercy zabiłżniła się prawie zupełnie, a radość z powrotu narzeczonego dokonała uzdrowienia.

Matka Eliza, dzieliła tę radość, dopomagając dziewczęciu w przygotowaniu wszystkiego na przyjęcie tyle drogiego gościa.

Doskonały obiad, dwie butelki starego wina, lśniąca białością nakrycie, wonne bukiety na stole w wazonach, słowem niczego nie brakowało do uświetnienia tej uczty.

Owóż godziny oczekiwania równie długimi być się zdawały Łucyi, jako i biednej milionerce.

XXI.

— Wszak to pojutrze Lucyan powraca? nieprawdaż? — pytała Marya — siedząc z ojcem przy śniadaniu.

— Tak, moje dziecko.

— Zadowolonym jesteś z jego czynności w Bellegarde?

— Najzupełniej.

— Jakże mnie to cieszy! — zawołała uradowana.

— Odebrałem dziś rano listy ztamtąd właśnie od moich

54
klientów. Wynurzają mi swoje zadowolenie, winszując człowieka tak wysokich zdolności, jakim jest dyrektor robót mojej fabryki.

— Ojciec... chciałżebyś sprawić mi przyjemność?

— Czybym chciał? jak możesz pytać o coś podobnego?

— Radabym uświetnić powrót Lucyana... Proś go, ażeby przyszedł do nas na obiad w dniu swego przybycia.

Ów projekt Maryi nie zgadzał się z zamiarami, powziętymi przez Harmanta. Postanowił on właśnie w dniu tym zadać stanowczy cios młodzieńcowi, który był pewien, iż go nakłoni do zostania współnikiem i przyjęcia zarazem ręki jego córki. Lecz jak wytłumaczyć Maryi odmowę na jej żądanie? Jaki powód wynaleźć, aby ją osłonić przed wynikającą ztąd przykrością? Powziął odrazu postanowienie.

— Być może — pomyślał — że zobaczywszy Maryę bladą, cierpiącą, a coraz więcej w nim zakochaną, oczekującą go z utęsknieniem, wzruszy go wreszcie ta miłość i rychlej skłoni do zerwania tamtego, niemożliwego w obecnych okolicznościach, małżeństwa.

Postanowił więc odłożyć ową stanowczą rozmowę z Lucyanem do dnia następnego po przyjeździe tegoż.

— Spełnię, o co prosisz — odpowiedział córce — żałuję tylko, że mówisz mi o tem.

— Dlaczego?

— Ponieważ, chcąc ci sprawić niespodziankę, sam go powiłem zaprosić na obiad.

— Ach! jakżeś dobrym, mój ojciec! — zawołało dziewczę, rzucając mu się w objęcia.

Nadszedł nareszcie ów dzień, tak niecierpliwie oczekiwany. Lucyan, jak wiemy, przyspieszył o dwanaście godzin swój wyjazd z Bellegarde, o czem Harmant nie wiedząc, oczekiwał go nazajutrz zrana, podczas gdy młodzieniec wrócił do Paryża w wigilię dnia tego wieczorem. Wprost z dworca kolejowego pobiegł na ulicę de Bourbon.

Oboje narzeczeni ze łzami w oczach rzucili się sobie w objęcia, poczem matka Eliza otrzymała również kliwe powitanie. W oczach tej zacnej kobiety łzy również zabłysły. Zdawało się jej, że wita własnego syna.

Nareszcie z jednej i drugiej strony posypały się zapytania. Łucya w swych listach, opisawszy narzeczonemu wszelkie szczegóły zamachu, zamilczała jedynie o bytności u siebie sędziego śledczego wraz z naczelnikiem policyi. Będąc, przekonaną, że oni obaj mylili się w swych przypuszczeniach, nie uważała za potrzebne niepokoić tem swego przyszłego.

Lucyan wrócił nieco ogorzałym z podróży, odbytej na słońcu i otwartem powietrzu, śniada ta jednak cera dobrze mu przypadła, nadając więcej mękości jego fizyognomii. Czuł się zdrowym jak nigdy, a radość ze znalezienia się obok ukochanej błyszczała w jego spojrzeniu, w ożywionym wyrazie twarzy, w brzmieniu głosu jego. Widział przed sobą wybraną swojego serca zdrową, świeżą i uśmiechniętą. Najwyższem to było dlań szczęściem. Zresztą, cóż obchodziło go więcej? Nie chciał myśleć o tem... Nie myślał!

— Gdy wspomnę, że bez twej pomocy, matko Elizo, nie zastałbym mej Łucyi przy życiu, krew w żyłach mi lodowacieje!—mówił, ściskając w swych dłoniach ręce Joanny:—Ach! ty jesteś naszym opiekuńczym aniołem... Nie rozdzielimy się z tobą nigdy... już nigdy!

Prosił, aby mu opowiedziano najdokładniej szczerzej strasznej nocy, podczas której jego biedna Łucya nie utraciła życia. I matka Eliza musiała powtórzyć opowiadanie, drżąc cała, jak gdyby ów dramat w Bois-Colombes nastąpił przed chwilą.

— Jakże? nie odnaleziono dotąd mordercy?—zapytał.

— Nie.

— To dziwne!

— Dlaczego? Bardziej byłoby dziwnem, gdyby odnaleziono jakiegoś włóczęgę, należącego do rozbójniczej bandy. Ale nie mówmy o tem więcej... Żyję... jestem zdrową i rzecz

skończona. Skoro jednak wypadnie mi wyjść wieczorem, będę ostrożniejszą.

— Łucya ma słuszość—odparła Joanna.—Jest zdrową, oto rzecz główna... Wszak i pan jesteś tego zdania, panie Lucyanie?

— Ma się rozumieć... powtórzę to choćby tysiąc razy!

— A więc do stołu!—zawołało dziewczę—obiad gotowy.

Zasiedli we troje przy stoliku, urocząście przybranym. Wieczór zbiegł prędko. Zdumiał się Lucyan, spojrzawszy na zegarek, wskazujący dwunastą godzinę. Niepodobna było dłużej pozostawać, odszedł więc, przyrzekłszy narzeczonej, iż wraz z nią spędzi całą nadchodzącą niedzielę.

Idąc na ulicę Miromesnil, myślał o przepędzonych rozkosznie chwilach, a mimowolnie pośród szczęścia wspólnie dzielonej miłości, stanęła mu przed oczyma postać Maryi, która również kochając go, umierała z braku wzajemności z jego strony.

Lucyan Labroue, jak wiemy, był człowiekiem serca. Odczuwał głęboko tę smutną sytuację, zmienić jej wszakże niepodobna mu było.

Nazajutrz rano udał się do Courbevoie, by objąć zarząd nad powierzonymi robotami. Harmant nie przybył jeszcze do fabryki. Korzystając z jego nieobecności, Labroue obznajmiał się z tem wszystkim, co dokonano podczas jego pobytu w Bellegarde. Około ósmej ojciec Maryi nadjechał. Zaledwie wszedł do gabinetu, ukazał się Lucyan, przynosząc mu sprawozdanie ze swej podróży. Milioner uścisnął najżyczliwiej rękę młodego współpracownika.

— Jakżem szczęśliwy, widząc cię zdrowym — rzekł do niego—tem mocniej szczęśliwym, iż wypada mi oznajmić ci gorące pochwały. Moi klienci z Bellegarde pisali mi o tobie w najpochlebniejszych wyrazach, z kąd wnoszę, iż kierunek robót, jakie prowadziłeś, musiał być doskonałym.

— Mogę się poszczycić życzliwością tych panów... byli dla mnie nader uprzejmymi.

— Być może, czynili ci jakie propozycje? — pytał z niepokojem Harmant. — Wiem, iż poszukiwali zdolnego kierownika do robót w fabryce.

— W rzeczy samej — odparł Lucyán z uśmiechem — gdybym chciał zrozumieć wyrazy powiedziane pod osłoną, a zawierające w sobie wyraźne propozycje objęcia tego obowiązku. Zostałem jednak niewzruszonym, nic nie rozumiałem, a wiadomo panu, że najbardziej głuchymi są ci, którzy nie chcą słyszeć.

— Mocno ci jestem obowiązany, żeś nie chciał zrozumieć i słyszeć; będę się starał okazać ci za to mą wdzięczność. Przybyłeś dziś w nocy do Paryża?

— Tak, wczoraj wieczorem.

Harmant nie pytał go więcej. Zajął się wyłącznie sprawami, dotyczącymi fabryki. Rozmowa zwróciła się na plany nowych maszyn, przywiezionych przez Lucyana, których budowy nie można było rozpocząć z przyczyny braku robotników. Mówili o tym przedmiocie blisko godzinę.

— Nic nie wspomina o Maryi... — myślał milioner.

Zaledwie błysła mu ta myśl, gdy Labroue zapytał:

— Jakże zdrowie pańskiej córki, panie Harmant?

— Była mocno cierpiącą — odrzekł przemysłowiec.

— Rzeczywiście tak mocno cierpiącą?

— Przekonasz się naocznie i osądzisz, jak bolesna zaszła w niej zmiana, o ile uzasadnionemi są moje obawy i jakbym pragnął dać temu biednemu dziecku nieco szczęścia, któreby było dla niej zbawieniem. Powiadomiłem Maryę o twoim powrocie, a pierwszemi jej słowy dziś po przebudzeniu ty byłeś.

— Ja?... — powtórzył Lucyán z niechęcią, przeczuwając trudność własnej sytuacji wobec rozkochanej w sobie dziewczyny.

— Tak jest... ty! — mówił dalej Garaud. — Pragnąc uświetnić twój przyjazd, oczekuje na nas obu z obiadem; szczęśliwą

Treimanowa

będzie, gdy ujrzy nas koło siebie. Prawdziwe to będzie rodzinne zebranie.

XXII.

— Lecz panie...—wyjąkał Labroue po chwili.

— Proszę... bez żadnych wymówek... bez żadnych pozorów wymknięcia się od zaproszenia mej córki!—przerwał żywo milioner.—Nie możesz lepiej dowieść nam swej życzliwości, jak przyjmując to zaproszenie. Odmowa z twej strony sprawiłaby mi wielką przykrość. Będzie to obiad w ściśle zamkniętym kółku, we troje. Wyjdiesz nieco wcześniej z fabryki, aby się przebrać, i przybędziesz do pałacu na oznaczoną godzinę.

Lucyan, mimo głębokiej niechęci, jaką sprawiało mu to zaproszenie, czuł, iż odmówić niepodobna. Łucya święciła radośnie powrót jego, Marya chciała też samo uczynić. Kochała go tyle, co pierwsza. Cóżby był nie dał ten biedny chłopiec, by się usunąć z owego tak przykrego i śmiesznego zarazem położenia człowieka, kochanego naraz przez dwie kobiety. Nie było jednak sposobu.

— Przybędę, panie—odpowiedział—czując się szczęśliwym, iż będę mógł złożyć pańskiej córce moje uszanowanie.

— Dziękuję ci — odrzekł milioner. — Byłem pewien, iż nie zechcesz zasmucić mnie i Maryi zarazem. I w tym przedmiocie nie mówili już więcej.

Dzień upłynął na zwiedzaniu warsztatów, a około czwartej Labroue opuścił Courbevoie, by zmienić toaletę i przygotować się na obiad w pałacu przy ulicy Murillo. Idąc do swego mieszkania, młodzieniec czuł się dziwnie smutnym i przygnębionym. Żałował, iż przyjął zaproszenie, które zmusi go przez kilka godzin znajdować się w towarzystwie Maryi, kochającej go miłością bezrozumną.

— Kto wie — myślał sobie—czy zaproszenie to nie jest znów jakim zastawieniem sidła? Czy Harmant wobec córki nie ponowi swych propozycyj? A wtedy, jakież będzie moje położenie, co mam odpowiedzieć, by nie okazać się prostaczym, brutalnym? Ułożył sobie na ten wypadek najprostszą w świecie odpowiedź! Powie, iż nie zależy od siebie... serce jego już nie jest wolnem!

Lecz wobec Maryi, czy będzie miał odwagę wygłosić to zdanie?... Czyż znajdzie siłę do powiedzenia:

„Wiesz pani, że kocham Łucyę, wszak ona ci to powiedziała sama, na co wybuchnęłaś zazdrością i gniewem.“

— Nie! nie!—zawołał—ja nie mogę zadać jej takiej boleści, ale nie mogę również zostawiać jej w mniemaniu, iż jest przezemnie kochaną!

O w pół do siódmej Lucyan wzruszony, ze ściśniętem sercem, przybył na ulicę Murillo. Harmant powrócił już od pół godziny i przyjął młodzieńca w swoim gabinecie.

— Córka oczekuje na nas w salonie — rzekł — idźmy do niej...

Marya czekała w rzeczy samej, drżąca, rozgorączkowana. Uchyliwszy koronkową u okna firankę, widziała Lucyana wchodzącego w dziedziniec, serce jej biło tak gwałtownie, iż zmuszoną była nacisnąć je obiema rękami dla uspokojenia. Ogarnęła ją nieopisana radość. Lucyan powrócił... Lucyan jest obecnym w domu jej ojca!... Było to dla niej zbawienie, życie, uzdrowienie!

Kilka minut upłynęło, po których drzwi się otwarły, a w nich ukazał się Harmant, przepuszczając gościa przed sobą. Marya chciała się podnieść i podejść na ich przybycie, gwałtowne jednak wzruszenie sprawiło jej rodzaj omdlenia; zachwiawszy się, padła na krzesło. Bładość jej była przerażającą. Ojciec podbiegł ku niej. Na widok tej bladej, wychudzonej twarzy dziewczęcia, Lucyan uczuł głęboką litość dla nieszczęśliwej. Łzy mu do oczu nabiegły.

— Pani!...—wyjąkał zcicha.

— Ty cierpisz, me dziecię?—pytał milioner.

— O! nie, mój ojciec... bynajmniej...—odpowiedziała, zelektryzowana głosem Lucyana. — Czuję się zdrową zupełnie... lekki zawrót głowy... nic więcej... To przejdzie... już nawet minęło. Cieszę się, widząc pana Lucyana, o czym on, sądzę, również nie wątpi, wiedząc, że chowam dla niego uczucie szczerzej przyjaźni... Jestem szczęśliwą, mogąc go powitać po całomiesięcznej nieobecności.

Tu podała młodzieńcowi rozgorączkowaną rękę.

— Ja również, pani... — odrzekł zmieszany Labroue— czuję się szczęśliwym, ujrawszy ją... bardzo szczęśliwym...

— Rzeczywiście?...—zawołała z namiętnem uniesieniem.

— Upewniam panią... przysięgam! — zawołał żywo, widząc, iż obojętność z jego strony mogłaby zabić to dziewczę.

— A więc zaproszenie moje nie sprawiło panu przykrości?

— Przeciwnie, jest mi ono podwójnie drogiem: jako dowód szczerzej przyjaźni ze strony pani, o czym przed chwilą mówiłaś, a zarazem i dowód życzliwości ze strony jej ojca, jaka mi zaszczyt przynosi.

— Ach! to więcej niż życzliwość! — zawołała Marya — mój ojciec kocha pana, a kocha prawdziwie... wiele razy mówił mi o tem...

— Jestem mu za to wdzięcznym nieskończenie... dumnym mnie to czyni!

— Czemu więc nie odwiedzasz nas pan częściej?

— Nie sądziłem się być upoważnionym do tego—odrzekł Lucyana, zakłopotany zwrotem, jaki rozmowa przybierać zaczęła.

— Jakto? nie sądziłeś się pan być upoważnionym do postępowania z nami, jak prawdziwy przyjaciel?—mówiła Marya dalej—do stosunków zażyłej przyjaźni? Jesteś pan człowiekiem wysokich zasług, prawdziwym dżentlemenem! Zaszczyt przynosisz tym, którzy cię przyjmują u siebie. Mój ojciec uważa cię za drugiego siebie. Pozostawia mi on, jak pan wiesz,

wszelką wolność działania, a probuje wszystko, co czynię! Korzystam więc z owej wolności, a żeby panu oznajmić, tak w ojcowskim, jak i swoim imieniu, iż obiadowe nakrycie przy wspólnym stole codziennie na pana oczekiwać będzie. Liczymy, iż pan przybędziesz... Nieprawdaż, mój ojcze?

— Chylę czoło przed twym rozkazem—odrzekł Harmant z uśmiechem—jesteś panią domu... królową!

Zakłopotanie Lucyana wzrastało z każdą chwilą.

— Tyle dla mnie niezasłużonej łaski...—wyjąkał z cicha.

Marya wzięła odpowiedź tę za zezwolenie z jego strony.

Zatem rzecz postanowiona! — zawołała, promieniejąc radością! — Będiesz pan również nam towarzyszył i do teatru. Obecność twa w naszej łoży, sprawi wielką przyjemność mojemu ojcu. Nieprawdaż, ojcze kochany?

— Bez wątpienia, me dziecię.

— Zatem, panie Lucyanie, rzecz ułożona, nieprawdaż?

— Stanowisko moje, pani, zażbyt skromne, nie dozwala mi przyjąć roli twego kawalera—rzekł Labroue, odzyskując odwagę.

— Ależ to wybieg, panie Lucyanie... nie! — tego ja nie przyjmuję. Twoją odmową sprawiłbyś mi wiele przykrości, wiele zmartwienia... a mniemam, iż tego nie chciałbyś uczynić. Przyjmij pan więc projekt mój bez obawy, upewniam, iż go nadużywać nie będę.

Oblicze Maryi wyrażało taką niepewność i trwogę, w brzmieniu jej głosu, mieściło się tyle błagania, iż Lucyana nie zdołał zasmucić dziewczęcią jawną odmową.

— Przyjmuję... — rzekł — lecz moje zajęcia zostawiają mi bardzo mało wolnego czasu.

— Ale pozostawiają one panu do dyspozycji wszystkie niedziele, które mnie odtąd poświęcisz.

Lucyan zbladł nagle. Wspomniął o Łucyi i chciał właśnie w sposób przeczący odpowiedzieć, lecz Marya nie pozwoliła mu wyrzec słowa.

— W każdą niedzielę wyjedziemy na wieś wraz z ojcem — mówiła dalej — wytchniesz pan po całotygodniowej

swej pracy na świeżem powietrzu. Życie prowadzone bez zmian byłoby nazbyt jednostajnem... Trzeba się starać zaprowadzić w niem zmiany. Nasze wycieczki na wieś będą pełnemi uroku, nieprawdaż panie Lucyanie?

Ostatnie wyrazy wymówiła Marya z wdziękiem zalotności, oczekując na potwierdzającą odpowiedź.

Labroue odnalazł jednak pozór do odparcia stawionej propozycji.

— Racz pani zwrócić uwagę — rzekł — iż mam kilku kolegów, z którymi łączą mnie związki serdecznej przyjaźni. Dla odwiedzania ich i utrzymywania z nimi stosunków, na których mi wiele zależy, pozostają mi jedynie niedziele. Gdybym rozporządził i tym wyłącznym dniem mojej wolności, nie mógłbym widywać mych towarzyszków lat młodocianych, co nie ukrywam, sprawiłoby mi wiele przykrości.

XXIII.

Córka milionera słuchała wyż przytoczonych wyrazów Lucyana z zachmurzonym obliczem, oczy jej nabiegały łzami, serce szarpane zazdrością, gwałtownie znowu uderzać poczęło.

— Zatem pan mi odmawiasz? — wyrzekła ledwie dosłyszalnym głosem.

Harmant, odczuwając boleść, jaką córce jego sprawiła odmowa młodzieńca, odezwać się pośpieszył.

— Ależ Lucyana ci nie odmawia — rzekł żywo — zwraca jedynie uwagę, która mi zupełnie słuszną być się wydaje. Przyjaźń nakłada na nas pewne obowiązki. Źle bym uważał, gdyby on lekcewał je sobie. Potrzebuje on kilku niedziel dla odwiedzenia przyjaciół. Nie możemy mu zabierać całego czasu. Jeżeli pozostawimy mu wolność działania w tym razie, z tem większą do nas wróci przyjemnością. Nieprawdaż, ogi Lucyanie?

— Tak panie... we wszystkim co pan mówisz, jest słuszność zupełna — odrzekł Labroue, owładniony litością na widok tak srodze cierpiącego dziewczęcia — i panna Marya mam nadzieję, sama zrozumieć to zechce.

— Inaczej panie ja to pojmuję... — smutno odpowiedziała — dając komuś całą przyjaźń, daję ją bez zastrzeżeń, bez podziału, gotową będąc do wszelkich ofiar i poświęceń. Tak... zdaje mi się to być obowiązkiem. Oddając zaś wszystko... wymagam wiele nawzajem. Będę się jednak starała ze strony rozsądku na rzecz tę zapatrywać i potrafię zadowolnić się małą odrobiną, jeśli koniecznie tak trzeba.

Lucyan niewiedząc, co odpowiedzieć stał w milczeniu.

— Przyjdziecie do wzajemnego porozumienia się, zaręczam! — zawołał Harmant, z silnem, wewnętrznem przekonaniem. — Lucyan uczyni wszystko ze swej strony, aby ci oszczędzić przykrości.

— Możesz pan być pewnym — odrzekł Labroue — i pani zarówno panno Maryo.

Dziewczę zwróciło na mówiącego oczy, zalane łzami. Ciemne, błękitne, podobne do lazuru nieba, które wołać się zdawały: „Ach! gdybyś wiedział, ile kocham ciebie.“

Pod siłą tego wymownego spojrzenia, Lucyan zadrżał pomimowolnie.

Oznajmiono, że obiad na stole.

— Podaj rękę mej córce... — rzekł Harmant.

Marya z uczuciem niewysłowionej miłości wsparła się na ramieniu narzeczonego Łucyi, aby przejść do jadalni.

Stół był pokryty świeżemi kwiatami.

— Widzisz pan... — wyrzekło dziewczę z uśmiechem — dziś dla nas dzień uroczysty... dzień powrotu twego.

— Jak wczoraj u mej Łucyi ukochanej — pomyślał Lucyan — i ona święciła mój powrót kwiatami, lecz biedne dziewczę, mimo całej tklivości z twej strony, jaką otoczyć mnie pragniesz, nie jestem w stanie oddać ci mojego serca, jakie w całkowitości do Łucyi należy.

Obiad pomimo wszystko, nie odbył się smutnie. Mimo zazdrości, jaką Marya czuła w głębi duszy, była szczęśliwą mając przy boku człowieka, którego tak gorąco kochała. Gospodarz domu czynił wszystko, ażeby ucztę ożywić i osiągnął celu.

Okolo dziesiątej, Labroue żegnał obecnych.

— Niezapominaj pan... — mówiła Marya — iż od jutra codziennie nakrycie będzie dla pana na stole przygotowanym.

— Będę o tem pamiętał... Bądź pani pewną, iż każdy z wymienionych przez ciebie wyrazów, na długo w mej duszy pozostanie. Tu odszedł.

Znalazłszy się na wolnem powietrzu, czuł jak gdyby wielki ciężar spadł mu z piersi, wyrzucał sobie jednakże, iż brakło mu odwagi do wypowiedzenia otwarcie całej prawdy.

— Co z tego wszystkiego wyniknie? — pytał sam siebie, dotykając dłonią rozpalonego czoła. — Położenie obecne jest do niezniesienia! Może byłoby mi lepiej opuścić ów dom i szukać gdzieindziej obowiązków? Klienci z Bellegarde dawali mi do zrozumienia iż radziby mnie byli powierzyć nadzór robót w swoim zakładzie, wszak ich wynagrodzenie byłoby znacznie mniejszem od tego, jakie otrzymuję od Harmanta. Zresztą wydalić się tak daleko od Paryża? Czyż Łucya chciałaby tam przenieść się ze mną? mamże prawo skazywać ją na to wygnanie? Nie jestże równie moim obowiązkiem pozostać tu, gdzie mam nadzieję odbudowania fabryki po moim ojcu? Biedna Marya!.. pomimo wszystko, kochać jej niemogę!.. Nie moja w tem wina. Odjeżdżając, zabiłbym ją odrazu. Nie lepiejże więc zostawić chorobie, na jaką cierpi, dokonanie dzieła? Dni tego dziewczęcia są policzonemi... Zbliża się chwila widocznie, gdzie ona swoją miłością dręczyć mnie przestanie...

Labroue wrócił do swego mieszkania mocno niespokojny, nic nie postanowiwszy, nie mogący się skłonić na żadną stronę. Udał się na spoczynek rozgorączkowany, zasnąć jednak niemógł.

Po jego odejściu Harmant pozostał sam z córką.

— A cóż, nie mówiłem ci, drogie me dziecię — rzekł do niej — że Lucyan tu przyjdzie i że kochać cię będzie.

Marya smutno pochyliła głowę.

— Tak... przyszedł — odpowiedziała — byłem przez parę chwil szczęśliwą, wszak teraz gdy go widziałam, słyszałam głos jego, bardziej cierpię, niż kiedy.

— Dlaczego? Przyjął wszystko, co mu proponowałam. Myśl o stosunkach poufnej z nami przyjaźni do reszty go podbije.

— Mylisz się ojcze... on nieprzyjął wszystkich mych propozycji — wyszepnęła z cicha.

— Bardzo naturalne, iż chciał zachować kilka godzin czasu dla widzenia się ze swymi przyjaciółmi.

— Nie! nie z przyjaciółmi to on widzieć się pragnie — zawołała Marya z uniesieniem — mam przecucie w tym względzie... mam pewność. Jeżeli zgodził się na niektóre z mych życzeń, to z przyczyny, iż takowe nie uczynią mu żadnej różnicy. Wyłącza dla siebie niedziele, o które ja go prosiłam! Wyłącza... aby je poświęcił tej, od jakiej oderwać się nie jest w stanie!.. Tej, która go odsuwa odemnie... która mi ukradła jego miłość... a o którą jestem zazdrosna!

— Co... o Łucyę? — zawołał milioner z pogardą.

— Tak! o nią właśnie... bo dlaczego bym zazdrosną być nie miała? Ach! ty nie wiesz ojcze, co się dzieje w mem sercu!.. niepojmujesz, ile cierpię!.. Jest to ogień, który mnie zwolna pożera, który mnie złą i cierpką czyni! Są godziny, gdzie wszystko widzę w płomieniach około siebie... są chwile, gdzie czuję, iż ma ręka gotową jest za broń pochwycić, dla wymierzenia ciosu, tej mojej rywalce. Dla jej zgładzenia gotową jestem stać się kryminalistką!.. Ja ją zabiję!.. tę Łucyę, zabiję! Bo skoro ona umrze, on kochać jej już nie będzie!..

— Ależ to szaleństwo, me dziecię!

— Tak; zazdrość łączy się z szaleństwem... A ja... ja jestem zazdrosną! Na samą myśl, iż on widuje się z nią... ro-

zmawia... mówi jej o swojej miłości, w głowie mi się zawraca... burzę się cała. Ach! gdybym mogła ją zgładzić!

— Lecz Maryo... uspokój się!..

— Mnie... uspokoić się... czyż podobna? Kochając go, mogę nakazać sercu milczenie? Uwielbiam Lucyana... chcę aby on do mnie należał... Nie zniosę tego, ażeby inna posiadała jego miłość!

— Nie przesadzaj... nie unos się me dziecię. Przesada złą jest w każdym razie. Pojmuję, że cierpisz... i będę się starał usmierzyć twą boleść... Licz na to, co mówię... W ciągu kilku dni sama stwierdzisz zmianę w postępowaniu Lucyana. On sam będzie starał się przyspieszyć wasz związek.

— Ojczel! — zawołała Marya z rozpaczą — te błyski nadziei i zawodu, zabijają mnie... Uczyń wszystko, co możesz, dla zapewnienia mi szczęścia... Ja z mojej strony, pracować nie przestanę, ażeby Lucyan do mnie należał.

Harmant przeraził się gwałtownością, z jaką wymówiła te słowa.

— Nie popełniajże żadnego szaleństwa! — zawołał. — Wiesz dobrze, o ile twe życie, twój spokój, są mi drogiemi... Raz jeszcze proszę, uspokój się i czekaj z ufnością szczęścia, które nadejdzie, przysięgam!

Marya nic nie odrzekła. Powstawszy, podała ojcu czoło do pocałunku i odeszła w milczeniu.

— Obawiam się, ażeby nie dostała obłąkania — rzekł Harmant, za nią spoglądając. — Należy temu zapobiedz, za jaką bądź cenę. Od jutra rozpocznę działanie...

Córka ukazała mu się w zupełnie nieznaney dotąd postaci. Szadość zbudziła w tej młodej duszy gwałtowne instynkta, otąd uśpione.

Wróciwszy do swoich apartamentów, Marya szepnęła.

— Tak... jeżeli trzeba walczyć, ażeby go odebrać, walczyć nie przestanę! Wszelkie środki będą dla mnie dobrmi, byle doprowadziły do celu.

XXIV.

Po owym dniu, pełnym wstrząśnień moralnych, córka Harmanta przepędziła noc straszłą; noc cierpień i łez, pełną złorzeczeń dla Łucyi, swojej rywalki. Zaledwie nad ranem zasnęła, a skoro pokojówka o ósmej weszła do pokoju, zerwała się nagle z pośpiechem ubierając.

— Ojciec mój wyjechał?—spytała.

— Tak, pani... przed chwilą.

— Każ, aby zaprzężono konie do powozu.

Pokojówka wyszła spełnić zlecenie. Marya przez ten czas kończyła swą toaletę, włożyła kapelusz, rękawiczki i czekała. Po kwadransie ukazała się służąca, oznajmiając, iż powóz czeka przed domem.

Wsiadłszy weń, córka milionera poleciła woźnicy jechać na ulicę Bourbon.

Harmant zarówno noc spędził bezsennie. Bezustanna walka o zachowanie życia swej córki, które, jak sądził, zależało wyłącznie od pozyskania przez nią miłości Lucyana, wyczerpywała jego siły, pożerając go prawie.

Wyjechał z niewzruszonym postanowieniem ukończenia raz wszystkiego, zniewolenia niejako Lucyana do przyjęcia ręki Maryi.

Przybywszy do Courbevoie, śpiesznie załatwił bieżące interesa, przygotował papiery i rozkazał przywołać do siebie młodego dyrektora robót. Po chwili Lucyana ukazał się w gabinecie.

— Usiądź, mój drogi—rzekł doń przemysłowiec. Wypnie nam mieć z sobą dłuższą rozmowę.

Labroue zajął miejsce.

— Pozwól mi najprzód podziękować sobie — rzekł Harmant.

— Mnie? za co dziękować, panie?

— Za twój sposób zachowania się wczoraj wobec mej córki.

Usłyszawszy to, Lucyan zadrżał, marszcząc czoło pomimowlonie.

— Moje zachowanie się — odrzekł — było całkiem naturalnem, wynikało ono z wdzięczności, jaką żywię tak dla pana, jak i panny Maryi.

— Przekonywa mnie ono — mówił dalej Harmant — że korzystając z oddalenia, rozmyślałeś poważnie.

— Nad czem, panie, rozmyślać miałem? — pytał Labroue.

— Pragnąłem usunąć cię chwilowo z Paryża — mówił przemysłowiec, aby ci dać możność do swobodnego rozmyślenia się w samotności. Lecz otóż wróciłeś, należy nam więc teraz pomówić z sobą otwarcie. Jakże znalazłeś mą córkę? — pytał ze wzruszeniem, które było prawdziwem, ilekroć razy mówił o swem dziecku — powiedz mi szczerze

— Uważam, panie, iż nieco zeszczipiała... doktorzy powinni się zająć na seryo stanem jej zdrowia...

— Nie będąc doktorem, sam stwierdzasz grożące jej niebezpieczeństwo?

— Na nieszczęście, tak panie... jest to widocznem.

Harmant, wsparłszy obie ręce na biurku, ukrył w dłoniach głowę. Przez palce łzy mu przeciekały. Ojcowska ta boleść wstrząsnęła Lucyanem do głębi.

— Zasmuciłem pana pomimowlonie — rzekł.

— Nie... to nie ty mnie zasmucasz, mój drogi — ozwał się Harmant, podnosząc głowę — lecz fakta... zbieg okoliczności. Tak — dodał — wiem dobrze i czuję, że życie mej córki jest silnie zagrożonem... życie mojego jedyne go dziecka, które kocham nad wszystko na świecie... dziecka, które jest wszystkim dla mnie, bez którego żyć bym nie zdołał! Doktorzy powiadają mi, iż Maryi zagraża niebezpieczeństwo, nie jest ona wżakże skazaną jeszcze na śmierć bez odwołania. Obok złego, istnieje środek zaradczy, a tym jest dla niej... małżeństwo..

— Małżeństwo... — powtórzył Labroue bezwiednie, torturowany obrotem, jaki przybierała rozmowa.

— Tak—mówił Harmant — małżeństwo, które przyniosłoby jej spokój i szczęście, a zarazem wróciło jej zdrowie. Marya cierpi na dwie choroby: jedną, odziedziczoną po matce, z której może być wyleczoną, a drugą, pochodzącą wprost z serca, której ty jesteś przyczyną. Obie, złączywszy się z sobą, powiodą ją wkrótce do grobu, jeżeli ty jej nie ocalisz.

Labroue zadrżał na te wyrazy. Cel, ku któremu zmierzzał przemysłowiec, aż nadto był jawnym.

— Ukochane, jedyne me dziecko — mówił on dalej;— życie tej godnej uwielbienia istoty, tego anioła, posiadającego obok tylu wdzięków, wszelkie ludzkie cnoty, jest w twojem ręku! Wszak już mówiłem ci o tem i dziś powtarzam, rozważ proszę... Ofiarowałem ci połowę majątku wraz z ręką mej córki, dziś oddaję ci go w zupełności, jeśli ocalisz me dziecko. Zazdrość zwiększa jej cierpienie... Umrze, jeżeli ją odepchniesz od siebie! Wspomniawszy na to, że była twą protektorką i użyła na mnie całego wpływu, ażebyś został przyjętym do fabryki, co zapewniło twą przyszłość, czyż nie uczuwasz dla niej choć odrobiny wdzięczności? Nie wzbudzisz w sobie litości? pozwolisz-że jej umrzeć z braku miłości z twej strony?

— Ach! panie — zawołał Lucyan, poruszony do głębi — o! jakże srodze cierpieć mi dajesz! Gdybyś wiedział, jak ciężko boleję od chwili, w której o uczuciach pańskiej córki dla siebie powiadomiony zostałem, ulitowałbyś się nademną, przysięgam! Czyliżem nie postąpił, jak mi obowiązek i honor mój nakazywał? Nie powiedziałem panu o stanie mego serca?

— To prawda... Postąpiłeś szlachetnie — odparł millioner—sądziłem jednak, iż to jest jeden z owych przemijających kapryśków, jedna z owych ulotnych miłostek, nie pozostawiających po sobie nawet wspomnienia. Czyż każdy z nas nie przechodził w młodości przez coś podobnego? Czyż w owych chwilach nie braliśmy wszyscy złudzenia za rzeczywistość. Nadchodzi jednak zbudzenie i poważna strona życia zwycięża... Że

nie uczuwasz owej gwałtownej miłości dla mojej córki, to nie nieznaczy... przyjaźń dorównywa miłości. Małżeństwa zawarte w podobnych okolicznościach, bywają najszczeńliwszem! Szacunek, jaki masz dla Maryi, wdzięczność, jaką uczuwasz dla niej, wystarczą zrazu; później nadejdzie miłość... I ze mną tak było, gdym zaślubił córkę Mortimera... Nie wachaj się... ocal me dziecię!

— Ja nie wacham się, panie—odparł Lucyan poważnie— wachanie z mej strony byłoby zdradą przeciw tej, którą kocham. Boleję, zmuszonym będąc dać cierpieć panu i wierząc, że złamanem sercem odmówić ci muszę... odmawiam!

Harmant rzucił się z gniewem na krzesło.

— Przed chwilą opowiadałeś mi pan o sobie—mówił Lucyan dalej—a więc, czyliż ty, człowiek uczciwy, którego prawość szeroko po świecie słynie, będąc niegdyś ubogim i przysięgłszy inną zaślubić, zdradziłeś ją dla pozyskania córki Mortimera, a z nią jego milionów? Proszę, odpowiedz mi na to...

— Cóż chcesz, ażeby ci odpowiedział?—wołał Garaud z rodzajem oszołomienia. — Wiem tylko jedno, że moja córka jest wszystkim dla mnie... że ona umrze, jeśli jej nie zaślubisz! Przeszłość, świat cały dla mnie prócz niej nie istnieje!

— Uspokój się pan, proszę...

— Czyż mogę się uspokoić? Chodzi tu o życie mojego dziecka, a ty chcesz, ażebym ja był spokojnym? Ach! jesteś bez litości!... Zatem i ja nie wacham się dłużej. Ocalę Maryę dla ciebie i mimo twej woli!

— Lecz zechciejże pan zrozumieć—rzekł Labroue—że gdybym się zgodził na ów związek, całe me życie zatrąłyby mi wyrzuty sumienia!

— Wyrzuty sumienia? w jaki sposób? dlaczego?

— Ocalając pańską córkę, zabiłbym tę, którą kocham...

— Eh!—odrzekł milioner — ta, którą kochasz, niegodną jest ciebie...

Lucyan zbladł nagle.

— Niegodną mnie?... — zawołał przerywanym głosem. — ach! nie powtarzaj mi pan tego, jeżeli nie chcesz, ażebym sądził, iż twoja miłość ojcowska przyprawiła cię o utratę rozumu!

— Na szczęście, posiadam go w zupełności, aby was oboje ocalić... aby ocalić twój honor!

— Mój honor... cóż mu zagraża?

— Małżeństwo przez ciebie postanowione.

— To kłamstwo... fałsz!

— Przeciwnie, prawda najczystsza! Miłość moja ku córce dodała mi odwagi; począłem szperać w przeszłości... Podziękujesz mi wkrótce, skoro z niej światło wytryśnie.

XXV.

Harmant działał zręcznie, z wyrachowaniem; opóźniał cios stanowczy, aby go tem silniej wymierzyć.

— Mów pan, mów! — wołał Lucyan, zrywając się jak obłąkany. — Słuchając cię, zdaje mi się, iż zostaję pod wpływem jakiegoś snu strasznego! Czemu mnie tak dręczysz? co chcesz odemnie?

— Chcę cię powstrzymać od zniesławienia pamięci twojego ojca — odrzekł Garaud. — Chcę wyrwać ci z serca tę miłość hańbiącą... zbrodniczą!

Lucyan stał jak skamieniały.

— Czy to o mojej miłości dla Łucyi pan mówisz? — zawołał przytłumionym głosem.

— Tak — odrzekł Harmant — o tej twojej miłości dla niej.

— I ta miłość to, powiadasz, mogłaby zniesławić pamięć mojego ojca?

— Tak — odrzekł milioner.

— Wytłumacz mi pan natychmiast... Ja tego chcę... żądam!... Jeśli opóźnisz się jedną minutę z odpowiedzią, będę

przekonanym, iż uknułeś potwarz, aby mnie odsunąć od tej, którą kocham!...

— Śmiałybyś mnie o to posądzać? — wykrzyknął Garaud.

— O potwarz i kłamstwo, tak!... dopóki nie otrzymam dowodów! Jeżeli pan je posiadasz, dostarcz mi takowe bezzwłocznie.

— Mam je.

— Proszę o nie.

— Czy wiesz, kto jest ta Łucya, której chcesz nadać swoje nazwisko?

— Wiem... jest to uczciwa dziewczyna.

— Sierota, oddana przed dwudziestu jeden laty do przytułku dla opuszczonych dzieci, zapisana w księgach szpitala pod numerem dziewiątym.

— Wiem o tem i nie zważam na to wcale. Nie przynosi to hańby dziecku, ale występny rodzicom.

— Niech i tak będzie — odparł milioner z ironicznym uśmiechem. Jak widzę, chcesz rządzić się szlachetnymi uczuciami. Nie powiadomiłeś się jednak chociażby dla własnego przekonania, kto byli rodzice tej dziewczyny i jaka krew płynie w jej żyłach?

— Raz jeszcze powtarzam panu, że to mnie nie obchodzi. Przypuszczając, iż jej rodzice byli niegodnymi ludźmi, ani jedna odrobina z ich występku w niej nie istnieje.

— Doprawdy?... Zaslepią cię miłość!...

— Być może, iż szaleństwo... Nie chcę się jednak z niego wyleczyć.

— A jednak będziesz musiał, skoro ci powiem, jaką kobietę pragniesz poślubić.

— Słucham... racz pan powiedzieć...

— Łucya jest córką Joanny Fortier, morderczyni twojego ojca—mówił Garaud — a jeśli nie zechcesz uwierzyć moim słowom, przekonam cię dowodami.

Głuchy krzyk wybiegł z piersi Lucyana. Upadł na krzesło z błędnem spojrzeniem, podczas gdy konwulsyjne drżenie wstrząsało nim całym.

* * *

W chwili, gdy powyższa scena odbywała się w Courbevoie, w gabinecie przemysłowca, elegancki powóz zatrzymał się na ulicy Bourbon, przed domem, gdzie Łucya zamieszkiwała. Marya, wysiadłszy, przeszła podwórze, poczem zwróciła się ku okienku odźwiernej.

— Czy panna Łucya jest w domu?—spytała.

Po otrzymaniu potwierdzającej odpowiedzi, udała się na schody, pukając do drzwi robotnicy.

Łucya, jak zwykle, pracowała. Położywszy robotę na stole, zbliżyła się ku drzwiom, aby takowe otworzyć. Ujrawszy Maryę, której ubliżającego sobie przyjęcia dotąd nie zapomniała, cofnęła się zdumiona, z obawą.

— Ty, pani, tu... u mnie?—zapytała zcicha.

Marya postąpiła naprzód. Zdawała się być spokojną, oblicze jej wyrażało stanowczość niezachwianą.

— Przybywasz pani zapewne dla dowiedzenia się, czy wykończyłam kostiumy?—mówiła.

Marya potrząsnęła głową przecząco.

— Nie — odpowiedziała — przychodzę pomówić z tobą w nader ważnym przedmiocie.

— W ważnym przedmiocie?... — powtórzyła Łucya ze wzrastającą obawą.

— Tak, pozwolisz, że usiądę.

— Och! przebacz mi pani — zawołało dziewczę, podając jej krzesło.—Zdjęta zdumieniem, zapomniałam o najprostszych regułach grzeczności.

— Usprawiedliwiam cię zupełnie w tym razie—odparła, siadając, milionerka.—Mówiłaś mi, że jesteś sierotą?—zaczęła, patrząc śmiało w oczy młodej dziewczynie.

64

— Tak, pani.

— Bez majątku, bez innych źródeł dochodu, prócz tych, jakie ci daje twa praca?

— Tak, w rzeczy samej... lecz mimo to, jestem szczęśliwą.

— Szczęśliwą?—powtórzyła Marya z szyderczym uśmiechem, pozwól powiedzieć, iż nie wierzę temu.

— Zapewniam panią...

— Och! nie zaprzeczaj daremnie... Nie zmienisz moich przekonań w tym względzie.

Łucya chciała coś odpowiedzieć.

— Pozwól, że ci wyjaśnię cel mego przybycia — przerwała córka Jakóba Garaud.—Jestem bogatą... bardzo bogatą... pragnę zapewnić twą przyszłość.

Narzęczona Lucyana Labroue zdawała się coraz mniej rozumieć, o co chodzi.

— Zapewnić mą przyszłość?—powtórzyła zeicha.

— Tak.

— W jaki sposób?

— Najprostszy w świecie... Ofiaruję ci kapitał trzystu tysięcy franków.

Łucya spojrzała na mówiącą z osłupieniem. — Czyżby ona zmysły postradała?—pomyślała sobie.

— Słyszałaś, co powiedziałam?—mówiła panna Harmant.

— Słyszałam, lecz nie rozumiem, nie pojmuję tego...

— Nie rozumiesz, z kąd i dlaczego ofiaruję ci taki majątek?

— Tak... nie rozumiem.

— I sądzisz, iż mówiąc to, nie jestem, być może, w pełni przytomności.

Łucya, widząc, iż odgadnięto jej myśli, zarumieniwszy się, milczała.

— Otóż mylisz się w twem przypuszczeniu—mówiła Marya dalej. — Posiadam w obecnej chwili zupełną przytomność umysłu, wiedz jednak o tem, iż tu nie o wspañałomyślność

bynajmniej chodzi z mej strony, ale o prostą zamianę, jaką pragnę ci zaproponować.

— O zamianę?

— Na twoją korzyść... ponieważ dzięki jej, możesz stać się bogatą. Trzysta tysięcy franków dla takiej, która nic nie posiada, to znaczy majątek.

— Wytłumacz mi pani jaśniej rzecz całą — poczęła Łucya, owładnięta nerwowem rozdrażnieniem. Przemawiasz do mnie zagadkami... ofiarujesz mi ogromną sumę, wzamian za jakąś przysługę... Cóż to za zamiana nastąpić ma pomiędzy nami?

— Przedewszystkiem po otrzymaniu tej ogromnej, jak ją nazwałaś sumy, opuścisz natychmiast nie tylko Paryż, lecz Francję na zawsze.

— Opuścić Paryż! opuścić Francję!...—wołała z osłupieniem robotnica—ależ dlaczego?

Marya zmarszczyła czoło, przygryzając usta.

— Dlatego, ażebym cię nie widziała więcej! — zawołała z zawiścią, zrywając się z krzesła.

Łucyę ogarnął przestach. Bardziej niż kiedykolwiek przekonaną była, iż przybyła dotknęło pomieszanie zmysłów.

— Ażebym cię nie widziała więcej około siebie!—wołała z gwałtownością milionerka—tu, w tem samem mieście... ażebym cię nie spotykała na swojej drodze co chwila... ażeby gasnące me życie ożywiło się nareszcie... ażebym mogła zakosztować szczęścia i spokoju!...

Łucya cofnęła się z obawą.

— Ach!—zawołała, przykładając rękę do czoła — teraz rozjaśniłaś mi pani powód zmiany swego postępowania, twych słów, raniących mnie głęboko... twego spojrzenia, pełnego nie-nawiści... ty jesteś o mnie zazdrosna!...

— Tak... jestem zazdrosna! — odrzekła, rzucając spojrzenie, pałające gniewem.

— Kochasz Lucyana?

— Kocham go!

— Liczysz, iż ja usunę się od niego... i przysięgnę, iż nie zobaczę go więcej!

— Tak... liczę na to...

— I ofiarujesz mi trzysta tysięcy franków wynagrodzenia za tę ofiarę...

— Podwoję sumę, jeśli potrzeba.

— Sądzisz, że ja przyjmę ów dar haniebny?

— Dlaczego miałabyś odmówić?..

— Dlaczego.. Poniem kocham Lucyana... Kocham go całą mą duszą... ze wszystkich sił moich... kocham go miłością, trwającą, dopóki serce moje bić będzie! I ty... ty pani sądziłaś, że moje serce, jak towar kupisz za pieniądze? ach! jakże głęboko pogardzać mną musisz, mając podobne o mnie wyobrażenie! Lecz dowiedz się, iż ja nie zasługuję na podobną wzgardę! Odrzucam ze wstrętem, z oburzeniem twoją haniebną propozycję! Kocham Lucyana i ty go kochasz... niechaj on zatem wybiera. Pewna jego prawości charakteru, będę oczekiwała na wybór ten bez obawy! A teraz — dodała, spojrzeniem na drzwi wskazując — zdaje mi się, iż nie mamy z sobą nic więcej do mówienia!..

Zamiast wyjść jednak, córka milionera wybuchnęła łkaniem. Padła na kolana, a wznosząc ku Łucyi załamane ręce, wyszeptała głosem, jaki z poza łez zaledwie przecisnąć się zdołał:

— Ubóstwiam go i umrę, jeśli mnie kochać nie będzie! Miej litość nademną... pozwól mi żyć!.. nie zabieraj mi go... nie zabieraj!..

XXVI.

W obec rozpaczy tego dziewczęcia, na którego czole widniało już piętno śmierci, Łucya uczuła się wzruszoną do głębi.

— Powstań pani... — wyrzekła, biorąc Maryę za rękę — podnieś się, proszę...

— Nie! Pozwól mi się błagać o to na kolanach, ponieważ tu idzie o moje życie, o szczęście...

— Cóż ja ci mogę odpowiedzieć? — wyrzekła robotnica — nie mam prawa rozporządzać wolą i sercem Lucyana.

— Chcesz go więc zachować dla siebie... chcesz mi go wydrzeć? — wołała Marya tonem, który już nie był błaganiem, lecz groźbą.

— Chcę tego, co Lucyan zechce... Raz jeszcze powtarzam, iż pozostawiam mu wolny wybór...

Córka milionera zerwała się nagle, z zaciśniętymi ustami, pałającym wzrokiem.

— Jesteś bez litości! — zawołała. — Stanowczo zatem odrzucasz moją ofiarę?

— Żałuję panią z całej duszy... lecz powiedziałam... serce moje nie jest towarem do sprzedania.

Marya przyłożyła obie ręce do czoła z gestem obłędu.

— Ha! zemszczę się więc! zemszczę — krzyknęła.

I chwiejnym, bezwiednym krokiem, wyszła z pokoju rywalki.

Lucya zostawszy sama, załamała ręce z rozpaczą.

— Boże! — zawołała — cokolwiekby postanowiła przeciwko mnie, cokolwiekby uczyniła, przebacz jej... przebacz! Ona cierpi... a cierpienie rozum odbiera. Ach! jakże prawdziwym było moje przeczucie, gdy Lucyan po raz pierwszy miał wejść do domu Harmanta! Sen straszny ostrzegął mnie wtedy! Moje przewidywania sprawdziły się teraz... Szczęście moje jest zagrożonem!

Drzenie nerwowe, wstrząsnęło biednym dziewczęciem.

— Zagrożonem? Nie... nie! — zawołała po chwili — podobna obawa z mej strony przyniosłaby ujmę Lucyanowi. Byłoby to nie ufać w jego miłość. Nie! ja się nie obawiam... ja wierzę w przyszłość... w jego miłość dla siebie.

Przy tych wyrazach drzwi się otwarły, a w nich ukazała się Joanna Fortier, roznosicielka chleba.

Ujrawszy Łucyę, głęboko wzruszoną z zaczerwienionemi od płaczu oczyma, ze zmienioną twarzą, szybko ku niej podbiegła.

— Dziecię... drogie dziecko, co tobie? — pytała — twe oczy zalane łzami... co się tu stało?

Dziewczę rzuciło się ze łkaniem w objęcia matki Elizy.

— Zkąd ten smutek... ten płacz? — badała dalej Joanna.

— Ach! matko Elizo... matko Elizo... — jękała Łucya wśród łez — chcę mi wydrzeć miłość Lucyana!..

— Miłość Lucyana? — powtórzyła z osłupieniem różnoscielka. — Czyliż on nie kocha cię całą duszą? Sądziszże go być zdolnym do zdrady?

— Nie... nie... ja w to nie wierzę! Lecz będą się starali odsunąć go odemnie... ofiarują mu majątek... wielki majątek!..

— Kto taki? kto jest przyczyną łez twoich?

— Ta, którą uważałam za najszlachetniejszą z kobiet!

— Marya Harmant?

— Tak, matko Elizo.

— Była tu u ciebie?

— Wyszła ztąd przed pięcioma minutami... sądziłam, iż ją spotkałam na schodach.

— W jakim celu przybyła?

— Aby mi ofiarować trzysta tysięcy franków, pod warunkiem, że opuszczę Paryż, Francję i pozostawię jej serce Lucyana.

Joanna Fortier wzruszyła ramionami.

— I to cię tak zatrwożyło?

— Ach! czyż to nie powód?

— Lecz nie... moja najdroższa... nie... nigdy! Postąpienie panny Harmant, jest czystem szaleństwem. Nie obawiaj się wcale. Znam ja od niedawna wprawdzie pana Lucyana, ale poznałam go dobrze. Ręczę, iż w oddaniu pierwszeństwa miłości po nad majątkiem nie zawacha się ani na chwilę. Zapomnij o troskach, bądź spokojną.

— Odrzucając jednak czynione sobie propozycje, utraci obowiązek w fabryce.

— Inne natomiast odnajdzie. Zdolności jego znane są teraz, ofert będzie miał poddostatkiem. Precz więc ze smutkiem, ufaj i wierz w przyszłość!..

— Oby nadeszła jaknajrychlej niedziela, bym mogła widzieć się z Lucyanem i opowiedzieć mu wszystko.

— Za trzy dni nadejdzie... czas ten szybko upłynie. Zobaczysz swego narzeczonego, on cię uspokoi. Nie traćmy odwagi... nie wytwarzajmy sobie zgryzot samowolnie. Do widzenia, me dziecię.

— Odchodzisz, matko Elizo?

— Muszę pójść zdać rachunek w piekarni.

— Ale przybędziesz tu w ciągu dnia?

— Niewiem... ponieważ mam roznosić chleb, w odległych punktach miasta.

— Do widzenia, zatem wieczorem.

— Do widzenia, najdroższe me dziecię.

Joanna Fortier uściskawszy Łucyę, odeszła.

*

*

*

Pozostawiliśmy Lucyana Labroue, zgnębnego ciosem, jaki mu zadał Harmant, przez wykrycie tajemnicy. Jeżeli można było uwierzyć milionerowi, Łucya byłaby córką Joanny Fortier, skazanej na dożywotnie więzienie za morderstwo Juliana Labroue, kradzież i podpalenie fabryki. Ta kobieta, uczyniła sierotą Lucyana, pozbawiła go majątku, a on kochał jej córkę? W rzeczy samej byłoby to coś potwornego, gdyby się okazało prawdą... Czy jednak było to prawdą? Lucyan nie przypuszczał tego. Po przejściu chwilowego osłabienia, zapanował nad trwogą i wzruszeniem.

— To potwarz! — zawołał.

Harmant uśmiechnął się.

Pod siłą tego szatańskiego uśmiechu młodzieniec zdrzał.

— To potwarz!.. jestem przekonany... to potwarz! — powtórzył.

— Nie! — odparł Garaud — to najczystsza prawda.

— Proszę więc o dowody... Mówiłeś pan przed chwilą, że je posiadasz.

Przemysłowiec dobył tekę z szuflady.

— Oznajmiłem panu — zaczął — iż ta, którą kochasz jest zapisaną w rejestrowych księgach przytułku, pod dziewiątym numerem.

— Tak, wiem... Łucya mi sama o tem powiedziała.

— A więc nie zaprzeczysz, mam nadzieję protokołowi, zawierającemu nazwisko matki i mamki, która oddała tam to dziecko.

— Posiadasz pan ów dowód?

— Tak.

— Autentyczny?

— Najwiarogodniejszy w świecie! Podpisany przed dwudziestu jeden laty przez mera w Joigny, a obecnie przed kilku dniami prawnie zlegalizowany. Przekonasz się nareszcie, gdy ujrzysz ów dowód.

— Pokaż mi go pan, proszę... — rzekł Lucyan, przytłumionym głosem.

Harmant otworzywszy swą tekę, dobył zeń papier, który Labroue pochwycił gorączkowo. W miarę czytania, na jego twarzy malował się wyraz osłupienia i rozpacz. Milioner nie skłamał. Żadna wątpliwość nie mogła mieć miejsca. Straszny ów papier wypadł z drżącej dłoni Lucyana.

— A zatem to wszystko prawda!.. — wyjęknął głucholucyca jest córką Joanny Fortier!

— Joanny Fortier... tak... morderczyni twego ojca!.. — dodał Jakób Garaud.

Labroue zgębiony ciężko, podniósł nagle głowę.

— Nic nie dowiodło dotąd zbrodni z jej strony — zawołał.

— Sprawiedliwość wydała wyrok...

— Sprawiedliwość często się myli... Ja wierzę w niewinność Joanny Fortier... wszak panu o tem mówiłem — powtórzył.

— Nie; ty to raczej się mylisz... Wierz sobie zresztą, skoro tak chcesz, do chwili jednak, w której jej uniewinnienie ogłoszonym uroczyście nie zostanie, (a która to chwila może nie nastąpić nigdy), Joanna Fortier jest winną pomienionych zbrodni. Idź... zasięgnij od owej zbiegłej z więzienia w Clermont, dowodów jej niewinności... niech ci takowych dostarczy... niech je przedstawi sądowi, a wtedy będziesz miał prawo kochać Łucyę i zaślubić ją. Dopóki jednak ta dziewczyna, pozostanie córką morderczyni...

— Dość panie... dość! na Boga! — wyjąkał Lucyan z rozpaczą.

— Widzisz, że miałem słuszność! — mówił Jakób Garaud — widzisz, że bez okrycia się hańbą, syn ofiary nie może nadać swego nazwiska córce zbrodniarki!

— Przez litość... przestań pan... zamilecz!

— Dlaczego?

— Torturujesz mnie... rozdierasz mi serce...

— Uzbrój się w odwagę! Zaniechaj związku, jakiegoby ci nie wybaczył żaden z uczciwych ludzi... związku, któryby okrył cię hańbą i pogardą... Łucya Fortier już nie istnieje dla ciebie... jesteś wolnym... ocal mą córkę...

— Lecz ja nie kocham panny Maryi...

— Co to znaczy? Mówiłem ci już... ileż najszcześliwszych widzimy małżeństw, zawieranych początkowo bez miłości... Uczucie to, znajdzie się później.

— Panie... ach! panie! — jękał Lucyan, jak obłąkany boleścią. — Czyż nie pojmujesz jaki cios straszny wymierzyłeś w me serce? miej litość nademną!.. Ów związek, był całym mem życiem... całym istnieniem!.. marzyłem we śnie tak pię-

knym... i budzę się nagle wobec przerażającej prawdy. Pozwólże mi odetchnąć... pozwól mi płakać... cierpieć mi pozwól.

Tu nieszczęsny, ukrywszy twarz w dłoniach, wybuchnął łkaniem.

XXVII.

— Żałuję cię... szczerze żałuję! — zaczął po chwili Garaud — lecz jednocześnie zachęcam do odwagi. Niepodobna nam jest walczyć przeciwko faktom, lecz śmiało stawić im czoło należy. Uznasz sam sędzę, iż wyświadczyłem ci ważną przysługę. Ocaliłem cię od niesławy, jaką ów związek rzuciłby na ciebie. Wzamian za to, ocal mi córkę. Wraz z nią, ja szczęście tobie ofiaruję.

— A jeślibym przyjąć niemógł?

Wyraz twarzy Jakóba Garaud zmienił się nagle. Oczy dzikiem mu światłem zabłysły.

— Dlaczego byś przyjąć niemógł? — zawołał — odmawiając, zabijesz Maryę, to dziewczę, które cię uwielbia! Nie... nie!... ty tego nie uczynisz — dodał, wyciągając ręce błagalnie ku Lucyanowi; nie uczynisz... bo to byłoby zbrodnią z twej strony! Przez całe życie wyrzucałbyś sobie śmierć tego dziewczęcia. Byłem okrutnym przed chwilą, to prawda, druzgocząc twoje marzenia, rozdzierając ci serce, przez ukazanie przepaści, w jaką bezwiednie rzucić się chciałeś, ależ nie gniewaj się na mnie! Działalem jak chirurg przykładający rozpalone żelazo na ranę, aby chorego uzdrowić... Nie zawiść, lecz wdzięczność winien mi jesteś.

— I uczuwam ją panie — rzekł Lucyan smutno — boleść ma albowiem nie czyni mnie niesprawiedliwym. Tak jest... przepaść stała otwartą przedemną... pan mi ją wskazałeś... wdzięczny za to ci jestem.

Tu młodzieniec podał rękę owemu nikczemnikowi, który uścisnął ją w swojej, promieniejąc radością. Uważając się stanowczo za zwyciężcę.

— Winienes pan jednak zrozumieć — mówił Lucyan dalej — że rana jest nazbyt głęboką, ażeby wprędce zbliznić się mogła. Krwawić i boleć ona będzie długo bezwątpienia. Będę chciał okazać panu dowody mojej wdzięczności, kłamać jednakże nie umiem, nie umiem obłudnie układać twarzy, zmieniać brzmienia głosu. Racz pan zatem przeprosić pannę Maryę, że przez czas pewien, nie będę mógł korzystać z jej uprzejmego zaproszenia. Na co mam ją zasmucać ponurą moją postacią? Radbym się jej okazać swobodnym, uśmiechniętym, jeżeli uśmiech zdoła kiedy powrócić mi na usta. A zatem, czekać należy...

— Ależ to właśnie owe przejścia, z nadziei do zawodu, zabijają mą córkę! — odrzekł z cicha milioner.

Lucyan, podjąwszy z podłogi ów akt protokularny, który mu natenczas z rąk wypadł, podał go Harmantowi.

— Pokaż pan jej to... — rzekł — panna Marya zrozumie, *iż ja nie mogę zaślubić córki potwora, który zamordował mego ojca.*

Powyższe wyrazy, Lucyan stosował wyłącznie do Joanny Fortier, podwójne jednak znaczenie tychże, pod jakim mimowolnie wymienionemi zostały, przedstawiło się w sposób straszny, przerażający dla prawdziwego mordercy, który drgnął, zbladłszy i pochylił głowę.

— A zatem... — wyrzekł po chwili, przyciszonym głosem — ani moje uwagi, ani proźby nie zdołają zmienić twego postanowienia i przyspieszyć szczęścia mej córki?

— Nie podobna panie... — rzekł Lucyan — nie nalegaj więcej! Proszę o kilka dni bym mógł uspokoić się, rozważyć wszystko.

— O kilka dni... — powtórzył przemysłowiec — dobrze... niech i tak będzie. Musisz to jednak sam Maryi przedstawić, mnie... nie uwierzyłaby ona być może.

— Powiem jej, panie—rzekł Lucyan.

— Kiedy?

— Dziś wieczorem... pojedę z panem na ulicę Murillo.

— Dziękuję ci, mój drogi, całą nadzieję w tobie pokładam...

— Pozwolisz mi pan, iż zabiorę ów protokół na kilka godzin?—zapytał Labroue.

— Owszem... weź go, jeśli ci przydatnym być może.

— Mogę na dzień dzisiejszy uwolnić się z fabryki?

— Możesz... lecz pamiętaj, że wieczorem oczekujemy cię u siebie.

— Przybędę o w pół do siódmej nieodmiennie.

— I będziesz u mnie obiadował. Oczekuję cię... czyli raczej oczekujemy na ciebie.

Lucyan, wyszedłszy z gabinetu przemysłowca, powiadomił nadzorcę robót, iż przez dzień cały będzie nieobecny w fabryce, poczem tramwajem udał się do Paryża. Zatopiony w myślach, zgłębiał otaczające go okoliczności.

— Rzeczywistość — rzekł — jasno staje przed oczyma. Harmant zatrzymał mnie nad brzegiem przepaści, w jaką byłbym się rzucił bezwiednie: Łucya jest córką Joanny Fortier, zbrodniarki, która zamordowała mojego ojca. Mimo, iż powątpiewam, by zabójstwo to przez nią mogło być dokonaniem, mnóstwo dowodów oskarża ją w tym razie, gdy ani jeden nie świadczy na jej stronę! Ja sam mogę jedynie tylko powątpiewać. Zaślubiając mimo to Łucyę, popełniłbym nikczemność wobec całego świata, skalawszy tem tyle mi drogą pamięć ojca. Harmant naówczas rozgniewany, głosiłby o tem na wszystkie strony, a ja odepchnięty zostałbym przez ucziwych ludzi. Łucya, to biedne dziewczę, niewinnie cierpieć będzie, ale cóż począć, gdy nosi owo przekłete nazwisko, skalane krwią mojego ojca! Nie! związek z nią jest niemożliwym... on nigdy nastąpić nie może! Ach! biedna... biedna Łucya, zmuszonym będę złamać jej serce, wówczas, gdy i moje własne ciężko się krwawi. Żegnajcie moje nadzieje... Żegnaj miłości!

sny złote... zdruzgotana przyszłość... a z nią wszystko, wszystko! I z głową pochyloną ku piersiom, nie usiłował nawet walczyć przeciw ciężko przygnębiającej go bolesti.

Przybywszy do Paryża, wsiadł do fiakra i kazał się zawieźć na ulicę Bourbon. Wysiadając, spojrzął na okna mieszkania ukochanej; oba były szczelnie zamknięte. Niewysłowna bolesć ścisnęła mu serce skoro się znalazł w tym domu, gdzie spotkał Łucyę raz pierwszy, gdzie ją ukochał i tyle chwil błogich przemarzył. Rzęsiste łzy z oczów mu płynęły. Otarłszy je gorączkowo, wszedł w bramę.

Odźwierna stała w okienku swojej stancyjki.

— Ach! to pan, panie Lucyanie!—zawołała.— Żle pan jednak trafiłeś...

— Dlaczego?

— Panna Łucya tylko co wyszła, by odnieść robotę do szwalni.

— A nie wiesz pani, jak rychło powróci?

— Nie wiem.

— Matka Eliza jest w domu, u siebie?

— Nie ma jej, panie... dziś rano wcale nie przybyła; здаje się, iż ma jakieś ważne zajęcie w piekarni.

— Zatem odchodzę.

— Możebyś pan zaczekał u mnie, w stancyjce?

— Nie mogę... ponieważ bardzo się śpieszę.

— Cóż więc mam panie Łucyi powiedzieć?

— Tyle tylko, że był... nic więcej.— To mówiąc, odszedł.

— Jak on dziwnie wygląda... — mówiła odźwierna, patrząc za Lucyanem. Przedtem był tak uprzejmym, wesołym... Ha! tak to zwykle bywa... słyszałam, że jest na drodze robienia majątku, bogactwo omamia i zmienia człowieka...

Lucyan wsiadł do powozu, polecając woźnicy jechać do piekarni na ulicę Delfinatu. Spotkał tam w progu Joannę. Ukończywszy zwykłą swą pracę, właśnie wychodzić miała. Spostrzegłszy przybyłego, roznosicielka chleba, jak gdyby zdjęta przecuciem nieszczęścia, zadrżała.

70
— Pan tu, panie Lucyanie? — szepnęła zmieszana. —
Masz mi pan coś pilnego powiedzieć zapewne...

— Tak, matko Elizo, przybywam z ulicy Bourbon.

— Widziałeś się pan z Łucyą?

— Nie zastałem jej w domu; zatem, co miałem jej powiedzieć, powiem tobie, matko.

— Mnie?—powtórzyła zdumiona.

— Tak... Czy ukończyłaś swoją robotę? Będziesz mi mogła poświęcić z godzinę czasu?

— Najchętniej — odpowiedziała ze wzrastającą obawą. Jestem wolną, może pan zechcesz pójść do mego mieszkania?

Lucyan skinął głową przecząco.

— Nie—odrzekł—do mnie raczej pojedziemy.

— Lecz co panu jest... na Boga?—pytała, przejęta trwożą, Joanna.—Jesteś tak zmieszany... — cierpienie widoczne na twojem obliczu...

— Co mi jest, wkrótce się dowiesz. Wsiądź zemną do powozu.

— Natychmiast... powiadomić należy pryncypała, iż wychodzę.

I zniknęła w głębi sklepu. Po paru minutach wyszedłszy, wsiadła do fiakra obok Lucyana.

Powóz potoczył się szybko.

XXVIII.

Podczas drogi Joanna badać chciała swego towarzysza.

— Nie tu, matko Elizo—rzekł do niej.—To, o czem chcę z tobą pomówić, jest rzeczą nader ważną. Zaczekaj, aż przyjedziemy.

Roznosicielka zamilkła ze wzrastającym niepokojem, pograżając się w rozmyślanii. Sądząc z ostatniej bytności panny Harmant u Łucyi, mniemała, iż Labroue wypytywać ją zechce o szczegóły spotkania się obu rywalek. Lucyan milczał

jednakże, o czem więc mógłby mieć z nią do pomówienia? Czekala, zdjeta nieopisaną, instynktowną trwogą.

Powóz zatrzymał się nareszcie. Lucyan dopomógł wsiąść Joannie i wkrótce oboje znaleźli się sami w skromnem mieszkaniu syna Juliana Labroue. Młodzieniec, padłszy na krzesło, gwałtownem wybuchnął łkaniem.

— Panie Lucyanie! — wołała, przerażona objawem tej ciężkiej boleści;—twoje łzy mówią mi więcej nad wszelką rozmowę. Idzie tu o Łucyę, nieprawdaż? O niej mówić mi będziesz...

— Tak—odrzekł Labroue, pochylając głowę.

— Ach! od dzisiejszego rana, od tej wizyty panny Harmant, przewidywałam nieszczęście!...

Lucyan spojrział na Joannę osłupiały.

— Wizyta panny Harmant?—powtórzył.

— Nie wiesz pan zatem, że ona była u Łucyi dziś rano?..

— Nic nie wiem.

— I nie wiesz również, że panna Harmant cię kocha?

— To wiem, na nieszczęście... i wiem oddawna. W jakim celu jednak przyjeżdżała na ulicę Bourbon?

— Zazdrosną jest do szaleństwa! Ofiarowała Łucyi trzysta tysięcy franków i więcej nawet... jeżeli ta opuści ciebie... zapomnieć o tobie zechce i jeśli wydali się z Paryża i Francyi na zawsze!

— Ona to uczyniła?—zawołał Lucyan zdumiony. — Ona śmiała proponować Łucyi coś tak haniebnego?

— Tak... prosiła ją... błagała... padła na kolana przed tą, którą kochasz, wzywając jej litości... Łucyę to oburzyło... wręcz odmówiła. Mogłaż uczynić inaczej? Nie jesteś dla niej jedynem szczęściem jej życia? Sama myśl, iż mógłbyś kiedykolwiek usunąć się od niej, zabiłaby ją!... biedne to dziewczę umarłoby z rozpacz...

Lucyan, słuchając słów roznosicielki, zapytywał sam siebie, czy będzie miał odwagę wyjawić jej tę straszną tajemnicę.

Przez kilka sekund siedział zagłębiany w niemem milczeniu.

— Panna Harmant, nie otrzymawszy tego, czego żądała, grozić poczęła—mówiła dalej Joanna.—Wychodząc od Łucyi, powiedziała, że zemści się nad nią.

— Srodze się już pomściła!—pomyślał Labroue.

— I cóż pan sądzisz o tem postąpieniu z jej strony?—pytała Joanna.

— Uważam, iż zazdrość złą bywa doradczynią, lecz razem należy wybaczyć wiele tym, których zaślepią gorączka miłości.

— Jako... nie ganisz jej postępowania?

— Ganię... lecz ganiąc, żałuję jej razem.

— Czyliż Łucya nie zasługuje więcej na pożałowanie? Sądzisz, iż panna Harmant nie udręczyła jej srodze... że nie wsadziła w jej duszę jadu zazdrości, podejrzeń i trwogi? Ach! gdybyś ją widział, jak ja ją widziałam łkającą, na pół obłąkaną prawie, zrozumiałabyś, że cierpiała, o ile cierpieć można najciężej!

— Żałuję jej z całego serca, matko Elizo.

— Żałujesz tylko, nic więcej? Nie uznajesz więc za najnikczemniejsze postąpienie tej milionerki, która sądzi, iż serce się sprzedaje, a miłość za pieniądź kupuje?... Panie Lucyano; twoja obojętność przeraża mnie... drzę, lękając się usłyszeć od ciebie za chwilę, że Łucyi nie kochasz już więcej... że ci ludzie, mówiący ci o związku z majątkiem i milionami, podbili cię na swoją stronę... żeś zapomniał o tem nieszczęśliwym dziewczęciu, które dla ciebie tylko żyje?...

— A gdyby tak było?—zapytał Labroue drżącym głosem.

Joanna zachwiała się przerażona.

— Mógłbyś myśleć o czemś podobnem?—zawołała gwałtownie.

— A gdybym już Łucyi nie widział więcej?

— Ach! ty nie mówisz tego na seryo... nie!... Nigdy już Łucyi nie widzieć... och! to byłoby straszmem... okropnem! Pamiętaj, że to dziewczę uwielbia cię!... ona umrze!... nie! stokroć razy nie!... Ty tego nie uczynisz!

— Gdyby mi jednak honor zrobić to nakazywał?...

— Honor zależy na dotrzymaniu danego słowa, a ty przysiągłeś Łucyę zaślubić.

— Tak... lecz gdyby istniała obecnie pomiędzy nami zaporą do niezwalczenia?

— To niepodobna! Co było możebnem wczoraj, jest niem również i dzisiaj. Czyliż majątek Harmanta oszołomił cię do tego stopnia, żeś zmysły utracił?

— Ważne odkrycie, jakie mi zakomunikowanem zostało, wskazuje mi mój obowiązek—rzekł Lucyan z powagą.

— Śmiałybyś na Łucyę rzucać plamę podejrzania?

— Podejrzewać ją! nigdy!... niech mnie Bóg uchował

— Cóż więc mogli ci przeciw niej powiedzieć? przez jaką potwarz haniebną owi źli ludzie wzniesli tę straszną zaporę pomiędzy nią a tobą?... co wymyślił pan Harmant ze swą córką? Śmiałybyś mi powtarzać ich kłamstwa haniebne?

— Nic nie wymyślili i nic nie skłamali — odrzekł Labroue.—Przysięgam ci, matko Elizo, iż zaporą, jaka się wzniosła pomiędzy mną a Łucyą, jest do nieprzełamania. Rozdziela nas krew...

— Krew!...—zawołała w osłupieniu Joanna.

— Tak... kocham Łucyę, jak ją kochałem... i więcej nawet, być może... Rozdzielając się z nią, nie ulegam żadnemu wpływowi, nie wiedzie mnie ku temu ani pycha, ani pragnienie majątku... Słucham jedynie głosu honoru, a głos ów nieestety wzbrania mi Łucyę zaślubić...

— Ależ dlaczego? dlaczego?

— Ponieważ nie mogę nadawać mego nazwiska córce morderczyni mojego ojca!

Usłyszawszy te słowa, Joanna wydała krzyk i obie ręce przycisnęła do serca, jak gdyby ochronić je pragnąc

od zdruzgotania; chwiała się cała. Lucyan, spoglądając na nią, nie pojmował piorunującego ciosu, jaki sprawiły jego wyrazy.

Zwolna, siłą woli, zapanowała nad sobą nieszczęśliwa.

— Co pan mówiłeś? — pytała zaledwie dosłyszczanym głosem; — źle zrozumiałam zapewne... Pan utrzymujesz, że Łucya jest córką kobiety, skazanej niegdyś za zamordowanie twojego ojca?

— Tak... córką Joanny Fortier...

— Córką Joanny Fortier! — krzyknęła. — Ona... jej córką?... ona, Łucya, jej córką?!...

Biedna kobieta zdawała się być oświecona szaleństwem. Omal, że nie wyjawiała tajemnicy. Chciała powiedzieć: *Moja córka!* prędko jednakże odzyskawszy przytomność, powstrzymała się z wyjawieniem prawdy synowi tego, o którego zamordowanie ją oskarżano.

— Lecz co tobie, matko Elizo? — pytał Lucyan, zdumiony tak gwałtownym wzruszeniem roznosicielki, mimo, iż znał wielkie jej dla Łucyi przywiązanie.

— Pytasz pan, co mi jest? — powtórzyła z wachaniem, szukając pozorów, ażeby się nie zdradzić. Co mi jest? ja sama nie wiem... To, coś mi nagle wyjawił przed chwilą, wprowiło mnie w zdumienie do tego stopnia, iż w pierwszej chwili utraciłam prawie przytomność. I teraz nawet zaledwie śmiem wierzyć, ażeby Łucya miała być córką Joanny Fortier? Zkąd pan wiesz o tem?... Czy masz dowody?

— Posiadam autentyczny, niezaprzeczony dokument.

— Masz go tu... u siebie?

— Tak.

— Pokaż mi go... pokaż jaknajprędzej!...

— Oto jest — rzekł Lucyan, podając roznosicielce protokół, otrzymany od Harmanta.

Joanna wyrwała mu go z ręki, czytając chciwie, podczas czego na jej bladej twarzy malowało się głębokie wzruszenie.

— Ona więc jest moją córką... moją córką!... — myślała, przebiegając papier oczyma.—Nie zawiodło mnie przeczucie... Otóż dlaczego ją tak kochałam, a jednak nie mogę nic wyjaśnić... nic... nic uczynić! Milczeć jestem zmuszoną... nie mam sposobu do jej ocalenia!

— Przekonałaś się więc nareszcie, matko Elizo?—pytał Lucyan. — Dowód wiarogodny, któremu zaprzeczyć niepodobna.

— Tak... to prawda... — szepnęła zcicha Joanna, przygnębiona jednocześnie bólem i radością. — Łucya jest córką Joanny Fortier, tej nieszczęśliwej skazanej, lecz jeżeli jej matka spełniła zbrodnię, czyliż ona ma być za to odpowiedzialną? czyliż ma za błąd cudzy zostać ukaraną?... być okrytą niezasłużoną hańbą? Ach!... o ileż szlachetniej byłoby podać rękę temu nieszczęsnemu dziewczęciu, o tyle straszno opuścić ją wśród tak okropnych okoliczności!

XXIX.

— Podać jej rękę... — powtórzył Lucyan. — Bóg świadkiem, że pragnąłbym to uczynić, lecz niepodobna!

— Dlaczego?—pytała gorączkowo Joanna.

— Jej matka zabiła mojego ojca! Sądzę, iż pani to pojmuje?

— Rozumiem... tak... to straszne, jeśli jest prawdą... Ale czy rzeczywiście jest prawdą? Pan sam mówiłeś po kilka razy, że wierzysz w niewinność tej nieszczęśliwej...

— Wierzyłem i dotąd wierzę...

— A więc?

— Powątpiewanie nie jest pewnikiem, ani moje przekonanie dowodem. Gdybym zobaczył Joannę Fortier, powiedziałbym jej: „Sprawiedliwość ludzka nieomylną nie jest, błędzi ona wiele razy. Zostałaś skazaną, a mimo to winną może nie jesteś... Złóż mi dowody uniewinnienia, bądź dla mnie pre-

wodnikiem pośród ciemności, a stanę w twojej obronie, całe me życie poświęcę na zdjęcie z ciebie tej hańby... Uczynię to nadewszystko dla twojej córki, którą kocham nad życie!" — Podczas procesu Joanna Fortier utrzymywała — mówił dalej — iż posiadała list, pisany przez nadzorcę, Jakóba Garaud, a dowodzący, iż on sam popełnił te wszystkie zbrodnie w Alfortville. Ów list potrzebaby było odnaleźć za jakąbądź cenę. Joanna udzieliłaby mi wskazówek, gdzie szukać śladów Jakóba Garaud, który, być może, żyje, jest bogatym, szczęśliwym i ukrywa się pod przybranem nazwiskiem. Ach! gdybym pochwylił tego człowieka, zmusiłbym go do publicznego zrehabilitowania tej nieszczęśliwej kobiety; dopóki jednak to nastąpi, pogrążony będę w zwątpieniu, które nie dozwala mi udzielić swego nazwiska córce skazanej!

Słyszac te słowa, zbolała matka zawołać już chciała: *Ja jestem Joanną Fortier!* — Rozwaga wszelako i tym razem milczeć jej nakazywała. Do czego posłużyłoby mogło jej ustne zeznanie? Jedyny dowód, o którym mówił Lucyan, ów list, była przekonana, że spłonął w czasie pożaru fabryki. Co zaś do Jakóba Garaud, jeżeli ten nędznik ujsć zdołał zdrów i cały zpośród płomieni, co się z nim stało?... gdzie go szukać? jak odnaleźć? Przez lat dwadzieścia jeden umarł już może...

Joanna jedynie więc tylko powtórzyć mogła: — Jestem niewinną, przysięgam!..

Na coby się to wszakże przydało? Dziś tak jak wtedy, w dniu zawyrokovania, wina ją obciążała.

— Tym sposobem biedna Łucya zostanie skazana! — ozwała się ze łkaniem — hańba matki nieszczęściem dla niej się stanie... zostanie opuszczoną, zapomnianą! Ach! to okrutne... to niesprawiedliwe, lecz panu nie czynię wyrzutów w tym razie; pojmuję, iż niemożesz połączyć swego czystego nazwiska, z imieniem, zbrodnią skalaniem!

— Świat nie wybaczyły mi tego nigdy! — zawołał Labroue. — Sądzonoby mnie jako wyrodnego syna!

— Lecz zkądby mogli wszyscy dowiedzieć się o tem?

— Złe wieści szybko się rozchodzą...

— Któżby to rozniósł... ktoby o tem wiedział?

— Ludzie, pragnący się pomścić nad Łucyą i nademną.

— Ów milioner Harmant, wraz z córką... nieprawdaż?

Grozili ci tem być może panie Lucyanie?

— On mi zagraża!... to prawda...

— I zrobiłby to co mówi... ten człowiek chce abyś ocalił życie jego dziecka... Trzeba więc na to poświęcić dziecie Joanny Fortier. Co jego to obchodzi?... córka jego przedewszystkiem... Lecz dlaczego pan mnie tu przywiozłeś, panie Lucyanie? czyż żądasz, ażebym powiadomiła Łucyę, iż winna nie nawidzić i gardzić swą matką?..

— Chcę panią prosić, byś ją objaśniła, iż honor mój wyląbia przepaść pomiędzy nami!..

— I sądzisz — zawołała gwałtownie Joanna — że ja objawię Łucyi, jaka krew płynie w jej żyłach?.. że do boleści opuszczenia dodam to straszne cierpienie niezasłużonej hańby? Ach! nie licz na mnie w tym razie panie Lucyanie! Nie zdołam tego uczynić!.. nie będę miała odwagi!

— Ależ niepodobna zostawić Łucyi w błędnem mniemaniu, skutkiem czego, srożejby potem cierpiała...

Roznosicielka dusiła się w łkaniach. Nie rzekłszy ani słowa, zwróciła się ku drzwiom.

— Matko Elizo... — zawołał Lucyan, biegnąc ku niej i chwytając ją za rękę.

Joanna szybko takową usunęła.

— Żegnaj pan... panie Labroue — wyrzekła, zalana łzami, wybiegając tak szybko, iż młodzieniec zatrzymać jej nie zdołał.

— Biedna Łucya! — wyszepnął upadając na krzesło. — Biedne, ukochane dziewczę!.. O! czemuż jesteś córką Joanny Fortier!..

Długi czas siedział pogrążony w niemej boleści, nie czując, iż lzy strugą mu po policzkach spływały. Nagle podniósł

się, złożył protokół, schował go do kieszeni i wsiadłszy w fiakr, oczekujący przed domem, kazał się wieść na ulicę Murillo.

* * *

Joanna wyszedłszy od Lucyana, dozwoliła łzom płynąć swobodnie. Zbiegłszy ze schodów z pośpiechem, szła przyśpieszonym krokiem, jak obłąkana, potrącając przechodniów. Głośno i bezustannie powtarzała:

— Moja córka!.. Łucya jest moją córką... Odnalazłam me dziecię!

Zwolna, świeże powietrze ją uspokoiło, gorączka paląca jej krew, tętniąca w skroniach, niknęła.

Przybywszy na stację du Hawre, wzięła fiakr, jadąc na ulicę Bourbon. W drodze rozmyślać poczęła.

— Ach! Bóg mi powrócił jedno z mych dzieci nareszcie. Widując Łucyę codziennie, coraz ją więcej kochałam. Była szczęśliwą i ja przyniej szczęśliwą się czułam. Lecz oto nadeszła chwila, gdzie mam w me dziecię straszliwym ciosem uderzyć!.. Jakaż fatalność zbudziła w sercu mej córki miłość dla syna człowieka, o którego zamordowanie mnie oskarżają?.. Hańba zbrodni, jakiej nie popełniłam, niesłusność rzuconego na mnie potępienia, spadną na niewinne to dziewczę! A ja nie mogę nic powiedzieć Lucyanowi Labroue... nie mogę wyjawić Łucyi: *Jestem twą matką!* ponieważ zarazem dodałby należało: *Ponieważ jestem twą matką, narzeczony opuszcza cię! Z przyczyny, iż jestem twą matką, cierpieć i płakać musimy!..* Ach! to okropne... przerażające!.. I mnie... mnie to Lucyana wybrał, abym oznajmiła temu dziewczęciu, bym jej powiedziała: *Kochasz!.. ta miłość jest twojem życiem... A więc wypędź z serca tę miłość... wypędź ją bez nadziei... Córka występnej matki nie może nosić nazwiska uczciwego człowieka!..* Ach! czyliż zdołam jej to powiedzieć?.. Usłyszawszy, będzie przeklinała swą matkę! Niel.. nie... ja tego jej nie powiem! Lucyana

nie ukaże się więcej... z razu będzie niespokojną... będzie cierpiała, ależ ja będę się ją starała pocieszyć! Nie umrze z miłości, gdym ja nie umarła ze wstydu i hańby!

Fiakr zatrzymał się przed domem, przy ulicy de Bourbon.

Joanna zapłaciwszy woźnicy, szybko weszła w bramę. Pragnęła co rychlej uścisnąć swą córkę.

Odźwierna zastąpiła jej drogę.

— Matko Elizo! — wołała — pan Lucyan Labroue, nasz dawny lokator był tutaj.

— Tak?.. — odrzekła roznosicielka, udając zdziwienie.

— Nie widziałaś się z nim pani w piekarni? On tam miał jechać...

— Nie; wcale go nie widziałam. Widać, iż nie było nic tak ważnego, skoro nie przybył.

— Rozmawiając ze mną, miał tak dziwną minę...

— Był mocno zajęty... wiele pracuje. Panna Łucya jest w domu u siebie?

— Wróciła już od dawna.

— Idę więc do niej.

Joanna szybko przebiegła schody. Dosięgnąwszy ostatniego piętra, zatrzymała się przy drzwiach mieszkania młodej szwaczki, złamana strasznem wzruszeniem. Jej córka tam była.. Zobacz ją, uściśnie, lecz musi milczeć wobec niej, musi dla niej pozostać tylko matką Elizą, roznosicielką chleba.

Otworzyła drzwi i weszła.

Łucya, siedząc nad pracą, odwróciła głowę.

Wdowa Fortier przyzwała wszystkich sił, ażeby się nie zdradzić, by nie wykrzyknąć, otwarłszy ramiona dziewczęciu:

— Pójdź... uściśnij swą matkę!

Nakazawszy milczenie swej macierzyńskiej tkliwości, weszła spokojna.

— Ach! to ty matko Elizo... — wyrzekła Łucya z uśmiechem.

75
— Ja moje drogie dziecko... ja... moja ukochana!.. I pospieszyła uściskać dziewczę — dodając. — Wychodziłaś... nie było cię w domu?

— Tak, wychodziłam do pani Augusty, odnieść robotę, lecz mocno tego żałuję...

— Dlaczego?

— Ponieważ Lucyan tu był podczas mej nieobecności, o czem powiadomiła mnie odźwierna. Nie widziałas go, matko Elizo?

Joanna pohamowała się całą siłą.

— Nie... nie widziałam — odpowiedziała.

— Odźwierna mówiła mi, że był bardzo smutny...

— Zdawało się jej być może...

— A jeśli to prawda, matko Elizo, ogarnia mnie trwoga...

Joanna zadrżała.

— Trwoga... — wyszepnęła — czegoś się obawiasz?

— Od rana... od tej wizyty panny Harmant, straszne jakieś przecucia mnie dręcą...

— Staraj się to pokonać, me dziecko... Nieraz dręczymy się sami bezzasadnie... potrzeba ci roztargnienia, jeżeli zechcesz, obiadować będę wraz z tobą...

— Ach! dobrze... dobrze matko Elizo.

— Wyjdę za kupnem żywności i przygotuję wszystko co trzeba.

— A ja tymczasem wykończę moją robotę...

— Lecz odpędź czarne myśli, proszę cię o to...

— Przyrzekam.

— Zatem do widzenia...

Tu wyszła Joanna, uściskawszy swą córkę.

XXX.

Lucyan, przybywszy przed pałac, na ulicy Murillo, wysiadł po chwili wahania, a raczej walki wewnętrznej z sobą samym i zadzwonił.

Otwarto bramę, Labroue wszedł na dziedziniec.

— Czy panna Harmant jest w domu? — zapytał odźwiernego.

— Tak panie... jest samą, pan Harmant jeszcze nie wrócił.

— Mógłbym się z nią widzieć?

Odźwierny zadzwonił na kamerdynera, który ukazał się w progu.

— Proszę oznajmić o mojem przybyciu panie Harmant — rzekł Labroue.

— Pani jest w salonie... widziała pana idącego przez dziedziniec i rozkazała mi go wprowadzić. Proszę więc pójść za mną.

Lucyan wszedł na schody pałacu.

Marya wsparta o kominek w salonie czekała. Zmieniony wyraz twarzy przybyłego, oznajmił jej na pierwszy rzut oka, iż Lucyan zostawał pod wpływem głębokiego, moralnego wstrąśnienia. Zkąd ono mogło wyniknąć, napróżno odgadnąć usiłowała.

— Mój ojciec jeszcze nie wrócił, panie Lucyanie — zaczęła, usiłując pokryć zmięszanie. — Przyjemnie mi jest, że pan go wyprzedziłeś. Spocznij proszę, porozmawiamy.

To mówiąc, wskazała krzesło.

Lucyan, ukłoniwszy się, usiadł.

— Lecz jak pan jesteś bladym... — zawołała. — Cóż się tam stało? Pan jesteś cierpiącym, jak widzę...

— Tak pani... — odparł Lucyan, głosem złamanym... — przecierpiałem wiele... i dotąd jeszcze cierpię...

— Lecz zkąd... dlaczego? miałeś pan być może z mym ojcem jakąś przykrą rozmowę? Mój ojciec jest dobrym... najzaczniejszym z ludzi, ale bywa gwałtownym niekiedy...

— Tak, w rzeczy samej, miałem z ojcem pani nader bolesną rozmowę — odrzekł Labroue i ztąd to właśnie pochodzi moje cierpienie...

— Nic nie rozumiem...

— Posłuchaj mnie pani... Nadeszła chwila stanowcza, w jakiej należy nam jasno spojrzeć w otaczające nas okoliczności, a ku temu dojść jedynie możemy drogą zupełnego porozumienia... otwartości, chociażby nawet brutalnej...

Maryja pobladała. Trwoga ścisnąwszy jej piersi nie dozwoliła przemówić.

— Przypadek, czyli raczej mówiąc prawdę, potrzeba pracy — mówił Lucyan dalej — poprowadziły mnie ku tobie pani...

— Miałebyś pan tego żałować? — szepnęło dziewczę, przytłumionym głosem.

— Tak pani... ponieważ ów dzień sprowadził mi nadmiar mąk i cierpienia. W dniu tym, widząc dla siebie tyle współczucia z twej strony, przysiągłem ci wdzięczność dozgonną, a Bóg świadkiem, iż mówiąc to nie kłamałem. Popierając prośbę mego przyjaciela Jerzego Darier, dopomogłaś mi pani do pozyskania stanowiska, o jakim marzyć nie śmiałem, zapewniłaś mą przyszłość.

— Lecz panie...

— Pozwól mi pani, proszę, dokończyć i wybaczyć jeżeli wyrażenia moje okażą ci się nazbyt szczeremi... Obowiązkiem jest moim, wszystko ci powiedzieć, a w takim razie nie jest się panem własnego serca. Zaszczyciłaś mnie pani wyróżnieniem wśród wielu... natchnąłem cię uczuciem, przechodzącym moje zasługi... uczuciem... jakiego nigdy oczekiwać nie mogłem.

— Ach! — zawołała Maryja gwałtownie — rozumiem teraz dlaczego pan wcześniej przybywasz... dlaczego mówisz do mnie z tak lodowatą obojętnością... Chcesz mi powiedzieć, że mnie nie kochasz i nigdy kochać nie będziesz!

— Uczucie to, jakie pani dla mnie uczuwasz, mam dla innej... — odrzekł Labroue. — Kochałem...

— Tak! kochałeś... — przerwała z goryczą córka miliona — kochałeś... i kochasz jeszcze; nadzieja naszego połączenia się, snem była tylko... kłamliwym marzeniem!..

— Pozwól powiedzieć sobie pani, iż wraz ze swym ojcem, czyniliście wszystko, by wyrwać z mojego serca tę miłość, jaka je zapełniała... Widzę to... nie czynię wam wszakże wyrzutów w tym względzie. Prowadził was, wasz osobisty interes... Pan Harmant posłusznym był swojej ojcowskiej miłości. Co do mnie, trzymając się w oddaleniu, unikając wszelkich sposobności zbliżenia się ku pani, postępowałem jak mi mój honor i uczciwość nakazywały. Dałem pani cierpieć z tego powodu wiele... żałuję tego, inaczej jednak postąpić nie podobna mi było... inną kochałem! A pani wiesz tak dobrze, jak ja, iż miłość jest władcą, tyranem. Gdy rozkazuje, posłusznym jej być potrzeba.

— I obecnie przychodzisz pan mi oznajmić, że nie ma dla mnie nadziei? wszak prawda? — pytała Marya. — Jestże to mą winą, że cię ukochałam... wszak sam pan mówisz, iż nie jest się panem swojego serca... Miałem więc rozkazywać mojemu? Czyliż przewidzieć zdołałam, że kochasz inną? Uczucie, jakie powzięłam dla ciebie, stało się mem życiem, mojem istnieniem... ogarnęło mnie ono w całkowitości... wyzwolić się odeń jest mi niepodobna! Jeżeli jest to występkiem, przebac mi Lucyanie! Przeciw tej miłości dłużej walczyć nie zdołam... Czuję się być przezeń przewyciężoną... Lecz któż odgadnąć może tajemnice przyszłości?.. Zostaw mi nadzieję... pozwól mi żyć... na klęczkach o to cię proszę...

I padła na kolana przed Lucyanem, ze złożonymi błagalnie rękoma.

— Och! miłość jest szaleństwem!.. — wołała... — Tak!.. tak... ja jestem szaloną!.. Obląkanym wybacza się wiele!.. Zbyt młoda aby umierać, chcę żyć... i będę żyła, jeżeli mnie choć trochę... choć później ukochasz!.. Obecnie jest to niemo-

żebnem... wiem o tem... lecz później prawdopodobnem być może. Nadejdzie chwila, w której kto wie, czy kochać nie przestaniesz tej, która posiadała twe serce.

— Od dziś niepowinienem... nie mogę jej kochać... — wyszepnął Lucyan z boleścią.

Marya zerwała się nagle.

— Coś pan powiedział? — krzyknęła. — Niepowineneś, nie możesz jej kochać?

— Nie! — odrzekł Lucyan ponuro.

— Cóż się więc stało? Umówiwszy się może wraz z ojcem, łudzisz mnie uczuciem litości z twej strony? Albo ta przeklęta rywalka okazała się być ciębie niegodną?

— Tak jest...

— Nie kłamiesz?

— Nie... nie! przysięgam!

— Cóż uczyniła zatem ta nikizemna, przez którą tyle wycierpiałam, tyle łez wylałam podczas mych długich nocy bezsennych?...

— Ach! nie waż się pani zobelzać jej... — zawołał Lucyan z oburzeniem. — Łucya jest najuczciwszą z dziewcząt... jest ona czystą jak anioł!

— Mówisz, że ją nie kochasz, a bronisz jej z takim zapalem! — wołała, rozplamieniona zazdrością milionerka.

— Tak! a mimo to, muszę wyrwać tę miłość z mojego serca.

— Kłamstwo!

— Nie pani... to prawda... straszna, okrutna prawda!.. Nie wolno mi kochać córki, morderczyni mojego ojca!

— Co?.. Łucya więc...

— Jest córką Joanny Fortier, skazanej wyrokiem sądu za zabójstwo mcjego ojca.

— Czy podobna? — zawołała Marya w osłupieniu. — Nie jest-że to zmyślona bajka, ażeby mi dać nadzieję, iż kiedyś zwrócisz się ku mnie?

— Jeżeli potrzebujesz pani dowodów... oto jest niezaprzeczone, przeczytaj, proszę...

Tu Lucyana podał Maryi kopię z akt domu przytułkowego. Milionerka, pochwycawszy go, czytała chciwie.

— Ach! otom pomszczoną nareszcie! — wykrzyknęła radośnie.

Radość ta przeszła serce Lucyana.

— Nie!—wołała Marya dalej—nie!... pan nie możesz kochać tej dziewczyny... nienawidzić ją raczej powinienes! Bóg to sam zbliżył cię ku mnie, abym otworzyła ci oczy na nikczemność tej, którą kochałeś! Stwórca widocznie mną się opiekuje! Odtąd żyć mogę... żyć będę... pełna nadziei...

— Posłuchaj mnie, pani — rzekł Labroue, biorąc ów papier fatalny.—Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego, co miałem powiedzieć. Nie! ja nie mogę Łucyi nienawidzić, ponieważ dziecię nie może odpowiadać za winę swej matki, lecz honor nakazuje mi o niej zapomnieć. Będę usiłował nie myśleć więcej o córce Joanny Fortier, cios ten wszelako jest nazbyt silnym... rana jest bolesną i krwawą; potrzeba mi będzie czasu i starania do jej zabliznienia. I oto, czego żądam od pani, dopóki nie nastąpi zupełne moje uzdrowienie...

Marya drżąca, niespokojna, słuchała z utkwionemi w mówiącego oczyma.

— Nie mogę twierdzić, abym nie cierpiał — mówił Labroue—gdyż to byłoby kłamstwem z mej strony. Cierpię bardzo i wiele, lecz walczyć będę przeciwko temu cierpieniu. Zapomnieć pragnę i mam nadzieję, iż zdołam to osiągnąć. Skoro nadejdzie zapomnienie, serce me wolnem natenczas zostanie. Wówczas bezwątpienia głęboki szacunek, jaki uczuвам dla pani, oraz wdzięczność moja dla niej, zmienią się w tkliwsze uczucie. Do owej jednak chwili, pozwól mi zostać z moją boleścią, nie żądaj żywszych wynurzeń mojego serca, ani uśmiechu na ustach. Chciej zadowolnić się nadzieją, żyjąc dla ojca, który cię kocha nad życie. Przrzekasz-że mi to pani?

— Ależ to prawie zupełnego zrzeczenia się żądasz pan odemnie—odpowiedziało dziewczę ze łzami. — Boleść zabija... wiem o tem!.. Co więc stałoby się zemną, gdybyś pan legł pod nadmiarem własnej boleści?

— Nie lękaj się, pani... Żyć będę! będę żył... przysięgam! gdyż posłannictwo moje nieukończono jeszcze na tym świecie. Żyć będę, powtarzam i uzdrowienie nadejdzie.

— Na seryo to pan mówisz?

— Słowo honoru uczciwego człowieka.

— A więc... niech spełni się to, czego żądasz...—szepnęła smutnie Marya.—Będę oczekiwała...

— Biedne to dziewczę umrzeć może...—pomyślał Lucyan zruszony.—Inaczej wszakże postąpić mi niepodobna.

W tej właśnie chwili wszedł Harmant. Za jednym rzutem oka odgadł, co zaszło pomiędzy dwojgiem obecnych. Marya ocierała łzy z oczu, Lucyan stał blady, poważny.

— Porozumieliście się więc, moje dzieci?—zapytał, całując swą córkę.

-- Tak, ojcze...

-- Cóż było przedmiotem waszej rozmowy?

-- To, o czem pan wiesz...—rzekł Labroue.

— I postanowiliście?

— Czekać—odpowiedziało dziewczę stłumionym głosem. Przemysłowiec rzucił się gniewnie.

— Ojcze! będę oczekiwała cierpliwie—odezwała się Marya, spostrzegłszy ów gest oburzenia. — Słuszne i nader ważne powody przemawiają za panem Lucyanem, świadczą one o wysokiej prawości jego charakteru.

— Uczynię wszystko z mej strony dla zapewnienia szczęścia pańskiej córce—rzekł Labroue.—Chodzi tu o zwłokę czasu jedynie.

Marya ukryła twarz na piersiach swojego ojca, podczas gdy Harmant rzucił na Lucyana pełne wymówek spojrzenie, które wyrażało:

— Ażeby czekać, potrzeba żyć... a ty ją zabijesz!

— Nie obawiaj się, ojcze—wyrzekła—żyć będę... Tak, będę żyła, ażeby kochać was obu! Pan Lucyan ma słuszość... nie może on oddać mi serca, które obecnie inna posiada. Trzeba dozwolić zagoić się owym krwawym ranom... Ja całą ufność pokładam w panu Lucyanie. Pograżony w boleści, niechaj się odsunie odemnie... nic to nie szkodzi. Wiem, że powróci on ku mnie... a to właśnie stanowi moje życie. Powróci... bo wie, że jest tu kochanym... miłość go do nas przywiedzie!

To mówiąc, podała obie ręce młodzieńcowi, który z głębokim wzruszeniem do ust je przycisnął. Pod wpływem lekkiego owego pocałunku Marya pobladła, a usunawszy ręce, przycisnęła niemi serce, które uderzając gwałtownie, omal nie rozsadziło jej piersi.

Zasepione czoło Harmanta nieco się rozjaśniło.

— Córnka Joanny Fortier — pomyślał—dla niego już nie istnieje; grożące mi niebezpieczeństwo zażegnanem zostało. Boleść Lucyana zwolna się ukoi, a skoro on zostanie mym zięciem, ocalając mą córkę, ocalę zarazem sam siebie!

*

*

*

Owidyusz Soliveau, od czasu ostatniego widzenia się z Harmantem, nie dawał wcale o sobie wiadomości. On również obawiał się, aby nie został zaplątany w kłopotliwą sytuację. Kilka słów wymówionych przez Amandę, wzbudziły w nim niepokjące podejrzenia. Nie ufał on jej teraz i pragnął przeniknąć zamiary... Odgadywał w nim nabywcę noża w sklepie przy ulicy Bourbon, którym w Łucyę uderzył? Potrzeba mu było wiedzieć napewno, czego się trzymać w tym względzie, aby przedsięwziąć środki ostrożności.

Pomimo broni, jaką przeciw niej posiadał, jednym wyciekiem Amanta zgubić go mogła. Dziewczyna zdawała się być przekonaną, iż jej protektor był rzeczywiście baronem de Reisa, ale pragnęła zarazem poznać mieszkanie owego barona, który

79
z niewiadomych przyczyn odmawiał jej tego. Mogła jednakże dojść do celu, mimo całej tajemniczości, jaką otaczał się Soliveau. Od dnia, w którym jej opowiedział szczegóły swojej podróży do Joigny, widywał się z nią bezustannie. Amanda, nie zmieniawszy sposobu postępowania, kochać go się zdawała. Postanowiła zbadać jednakże, kim był ów człowiek, posiadający w swych rękach to jej fatalne zeznanie. Brakło jej jednak czasu na śledzenie mniemanego barona. Kilkakrotnie usiłowała iść za nim; za każdym razem jednakże wymykał się jej z niesłychaną zręcznością. Chowała w głębi serca urazę, skutkiem której pragnęła powiedzieć:

— Jestem silniejszą od ciebie! Ty mnie trzymałeś... teraz ja trzymam ciebie. Oskarżaj mnie, cóż na tem stracę? Kilka miesięcy więzienia najwyżej, wówczas gdy z tobą rzecz inna! Mogą cię wysłać na galery, jeśli nie pod gilotynę, mój ukochany.

Ach! jakżeby się cieszyła gdyby mu mogła powtórzyć coś podobnego, ale na nieszczęście, milczeć musiała, wyzyskując tymczasowo, o ile się dało, prawdziwego, czy mniemanego barona de Reiss.

— Ten człowiek czerpie bogactwa swe z jakiejś zbrodni pochodzące—mówiła sobie. — Wszystko mi jedno zresztą, to mnie nie obchodzi, ażebym tylko otrzymała od niego cały majątek, albo przynajmniej znaczną część tegoż...



KONIEC TOMU IV-go.

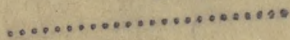
020328720

1105 - III -



Odkwaszone

-- -10- 2011



La Focaccia